Towarzystwo Warszawskie



KRAKÓW

Nakład J. K. Żupańskiego & K. J. Heumanna.

1888.

TOWARZYSTWO WARSZAWSKIE.

TOWARZYSTWO

WARSZAWSKIE.

LISTY DO PRZYJACIÓŁKI

PRZEZ

Baronową X. Y. Z.

I.

Wydanie drugie, przez autorkę przejrzane, poprawione
i znacznie rozszerzone.

W KRAKOWIE,
Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego & K. J. Heumanna.
(odznaczonej najwyższą nagrodą na wystawie krajowej 1887.)
1888.

Druk W. Korneckiego w Krakowie.

PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA.

Skoro ukazała się księgarska potrzeba drugiego wydania niniejszych listów, autorka nie mogła zgodzić się na nie, bez postawienia kilku warunków.

Pierwszym z tych warunków była konieczność zaprowadzenia w tekscie wielu zmian, uzupełnień i dodatków. Upłynęło już przeszło dwa lata od chwili kiedy „Listy do przyjaciółki“ ukazały się po raz pierwszy w druku. Przez ten czas życie warszawskie dostarczyło wielu nowych faktów. Należało te fakta wciągnąć w tok opowiadania i tym sposobem zmodernizować niejako dawniejsze spostrzeżenia i uwagi. Przyczyniło się to w znacznej mierze do powiększenia rozmiarów tej książki a zwłaszcza do rozszerzenia sylwetek najwybitniejszych osobistości ze świata urzędowego.

Nadto sam przedmiot i okoliczności, w jakich książka niniejsza powstawała, wyrodziły pewne braki, które przy drugiem wydaniu należało koniecznie usunąć. Ztąd też wszędzie, gdzie tylko dawniejsza informacya zdawała się wątpliwa, usunięto ją lub

zastąpiono inną, czerpaną ze źródeł najwiarogodniejszych i najpewniejszych. W tym kierunku książka niniejsza uległa ścisłej kontroli i sumiennemu wszystkich podanych w niej faktów sprawdzeniu. Dalsza zaś obserwacya pozwoliła autorce dopełniać, poprawiać, bardziej wycieniować niektóre sylwetki, sądy, zdania i uwagi. Ztąd też to drugie wydanie jest nie tylko przejrzanem i poprawionem, ale i w znacznej części przerobionem, a zamyka w sobie obraz z życia Warszawy od 1863 do końca 1887. Wspomina o tem autorka, aby czytelnik wiedział, na jakiej dacie kończą się jej spostrzeżenia i informacye.

Co do reszty, a mianowicie co do tytułu niniejszej książki (który, że nie jest właściwym autorka sama najlepiej czuje) niech służy za wyjaśnienie, powtórzona poniżej przedmowa do wydania pierwszego.

PRZEDMOWA DO PIERWSZEGO WYDANIA.

Czas rozpoczynając w jesieni 1885 r. druk niniejszych listów, poprzedził je następującą notatką:

Szanowny Redaktorze!

W lecie b. r. prowadziłam z jedną z moich warszawskich przyjaciółek nader ożywioną korespondencyą, której tematem było życie i ludzie tamtejsi. Nie znając dobrze Syreniego grodu, zapragnęłam zapoznać się z warunkami jego egzystencyi, towarzystwa, rozwoju i pracy umysłowej, a wybór mój padł na osobę, która dziesiątki lat mieszkając w Warszawie, zżyła się z nią doskonale i poznała gruntownie równie napływowe jak i miejscowe społeczeństwo tamtejsze.

Z licznych notatek i poufnych zwierzeń, złożył się plik spory, a w nim wiele uwag i faktów, które sądzę, że nie będą bez interesu i dla szerszego ogółu. Komunikuję więc je Panu w układzie bardziej

dziennikarskim i systematycznym. Jeśli chcesz, zrób z nich użytek, w każdym razie zaś przyjmij pozdrowienie od nieznanej ci osobiście, lecz pilnej dziennika Twego czytelniczki.

N. N.

Rękopis ten zawiera w formie listów interesującą charakterystykę obecnych stosunków warszawskich. Tytuł „Towarzystwo Warszawskie“ nie zupełnie może odpowiadający treści rękopisu, wybrany został zapewne ze względu na pokrewieństwo przedmiotu z publikacyami podobnego rodzaju o różnych stolicach europejskich, jak *Société de Berlin*, *Société de Vienne*, *Société de Londres*. Pozostawiamy go, nie chcąc zmieniać tytułu bez przyzwolenia nieznanej autorki, z którą nie mamy możności się porozumieć.

Przypisek Redakcyi „Czasu.“

LIST I.

Zamek i jego mieszkańcy.

TREŚĆ: Zamek i jego obecna fizyonomia. — Intendanci i p. Muchanow. — Dawne apartamenta królewskie. — Cesarz Mikołaj i orły polskie. — Pokoje jenerał-gubernatora. — Hr. Berg i jego charakterystyka. — Hrabina N. i jenerał Uszakow. — Reinecke-Fuchs. — Przyjęcia za W. Księcia. — Anegdota o Trepowie. — Pani Berg i jen. Lachnicka. — Hr. Paweł Kotzebue. — Jenerał Orżewski. — Pani Kotzebue i jej córki. — Jen. Albedyński. — „Uczciwy człowiek« i jego pogrzeb. — Mowa na Zamku i jej wrażenie. — Audyencya u ces. Aleksandra II. — Papież i cesarz. — Pani Albedyńska, jej zasługi i charakter. — Anegdota Rzewuskiego o ces. Pawle. — Jenerał Hurko. — Skobelewowskie tradycye. — Epizod z wojny. — Marya Andrejewna i kamarylla dworska. — Eksploatacya dobroczynna. — Zamek i sobór. — Archiepiskop Leoncyusz. — Loża w teatrze. — Kazanie jenerała. — Kamarylla dworska. — Przygoda na balu. — Jeszcze o jenerale Hurko. — Jego charakterystyka. — Tłumaczenie i zapowiedź.

Jeśli wjeżdżać będziesz do Warszawy od strony Pragi, uderzy Cię przedewszystkiem wielka budowla nad Wisłą, obszerna, szeroka, dość ciężka, pomimo licznych swoich tarasów i balkonów, ani zbyt brzydka, ani zbyt ładna, w stylu trochę włoskim, ale bardzo zeszpeconym późniejszemi dodatkami. To Zamek, „b. królewski Zamek", jak go urzędo-

wnie nazywają, dawna rezydencya Wazów i Stanisława, później siedziba konstytucyjnych królów Kongresówki, pałac cesarski, ale tylko z tyłu, gdyż od czasu niefortunnej i niemądrej zkąd indąd detronizacyi Mikołaja, wyrzeczonej w tym gmachu, żaden z monarchów rosyjskich nie przenocował tu jeszcze ani razu. Cesarzowie stają zawsze w Belwederze lub w Łazienkach, a w Zamku bywają tylko na balach, dawniej u Namiestników, a dziś u jenerał-gubernatorów. Pamięć detronizacyi ciąży dla nich jakby przekleństwem nad temi murami i żaden z nich nie chce tu skłonić swej głowy, choćby na jednę noc, w obawie ujrzenia we śnie jakiejś „białej damy“, a może owej sceny sejmowej, uwiecznionej w *Kordyanie* Słowackiego, a tę idyosynkrazyę czują do Zamku nietylko sami monarchowie, ale i cała ich rodzina. Żaden z W. Książąt nie staje tu nigdy, wszyscy wolą się dusić w ciasnych pokoikach Łazienek lub skromnych komnatach Belwederu, aniżeli rozkładać swe manatki w obszernych i okazałych dziś jeszcze salonach Zamku. Jedyny wyjątek w czasie powstania zrobiono dla W. Ks. Konstantego, ale i ten mieszkał tu raczej w charakterze Namiestnika Królestwa Polskiego, aniżeli księcia krwi.

Od strony placu Zygmunta, Zamek warszawski wygląda raczej jakby ratusz jakiego porządnego miasteczka: dwupiętrowa kamienica z wieżą zegarową, a w niej koszary, w miejscu dawniejszej Izby poselskiej, z której dziś nie pozostało już śladu. Nawet skrawki aksamitu z konstytucyjnego tronu

Aleksandra i Mikołaja sprzedano niedawno na licytacyi starych rupieci. Z tem wszystkiem radzę Ci przypatrzeć się dobrze temu gmachowi, wkrótce bowiem i tych resztek Stanisławowskich nie będzie. Dziś już pomalowano Zamek na kolor ceglasto-pomarańczowy, a niebawem dostanie on zapewne dach zielony, a może i czerwone okiennice, aby lepiej przypominał mieszkańcom swoim ukochaną Ufę, Tambow i Wołogdę. Żyjemy w czasach, w których pewnego gatunku Rosyanin, jeśli widzi dokoła siebie cokolwiek, co mu przypomina Europę i jej cywilizacyę, już przez to samo uważa się za prześladowanego i męczennika. Dla petersburskich i warszawskich „samobytników“ brak zielonego dachu, krótkich, przysadkowatych wież, przypominających kształtami samowary, służba we frakach z galonami, a nie w kaftanach kacapskich i czerwonych koszulach, już jest wysoką prywacyą, zaliczoną do bardzo wielkich zasług i ofiar, składanych na ołtarzu ojczyzny. Niedługo więc zapewne dzisiejsi mieszkańcy Zamku podniosą krzyk, że ich patryotycznym piersiom, ich „szerokiej naturze“ za ciasno i za duszno w tym „polsko-łacińskim“ pałacu, tak w niczem nie przypominającym ani Kremlu, ani Archangielska, i pójdą setki tysięcy rubli na zatarcie tych resztek wytworniejszego gustu i przemianę Zamku w pstrokatą budowlę, w rodzaju cerkwi prawosławnej na Pradze.

Stałoby się to niezawodnie, gdyby Zamek warszawski zależał wyłącznie od jenerał-gubernatorów;

jako jednak specyalna własność cesarska podlega nie ministeryum spraw wewnętrznych, lecz ministeryum Dworu, mającemu tu swój osobny zarząd, na którego czele stał jeszcze przed dwoma laty b. prezes teatrów, ochmistrz Najwyższego Dworu, p. Sergiusz Muchanow. Zarząd pałaców cesarskich w Warszawie, tak się nazywa to biuro, rozciąga swoją opiekę nad Zamkiem, Łazienkami i Belwederem, do niego należy czuwanie nad całością inwentarza, wszelkie reparacye i zmiany, a jenerał-gubernator ma tylko prawo używalności tych gmachów na przyjęcia i bale urzędowe. Wówczas to intendant pałacowy oddaje do jego rozporządzenia paradne apartamenta, wraz z serwisami, srebrami, służbą, słowem urządza wszystko, i tylko część kulinarna należy do p. jenerał-gubernatora. Bywają nieraz z tego powodu starcia i zatargi, bo jak we wszystkiem w Rosyi, tak i tu ranga decyduje i rozstrzyga tysiące zawiłych, a bardzo ważnych kombinacyj, o które toczą się urzędowe korespondencye z Petersburgiem i powstają kwestye stanu. Taki serwis np. może być tylko użyty na przyjęcie W. Książąt, inny znów dla samego cesarza, trzeci wreszcie dla feldmarszałków i jenerał-adjutantów itd. Intendant czasem wyraża wątpliwość, jenerał-gubernator się skarży, i dopiero Petersburg musi rozstrzygać, czy „godzi się“ p. gubernatorowej jadać na starej porcelanie saskiej, lub czy powinna poprzestać na fajansie. Konflikta stają się czasami bardzo ostre i za hr. Kotzebuego p. Muchanow

o mało nie dostał dymisyi z powodu jakichś talerzy, na których, zdaniem jego, tylko N. Państwo mogli spożywać owoce i zjadać cukierki warszawskiego Loursa lub petersburskiego Balleta. Dawniej ten stosunek intendantury pałacowej do pp. jenerał-gubernatorstwa był bardzo drażliwym i skutkiem tego właśnie p. Muchanow otrzymał dymisyę pod pozorem, że posada zajmowana przez niego jest za niską stosunkowo do rangi dworskiej, jaką piastuje. Zarządca pałaców cesarskich w Warszawie zjechał o dwie klasy niżej i został nim jakiś pierwszy lepszy pułkownik liniowy (p. Gryniewickoj), człowiek bez najmniejszego o sztuce i architekturze pojęcia, prosty „stupajka“, bo jak powiedział Mickiewicz, w Rosyi każdy oficer może być „basem w orkiestrze i szkół dozorcą“, a więc równie dobrze i konserwatorem dzieł sztuki, oraz intendantem pałaców. P. Muchanow miał tę wielką zaletę, że jako człowiek gustu i dobrego wychowania, pilnował zawzięcie powierzonych mu resztek, kraść nie pozwalał i o ile możności, stawiał tamę wandalskim zapędom, pragnącym zatrzeć i te ostatnie ślady polskiej cywilizacyi i sztuki.

Co rok prawie Zamek się restauruje i niejedno zapewne nie zdoła się ostać i zaginie w prowadzonych przez petersburskiego architekta przeróbkach. Przybywa więc jeden wzgląd jeszcze, aby zanim przystąpię do opisu dawniejszych i dzisiejszych mieszkańców Zamku, oprowadzić Cię choć jakby *á vol d' oiseau* po tych starych Stanisławowskich komna-

tach, które w wielu rzeczach zachowały jeszcze swą właściwą cechę i trochę historycznych pamiątek.

Od placu Zygmunta Zamek królewski jest po prostu koszarami. Nie dopytasz się już dziś, gdzie były dawne Izby poselskie i senatorskie, nie mówię już z czasów Rzeczypospolitej, ale nawet z epoki Królestwa kongresowego. Wielka sala poprzerabiana na bióra i klitki, na piętrze rozsiadła się załoga zamkowa (stoi tu batalion gwardyi i sotnia kozaków kubańskich), pozostały tylko same mury, wewnątrz niemasz ani jednej dawnej cegiełki. Wszystko zniszczono, jeszcze za Mikołaja, który wściekły na sejm za detronizacyę, kazał najdrobniejsze jego ślady zatrzeć, i niewątpliwie obróciłby był całe to skrzydło zamkowe w perzynę, gdyby nie wzgląd na potrzebę i wygodę. Orły polskie zachowały się gdzieniegdzie po kątach, i na chorągiewce wieżowej, a to dzięki tylko dokumentowi, starannie przechowywanemu w archiwach intendantury, na którym Mikołaj zapytany w tej mierze przez ks. Paszkiewicza, własnoręcznie napisał: *ostawit' etu pticu* (zostawić tego ptaka). „Ptak“ został więc jeszcze nad bramą wchodową z pierwszego dziedzińca, i to nie sam, ale w osobistym herbie królewskim, w towarzystwie Ciołka i Pogoni, oraz w paru salach pierwszego piętra; zresztą wyrugowano go zewsząd i bramy wjazdowe zdobi dziś dwugłowy orzeł rosyjski.

Zamek posiada trzy wielkie dziedzińce, a front jego stanowi nie plac Zygmunta, lecz przeciwnie

Wisła. Od tej strony jest on rzeczywiście najładniejszym. Do środkowego korpusu przybudował Stanisław dwa boczne pawilony, suto ornamentowane, pełne balkonów i tarasów, nawet trochę lekkie, które jeszcze przed r. 1863 wyglądały uroczo, bo ogród zamkowy rozciągał się aż do samej Wisły, a mostu żelaznego i t. z. Zjazdu nie było wcale. Po schodach tarasowych zstępował Stanisław aż na sam brzeg i tam go oczekiwały przepyszne gondole, wiozące co wieczór wesołe towarzystwo królewskie do ukochanych Łazienek. Dziś dzieli ogród zamkowy od Wisły przebrzydła łacha piaskowa, a na niej baraki ułańskie, obszarpane, brudne, cuchnące, psują najpiękniejszy niewątpliwie widok całej Warszawy, sięgający gdzieś w dal, aż po za Wisłę, Pragę i Grochów. Na przeciwnym brzegu, wprost Zamku rozciąga się mały i nikły park t. zw. „Aleksandryjski“, założony przed dwudziestu laty, a zakrywający zupełnie kościół praski i całe przedmieście.

Główna brama wjazdowa prowadzi od Krakowskiego Przedmieścia. Na prawo wiodą wygodne, szerokie schody do t. z. paradnych apartamentów, dawnych pokoi królewskich, w których jenerał-gubernator nie mieszka, ale tylko przyjmuje. Wszedłszy wprost ze schodów do poważnej, suto stiukami ozdobionej antykamery t. z. sali Mirowskiej (bo w niej stała za Stanisława straż Mirowskiego pułku) mijasz małą salkę „żółtą“ i wchodzisz do pięknej, więcej długiej, niż szerokiej, w jednym kącie sko-

śnie ściętej sali muzycznej. Linie bardzo piękne, jak w ogóle w całej tej części Zamku, framugi okien i odrzwia dawne, freski plafonu tylko nowoczesne i to wcale nieszczególne, choć pędzla Wojciecha Gersona; aniołki mające reprezentować emblemata muzyczne, bardzo chuderlawe i nieponętne, rysunek niezły, ale wogóle suchy, sztywny, profesorski. Meble z czasów W. Ks. Konstantego II, niby Louis XV, ale nie świetnej roboty, chociaż wraz ze wszystkiemi bronzami aż z Paryża przed dwudziestu kilku laty sprowadzone. Z sali tej na prawo wiodą drzwi do dawnej kaplicy królewskiej, dziś jeszcze wcale nieźle zachowanej, bo za hrabiny Berg, katoliczki, używano jej do nabożeństw i w tym celu dość gustownie odnowiono. Ołtarz w pięknym renesansowym stylu o kształtnych marmurowych kolumnach, nie posiada żadnego obrazu. Krucyfiks marmurowy, poprawnej, lecz nie artystycznej roboty zajmuje ciemną czerwoną framugę; lichtarze i cyboryum grubo złocone, pięknie rzeźbiona szafa na aparaty kościelne i prześliczna posadzka dębowa — oto wszystko, co tu pozostało. Resztę ozdób, obrazy religijne, srebra i t. d. wywieziono do Petersburga, trochę aparatów oddano do katedry św. Jana, a nie potrzebuję Ci chyba wspominać, że od czasów hrabiny Berg, kaplica katolicka jest szczelnie zamkniętą i służy tylko na skład starych rupieci.

Z sali muzycznej przechodzi się do sali karmazynowej, która właściwie powinna się zwać malinową, gdyż dawne meble tak już wybla-

dły, iż krwawej purpury odgadnąć z nich trudno. Tu właśnie znajdziesz jeden z najcenniejszych niewątpliwie skarbów artystycznych Zamku: wspaniały zegar bronzowy z herbami Stanisława, który jakimś cudem ocalał przed zaborem do Ermitaża i samowolną gospodarką ks. Paszkiewicza, meblującego swój Homel w bardzo wygodny sposób, bo rabunkiem mnóstwa przepysznych dzieł sztuki z warszawskich pałaców królewskich.

Wogóle co cenniejsze: obrazy, portrety, marmury, wszystko to powędrowało oddawna do Petersburga, a pozostało tylko trochę bardzo ładnych bronzów i przepyszne stiuki, chociaż i z temi Książę Warszawski umiał dać sobie radę. Z jednej sali np. zabrał całe ściany marmurowe i kazał je najspokojniej wmurować w pałacu Homelskim, gdzie także dotychczas zdobi taras ogrodowy sławny „ks. Józef“ Thorwaldsena, o którym mówiono, że wygląda raczej na żołnierza w koszuli prowadzącego konia do pławienia, aniżeli na wodza i marszałka Francyi, taki ma być oryginalny w tej nagiej postawie na koniu.

Za salą karmazynową zobaczysz dawny pokój sypialny króla, późniejszy buduar niebieski W. Ks. Konstantowej. Prześliczny plafon Bacciarellego wychodzi jeszcze wspanialej na tle ścian wykładanych cisowem drzewem, oddrzwia i bronzy cudowne i rzadko gdzie z pewnością można zobaczyć coś podobnego w rodzaju inkrustacyi drzewnej. Radzę Ci także zwrócić uwagę na zachowane jeszcze

dotychczas zwierciadło, które stało naprzeciwko łóżka królewskiego, bo o niem ówczesna kronika skandaliczna tak wiele mówiła... Sprowadzone niegdyś z Wenecyi, dziś jeszcze uderza swojemi rozmiarami i przepyszną oprawą. Z pokoju sypialnego miniesz kilka mniejszych sal, dawnych gabinetów królewskich, z których jedna dla swych ozdób nazywa się grecką, i przez mały pasaż dochodzisz do sali tronowej. Ta rozmiarami nie jest wielką, ale bardzo kształtna i poważna. Obicia z pąsowego aksamitu, suto srebrnemi galonami szyte, posadzka prześliczna, kominki, bronzy, kandelabry, świeczniki kryształowe, wszystko to *de primo cartello.* Tronu naturalnie niema, ale są jego stopnie, na których spoczywa portret Mikołaja w jeneralskim polskim mundurze. Obok mały pawilon z werandą na ogród, w którym dawniej wisiały portrety wszystkich współczesnych Stanisławowi monarchów. Dziś pozostały tylko puste miejsca, a nad niemi herby Rosyi, Francyi, Austryi, Anglii, Szwecyi i t. d. Portrety zabrano do Ermitaża, nawet konterfekt Katarzyny, od innych rozmiarem większy, wiszący na honorowem miejscu, nad samym kominkiem, u którego wnętrza dopatrzysz się jeszcze wstydliwie ukrytych herbów polskich. W gabineciku, tem głównem podobno miejscu, jak mówi tradycya, narad Stanisława z ambasadorami i... szeptów miłosnych, były kiedyś także freski Bacciarallego, przedstawiające cztery główne zwycięstwa oręża polskiego. Zamalowano je za ks. Paszkiewicza na czerwono,

aby czasem nie nasuwały buntowniczych myśli, i ledwie tylko jakiś stary sługa wskaże Ci ich dawne miejsce.

Z sali tronowej (która mówiąc nawiasem, podczas balów za pobytu Cesarstwa służy za jadalnię dla N. Państwa i małego kółka wybranych), przechodzi się przez parę pokoi (dawną jadalnię Stanisława) do sali balowej, najpiękniejszej z całego zamku, dziś jeszcze mogącej rywalizować z pierwszemi w Europie. Zna ją cała Polska z obrazu Gryglewskiego, który był i u was w Krakowie na wystawie; zna tę przepyszną czystość i spokój linij architektonicznych, ten najpiękniejszy niezawodnie plafon Bacciarellego, tak oryginalny w kompozycyi, a taki imponujący rysunkiem i kolorytem, cieplejszym od wszystkich innych. Przedstawia on wskrzeszenie przez Stanisława nauki, sztuki, handlu, przemysłu i rolnictwa. Król jakby różczką czarodziejską obudza wszystko ze snu i w samym środku plafonu widnieje wschodzące słońce, zapowiedź lepszej przyszłości, która tak miała być zawodną i tragiczną. Nad drzwiami wchodowemi masz tu jeszcze płaskorzeźbę Stanisława, a przy nich dwie pyszne statuy marmurowe: Poniatowski, jako Apollo, i Katarzyna, jako Minerwa. Podobieństwo rysów nadzwyczajne, sami Rosyanie przyznają, że nawet w Petersburgu niema ani jednego portretu lub rzeźby, któraby tak wiernie oddawała Semiramidę północy. Król przygrywa na lirze i jakby wprowadza w te wspaniałe komnaty swoją Minerwę, zbrojną,

dumną, silną, potężną. Oparta na lancy, dziś jeszcze jest ta nie z Aten, lecz z nad Newy Minerwa najwymowniejszą alegoryą brutalnej siły, co uprzejmego i zalotnego gospodarza z własnych umiała wyrzucić kątów, odpłacając gościnność wydziedziczeniem. Nad drzwiami widnieją tu jeszcze w całej okazałości nie herby królewskie, ale nasze orły białe w złocistych koronach, wstydliwie kandelabrami zakryte. Zachowały się one dotychczas głównie dzięki owej decyzyi Mikołaja, nakazującej oszczędzać „ptaka“, ale po części także z powodu, że wyjąć ich nie było można bez zupełnego zepsucia prześlicznych stiuków, zanadto pamiętnych jeszcze z czasów młodości Aleksandrowi II, aby odważono się je zeskamotować tak odrazu. Bolą i drażnią niezmiernie te orły dzisiejszą naszą wielkorządczynię, lecz trudna rada, intendant pałacu nie może pomimo najgorętszej chęci przypodobania się poświęcić ich bez wyraźnego rozkazu imperatora, a trudno jakoś o taką drobnostkę nagabywać osobiście N. Pana.

Za salą balową idzie sala rycerska, zdobna portretami Aleksandra I w mundurze polskim, Aleksandra II i jego żony i wreszcie dwoma straszliwemi bohomazami, nadesłanemi w zeszłym roku z Petersburga, a mającemi przedstawiać Aleksandra III i Maryę Teodorównę. Rzeczywiście tak haniebnie malowanych portretów, jak te dwa ostatnie, nie widziałam dawno i naprawdę dziwić się potrzeba i tym, którzy odważyli się je przysłać, i tym, co

zdecydowali się je zawiesić. Wśród tych okazałych komnat, wśród tego artystycznego otoczenia wyglądają one po prostu ohydnie, a nie mają nawet zalety podobieństwa.

Na samym krańcu paradnych apartamentów mieści się sala teatralna i koncertowa, przemieniona przez ks. Paszkiewicza na cerkiew. Wszystko to już nowe, bizantyńskie, kapiące złotem, pełno ikonów, a urządzenie całe bardzo kosztowne, ale też i ogromnie nie smaczne.

Przekraczając próg tej cerkwi, znajdujesz się odrazu jakby o jakie tysiąc mil ku wschodowi. Kończą się już tu wspomnienia przeszłości a zaczyna pospolita rzeczywistość. Z cerkwi korytarzami przechodzisz do przeciwległego skrzydła zamku a w niem do mieszkalnych pokoi pp. jenerał-gubernatorstwa. Tam oni przyjmują poufalszych gości, tam odbywają się półurzędowe recepcye, obiady, tam wreszcie składa się wizyty p. jenerał-gubernatorowej. Naturalnie i tu śladów królewskich mnóstwo. Gdzieniegdzie piękne bronzy, ładne obrazy, stare meble, dawne obicia i materye, ale wszystko to już urządzone po modnemu, nie tylko według obecnych wymagań, ale na nową urzędową modłę bez gustu i smaku, wszystko to nie licuje z poważnemi murami i resztką ocalonych pamiątek. Nader przykre robią te apartamenta wrażenie, nawet nie zamku królewskiego, w którym rozłożył się szczęśliwy zwycięzca, lecz raczej wielkopańskiej siedziby, zamieszkałej przez dorobkiewicza, *un roturier*, który do-

chrapawszy się fortunki, udaje teraz personata. Czujesz, że ten nowy mieszkaniec nie umie ani ocenić tych dzieł sztuki, tak niegdyś szczodrze przez poprzedniego lokatora gromadzonych, ani uszanować nie już pamiątek historycznych, lecz estetyki i pojęcia piękna, które przecież jest międzynarodowem; czujesz, że tu do niego nic nie przemawiało, i nie przemawia, a widzisz przedewszystkiem brutalstwo siły i grosza połączone z zupełnym brakiem wszystkiego, co jest cechą jakiegoś wykwintniejszego, lepszego wychowania.. I przypomina Ci się na każdym kroku przysłowie o kuchcie i patynie.

Jakiś Francuz powiedział, że jak Buffon każe poznawać człowieka z jego stylu, tak równie dobrą miarą charakteru każdego jest jego apartament. Otóż z dzisiejszej fizyonomii Zamku nie radziłbym wyciągać wniosków o jego mieszkańcach. Byłyby one bardzo niepochlebne, a świadczyłyby głównie o braku wszelkiego delikatniejszngo poczucia piękna, wszelkich szlachetniejszych potrzeb i wymagań, które niezawsze daje dobre urodzenie, ale za to zawsze dobre wychowanie. Tu, przestępując próg, czujesz odrazu, że *la maison est mal tenue*, nie uderzy Cię nawet to, co zwykło w podobnych mieszkaniach uderzać: banalność i szablonowość rządowych apartamentów, w których się nie osiedla, lecz jest się tylko czasowym gościem, rodzaj hotelowych *chambres garnies* na wielką skalę. Ale nie, jest tu coś innego, nieprzyjemnego; coś, co mnie zraża na pierwszy rzut oka na progu tych salonów do pani

domu; coś dziwnie pospolitego i płaskiego: to nawet nie żołnierski biwak, nie namiot człowieka, obojętnego na wszelki wdzięk i elegancyę, ale poprostu *un bric à brac*, mieszanina bardzo pięknych rzeczy z bardzo szkaradnemi, pokoje nie wielkiej damy, ale zbogaconej kupczychy, pozującej na wicekrólową.

Nie wiem, może my kobiety jesteśmy pod tym względem dziwnie jakoś wydelikacone, może to wypływ innego wychowania i życia wśród odmiennej sfery, ale mnie przynajmniej, ile razy przekraczam (naturalnie z konieczności tylko) progi tych zamkowych apartamentów — zdaje się, że wszystkie te resztki pięknych bronzów, stiuków i fresków bacciarellowskich wznoszą do mnie błagalny wzrok z prośbą: „zabierzcie nas ztąd, bo nie w swojej jesteśmy sferze — *tout cela nous choque*, z salonu spadłyśmy do garderoby". I widzę jak cienie wykwintnego towarzystwa, które przez lat tyle gościło w tych murach, jak ta elita salonów i dworu kręci zgrabnemi noskami, potrząsa harcopfami i kryje się po kątach, jakby z obawy zetknięcia się z tymi dorobkowiczami, co tu koczują, tęskniąc jeszcze za swojemi zielonemi dachami, za dawnemi kaftanami bojarów i kokosznikami Marf i Nadjeżd. I wśród tych cieniów poznaję modre oczy pani Grabowskiej, i zgrabną nóżkę pani de Vauban, i grecki nosek pani krajczyny Potockiej, i kształtną rączkę ks. marszałkowej Lubomirskiej itd., aż do księżny Łowickiej, a nawet do Aleksandra II, który bądź co

bądź był człowiekiem bardzo dobrze wychowanym, a którego, jak ich wszystkich, te nowe „samobotnicze“ maniery, te katkowowskie *nouvelles couches* raziłyby niepomału. A wszystkie te cienie, jakby się zakrywały chustkami — w ciągłej obawie, że to, co ich zalatuje, to nie „larendogra“, lecz... juchtowe buty. Nie, nie dla tego towarzystwa, co tu obecnie mieszka, ten Stanisławowski Zamek; nie dla nich te dzieła sztuki i artystyczne skarby, i jak Hamletowski aktor mogłyby one zawołać: „cóż ma Hekuba z nami a my z nią wspólnego?...“

Może to wszystko drobnostki, moja droga, ale taka już nasza natura kobieca. Jak go widzisz, tak go piszesz. Każda z nas, wchodząc do kogoś, lustruje zaraz na wstępie jego mieszkanie, przypatruje się toalecie, nie pominie żadnego guziczka, a jeśli ma trochę sprytu i doświadczenia, wyrabia sobie odrazu pierwsze ogólne pojęcie o osobie, którą widzi. Nie powinno to być jedynem kryteryum, ale bardzo często bywa dobrą wskazówką. Zrozumiesz więc, dlaczego zajęłam Ci tyle czasu opisem dawniejszego i dzisiejszego Zamku. Może na tem tle wypuklej wyjdą później niektóre osoby.

Tyle znasz Warszawę, choćby ze słyszenia, że nie potrzebuję Ci przypominać, iż Zamek i jego towarzystwo niezawsze był takim, jak dziś, że i on, jak wszystkie nasze sprawy, rozliczne przechodził fazy. Nie mówię tu bynajmniej o czasach dawniejszych, wspomnień historycznych kreślić nie zamierzam, mam tylko na myśli epokę popowstaniową,

lata po r. 1863, a w nich cztery główne ery czterech wielkorządców Królestwa: Berga, Kotzebuego, Albedyńskiego i Hurki. Za każdego z nich fizyonomia polityczna i towarzyska Zamku zmieniała się rdzennie, ramy i przedmiot obrazu pozostawał zawsze ten sam, ale jaka za to różnorodność w kolorycie, jaki odmienny rysunek figur, jakie inne ich ugrupowanie. Słowem, wszędzie bardziej, niż tu, zastosować można znany aforyzm francuski: *plus ça change, plus c'est la mème chose.* Nie; tu, im bardziej się to zmienia, tem bardziej rzecz staje się inna, a nigdzie więcej, aniżeli na tym Zamku nie odbija się różnica systemów politycznych każdoczesnego z naszych wielkorządców; nic lepiej nie charakteryzuje i ich usposobienia względem kraju, i ich zasad, jakiemi się kierowali.

Nie może znać Rosyi i jej ludzi ten, kto nie czytuje dokładnie, i to z pierwszej ręki, masy dzienników i wydawnictw, jaka tam obecnie wychodzi; kto nie jest ściśle obznajomiony z różnorodnemi kierunkami gazeciarskich prądów z nad Newy i z pod murów Kremlu. Dłuższemu pobytowi memu w Petersburgu i koniecznej potrzebie zawdzięczam moją znajomość języka rosyjskiego, niezbyt świetną, ale taką przynajmniej, że mi wystarcza na przeczytanie gazety, a nawet i jakiego poważniejszego artykułu z licznych wydawanych tam *Revues.* Otóż niedawno wpadła mi w rękę *Russkaja Starina*, a w niej bardzo ciekawe „zapiski“ o hr. Bergu, podpisane pierwszemi tylko literami, a pochodzące, jak zape-

wnia redakcya, od jednego z wyższych urzędników, który długi czas służył pod ostatnim namiestnikiem Królestwa. — Rzecz prosta, że w piśmie, które drukowało pamiętniki Murawiewa, apoteozując tego „wieszatiela“ do godności najmędrszego męża stanu, jakiego kiedykolwiek miała Rosya, w t. z. prowincyach północno-zachodnich, sylwetka hr. Berga nie mogła wypaść dla niego dodatnio. W oczach Murawiewczyków, w oczach b. Komitetu Urządzającego i całej dzisiejszej partyi rządzącej, stary feldmarszałek był największym polakofilem, zasłaniał nas na każdym kroku, stawiał zaporę Milutynom, Samarynom i Czerkawskim, i gdyby nie ich nadzwyczajne poświęcenia i miłość Rosyi, nigdyby tych przeszkód nie zdołali złamać i Królestwa Polskiego „urządzić“. Nie śmiej się i nie dziw.... Stoi to wszystko najwyraźniej wydrukowane i gdyby nie obawa pozy na jaką napchaną cytatami *bas bleu,* przytoczyłabym Ci numer i stronnicę tej *Russkiej Stariny.* Zresztą, czemuż się tu dziwić! Czyż nie pamiętasz głośnego w swoim czasie w *Revue des deux Mondes* artykułu p. Leroy-Beaulieu o Milutynie, w którym mniej więcej taką samą znajdziesz apoteozę Komitetu Urządzającego i takie same na hr. Berga zapatrywanie. Tamci przynajmniej wierzą może w to, co piszą, a w każdym razie mają jakąś podstawę, jakąś ideę państwową, zdolną do tego stopnia zawrócić głowę i zamącić pojęcia. Francuz tego tłomaczenia niema i albo dotyka przedmiotu, którego nie zna, a wtenczas jest nie-

mądrym, lub znając go, z umysłu rzecz fałszywie przedstawia, a wówczas jest podłym. Co do mnie, przypuszczałabym raczej to ostatnie, gdybym nie wiedziała, że nawet uczciwym zawróciły głowę nadzieje zbratania się Francyi z Rosyą w widokach mściwego odwetu.

Ale wracam do rzeczy. Otóż nie zdarzyło mi się dotychczas nigdzie spotkać z właściwą charakterystyką hr. Berga. Ani Rosyanie, ani Polacy nie umieją go należycie ocenić; pierwsi oskarżają go o jakąś stronniczość dla nas, której nie było, a niebrak i wśród nas takich (tu przynajmniej w Warszawie), którzy wspominają hr. Berga, jeśli nie z pewną wyrozumiałością, to przynajmniej z pewnym akcentem korzystniejszego porównania do obecnego położenia. Wypływa to po części z pamięci i tradycyi dawnych stosunków towarzyskich Bergowskiego Zamku, a już to samo powinno Cię przekonać, że mam racyę, kładąc na te stosunki tyle nacisku i zatrzymując się przy nich dłużej. W takiem, jak nasze, położeniu, wszystko, każda drobnostka ma swoje znaczenie i wagę — i nigdy nie trzeba pomijać rzeczy, na pozór nawet najbłahszych, bo w nich nieraz tkwi powód niejednego późniejszego zjawiska, klucz niejednej zagadki.

Hr. Berg był przedewszystkiem politycznym szalbierzem. Żołnierz starej mikołajewskiej szkoły, dziarski, rzeźwy, dziwnie aż do ostatnich chwil wytrzymały, sztywny, zapięty, nie bez istotnych zdolności i pewnego wzwyczajenia do systematycznej

pracy, Rosyaninem na prawdę nie czuł się nigdy, ale pozostał do śmierci Niemcem. I to Niemcem dawnej, niknącej już dziś, dzięki nierozsądnej germanofobii, petersburskiej szkoły, wierny sługa cesarza, ślepe narzędzie jego woli, jednak bez wszelkich patryotycznych zapędów, bez specyalnej żądzy rusyfikacyjnej misyi. Ultrakonserwatysta dawnego pokroju, mający w sobie coś z tej epoki i szkoły takich ludzi, jak Metternich, Castlereagh i t. d., z podejrzeniem zawsze patrzał na wszystkie nowe figury petersburskie, wietrząc w nich z wielką słusznością zakapturzonych rewolucyonistów. Germańska krew kurlandzkiego szlachcica, wychowanie w dawnych antirewolucyjnych zasadach, tyloletnia służba u Mikołaja, składały się na ten wstręt, jaki czuł do nowych ludzi; na ten ultrakonserwatyzm, idący nieraz tak daleko, że w sprawie włościańskiej nie wychodził po za obręb systematu dzierżawnego jak w Anglii i zżymał się na myśl uwłaszczenia. Coś w nim na zawsze zostało z tej starej metternichowskiej epoki, nazywał sam siebie człowiekiem porządku, a był właściwie żyjącą mumią mikołajewskiego zastoju i teroryzmu. Przekonań żadnych, a jeszcze mniej jakichś uczuć szlachetniejszych, w tym zasuszonym mundurze, o wyczernionych wąsach i gutaperkowej twarzy, serca chyba nigdy nie było, ale była za to pewna żądza władzy i zajadłe do niej przywiązanie, była szalona zarozumiałość w swój własny rozum i swoją finezyę.

Finezya!! Oto główna charakterystyka ostatnie-

go z Namiestników. Hr. Berg wierzył w nią jak w Pana Boga i był najmocniej przekonanym, że cały świat i wszyscy, z którymi się styka, to głupcy, on jeden tylko ma rozum; że każdy zarówno w Petersburgu, jak w Warszawie czeka tylko, aby wpaść w zastawione przez niego sidła. A tymczasem ta jego finezya była *cousue de fils blancs.* Sądził, że złapie każdego, a tymczasem każdy jego łapał i ostatecznie wrogowie Namiestnika zrobili wszystko, co tylko chcieli, śmiejąc się mu pod nosem, a zwyciężyli nie dlatego, żeby nie był w stanie ich robocie przeszkodzić, lecz z powodu, że zawsze przemądrzał, zawsze przedelikacił i przedyplomatyzował. Wszystko polegało u niego na szalbierstwie, prostą drogą nie szedł nigdy, ale kłamał na wsze strony i grał od rana do wieczora komedyę, sądząc, że w ten sposób coś wygra. Uprzejmy, grzeczny, nadskakujący, niemal zalotny, tą zalotnością i pozorną układnością cechującą ludzi, których młodość sięgała czasów Aleksandra I., a wymustrowała się za Mikołaja, miał na zawołanie westchnienia, żal, najserdeczniejsze zapewnienia, łzy, nawet modlitwę. Czem ten człowiek nie frymarczył i czego nie udawał, jak zręcznie umiał uśpić największe obawy, jak potrafił osłodzić najbardziej gorzką pigułkę! Ze wszystkich ról swoich najlepiej grał Piłata. Tak umyć rąk — tak zrobiwszy coś z własnej woli, dla zaspokojenia własnej podłości na innych całą winę zrzucić, nikt, jak on, nie umiał.

Charakterystyczny opowiadano mi pod tym wzglę-

dem fakt. Hrabinie X. wywieziono na Sybir syna. Zrozpaczona matka używała wszelkich środków, aby trafić do hr. Berga. Przez pewną damę cudzoziemkę, zaprzyjaźnioną z Namiestnikową, dostaje nareszcie wyborne rekomendacye; pani Berg bierze bardzo gorąco sprawę jej do serca, a że wina nie wielka, a władza hrabiego dyskrecyonalna, więc zdawało się, że sprawa pójdzie jak najgładziej. Hr. Berg przyjmuje biedną matkę jak najgrzeczniej, płacze niemal nad jej losem, przyrzeka, że wszystko uczyni. On syna jej wróciłby natychmiast, ale *ces messieurs de St. Petersbourg,* zawzięli się na niego. Trzeba czekać, może tamci się ułagodzą, a wszystko pójdzie, jak z płatka.... Hrabina czeka miesiąc jeden, drugi, trzeci, słucha coraz to nowych zapewnień i obietnic, ale syn jak nie wraca, tak nie wraca. Nareszcie szturmuje po raz ostatni do Berga. Namiestnik mało nie płacze, setki razy pisał już o niego, ale *ces messieurs de St. Petersbourg* zawsze znajdą jakiegoś nowego kruczka, a że wiedział, jak gorliwą katoliczką jest biedna matka wygnańca, więc on, protestant, zwraca się do niej z propozycyą:

— *Savez-vous, comtesse, disons une neuvenne, peut-être le bon Dieu nos exaucera.*

Czy hrabina odmawiała nowennę — nie wiem, ale kiedy pojechała do Petersburga i tam przez stosunki dostała się do papierów syna, pokazało się, że w stolicy nikomu ani śniło się żadnych przeszkód stawiać i hr. X. byłby oddawna wolnym, gdyby nie ustawiczna opozycya hr. Berga.

A teraz druga próbka. Jen. Uszakow, rzucając po powstaniu kraj, w którym był jednym z gubernatorów, pod wpływem czy to wyrzutów sumienia, czy może starań ludzkich, przychodzi do hr. Berga z prośbą, że niesłusznie wysłał na Sybir jednego z obywateli swojej gubernii, pana K., że więc prosi Namiestnika, aby mu dopomógł do uwolnienia go, ma bowiem dowody, jako wprowadzono go w błąd i przesadzono winę. Stary słuchał całego przedstawienia odchodzącego gubernatora z uwagą i spokojem, nagle wstał z krzesła i zawołał:

— *Pourquoi ne l'avez-vous pendu....*

Najbliżsi hr. Berga urzędnicy mawiali nieraz na licznych balach Bankowych: „o, źle z tym Panem... bo hrabia bardzo dla niego uprzejmy i zbyt gorąco ręce mu ściska“ — jakoż zwykle na takiego gościa spadało wywiezienie lub inna kara.

Takim był ten stary lis niemiecki, pozujący na Reinecke-Fuchsa, ale w rzeczywistości przyłapywany na każdym kroku. Podobnych anegdot mogłabym przytoczyć tysiące. Wiadomą jest rzeczą, że kiedy rozwinięto taką energiczną propagandę za uwolnieniem Rawicza, że aż nawet król belgijski wstawiał się za nim osobiście, hr. Berg bojąc się nadejścia ułaskawienia, kazał potajemnie przyspieszyć w Siedlcach egzekucyę. Nad tym Rawiczem pastwiono się niemiłosiernie, a bito go tak straszliwie, że zaraz po straceniu trupa zasypano wapnem, aby publiczność nie dostrzegła, że to ciało było jakby jedną wielką raną od tysiąca kijów i batów.

Hr. Berg o tem pastwieniu się doskonale wiedział, wchodziło to w system owego „polakofila“. Podczas powstania wywieszał on z pewnością znacznie więcej, aniżeli nawet osławiony Murawiew wileński, a jeśli okazywał się nieco względniejszym dla Kościoła katolickiego, jeśli ocalił przed Czerkawskim Siostry Miłosierdzia, to głównie dlatego, że w gruncie był dla każdej religii obojętnym, więc nie czuł żadnej predylekcyi do prawosławia, a zatem i nienawiści do katolicyzmu, że mimo indyferentyzmu ale jako konserwatysta miał wstręt do podkopywania religii. Wiele z tego, co pod tym względem zrobił dobrego, przypisać głównie należy wpływowi żony i bardzo zacnej wychowanicy jenerałowej, Lachnickiej, gdyż obie te panie były bardzo gorliwemi katoliczkami. Że za Berga nastał największy rozwój ekonomiczny Królestwa, że założono tyle pożytecznych i ważnych instytucyj, jak Towarzystwo Kredytowe miejskie, Wzajemny Kredyt, Bank Handlowy, Bank Dyskontowy i t. d., wypływało to raczej z ówczesnego prądu w Petersburgu, z kierunku propagowanego przez ministra skarbu Reuterna, a nawet osobiście przez ces. Aleksandra II. To nie jego bynajmniej zasługa, lecz chwilowo sprzyjających okoliczności, ale za to winą jego niezaprzeczoną, winą największą i najcięższą: brakiem charakteru i powagi umożebnił dzieło zniszczenia wszelkiej autonomii Królestwa i całej roboty Komitetu Urządzającego.

Gdyby podzielał zapatrywania Milutynów, Sa-

marynów i Czerkawskich, gdyby należał do ich szkoły i szedł z nimi ręka w rękę — trudna rada — robiłby źle, haniebnie, lecz przynajmniej robiłby konsekwentnie. Lecz nie, on nie taił bynajmniej i zresztą powszechnie to było wiadomem, że stał z tymi panami na przeciwnych biegunach, że uważał ich za wrogów swoich i państwa, że potępiał ich politykę i przeczuwał fatalne owoce, jakie ona wyda. Czasy były inne, to nie dzisiejszy jenerałgubernator, subaltern ministra spraw wewnętrznych, ale Namiestnik, wice-król Królestwa Polskiego, to feldmarszałek, który na stanowisku, jakie w Warszawie zajmował, był Rosyi potrzebnym, nawet niezbędnym, jego *veto* mogło coś w Petersburgu znaczyć, mogło poskromić wszystkich Milutynów i Czerkawskich, mogło przynajmniej choć pod tym względem kraj zasłonić. Kwestya postawiona na ostrzu miecza nie byłaby z pewnością na niekorzyść Berga rozstrzygniętą. Lecz on ufał, że swoją osławioną „finezyą“ potrafi ich wszystkich wyprowadzić w pole, że całą tę nasłaną czeredę przełknie za jednym haustem, śmiał się z nich i powtarzał: *oh! comme ces Russes sont bêtes* (ulubiona jego przed Polakami fraza), ale ostatecznie całą władzę pozwolił sobie z rąk wyrwać, stanowisko swoje zanihilować i zeszedł w końcu do roli dyrektora teatrów, mięszającego się do obsady ról w operze i balecie (fakt autentyczny), feldmarszałka figuranta, starego, przeznaczonego na wymarcie, ostatniego Namiestnika. Sądził, że wszystkich wyprowadzi w pole, a tym-

czasem sam pierwszy osiadł na koszu. To, czego nie chciał, zrobiono; to, przeciw czemu się bronił, narzucono: kraj wydany został na formalną *razzię*, zburzono wszystko do szczętu — zniesiono autonomię, odarto i prześladowano Kościół, skasowano klasztory, urządzono wbrew jego przekonaniom kwestyę włościańską, słowem zadrwiono z niego na każdym kroku i nie miał nawet tyle ambicyi, tyle poczucia godności własnej, żeby obrócić się plecami i podziękować za służbę. Stary, zaschnięty kot mikołajewski dogorywał na Zamku, a pod nosem tańcowały mu milutynowskie myszy i szczury, drwiąc sobie z mumii, która zeszła do roli drewnianego manekina.

Kiedy w samych początkach powstania W. Ks. Konstanty zaprosił na herbatę niektóre osoby z towarzystwa warszawskiego, a głównie członków Rady stanu, dano hasło, że nikt nie pójdzie tego wieczora na Zamek, i salony namiestnikowskie świeciły pustkami. Wówczas jeden z młodszych członków Rady stanu, przestrzegając przed niewczesną demonstracyą, rzekł: „Przyjdzie czas, że w daleko gorszych warunkach będziecie się tłoczyć na ten sam Zamek, ale już nie jako zaproszeni, lecz jako zawołani“.

Przepowiednia ta niebawem miała się spełnić! Zamek za hr. Berga nie był już wcale Zamkiem za W. Księcia. Różnica zaszła olbrzymia, niezmierna. Brat cesarski był wice-królem, przyjechał z życzliwem dla kraju usposobieniem, z szczerą chęcią pokojowego załatwienia sprawy, a W. Księżna z nietajoną

ambicyą utworzenia w Warszawie rodzaju odrębnego dworu obok petersburskiego.

Pomimo więc zamachów i strzałów, rozwijano niezmordowaną uprzejmość, a nawet zalotność, chcąc na przebój zdobyć sobie sympatyę kraju, miasta i jego kół towarzyskich. Oboje W. Księstwo prześcigali się w grzeczności i kokieteryi; oboje pragnęli osobistym urokiem i wyszukaną uprzejmością zjednać sobie popularność i zapełnić salony Zamku reprezentantami wszystkich stanów i powołań, stworzyć nietylko centrum urzędowe, ale i towarzyskie także. Oboje zaś mieli wielkie po temu dane. Od tych, którzy mieli sposobność poznać bliżej W. Ks. Konstantego za jego namiestnikowskich czasów w Warszawie — wiem, że W. Książę z tej epoki, a ten, jakiego później widywałem w Petersburgu, to dwaj całkiem odrębni ludzie. Zmiana była ogromna, nietylko zewnętrzna, ale rdzenna, inny to już był człowiek i inny charakter... Na prawdę, szkoda wielka, że tyle dobrych chęci, tyle istotnych danych i rzadkich u Romanowych warunków, zmarnowało się i poszło w błoto. Wykształcony, jeśli nie bystry, to w każdym razie bardzo lotny, W. Ks. Konstanty, gdyby zdołał utrzymać się w Warszawie, byłby niezawodnie dobrym administratorem powierzonego mu kraju. Miał on przedewszystkiem wielką zaletę: pragnął szczerze pomyślności tego kraju i chciał istotnie dobrze dlań robić. Korespondencya jego ówczesna z cesarzem, znana ludziom, którzy obu otaczali (dziś po większej części nieżyjącym

jak śp. ministrowi Łęskiemu) świadczy, że wszystkie szały, wybryki, niedorzeczności a niestety nieraz i zbrodnie, przed bratem tłomaczył, łagodził, usprawiedliwiał, byleby go nie zrazić i w dobrem utrzymać usposobieniu.

Inna rzecz, czy ta chęć dobra szła zawsze w parze z możnością, czy wystarczyłoby *à la longue* dość silnej woli i energii. Do trudności, jakie W. Książę spotkał przybywając do kraju, który przez dwa lata chwiejnych i zmieniających się wciąż rządów, ustępstw zbyt powolnie i skąpo czynionych, już był spiskiem szeroko rozgałęzionym zewsząd znurtowany a ogólną atmosferą polityczną ówczesnej Europy w najwyższym stopniu rozegzaltowany, dodać należy i tę okoliczność, że dla W. Księcia widownia, na którą wstępował, była zupełnie odmienną od tej, do której od młodości nawykł — charakter ludzi, cywilizacya, aspiracya społeczeństwa zgoła inna niż nad Newą.

Miękkim i chwiejnym bywał on nieraz, ale gdyby wypadki innym poszły torem, gdyby powierzono mu namiestnictwo Królestwa w spokojniejszych czasach, niezawodnie wyrobiłby się z niego bardzo dobry naczelnik kraju i wice-król *modèle*. Brakowało mu więcej inicyatywy, niż zdolności; wiadomości miał duże, wszystkiem zajmował się z prawdziwem zamiłowaniem, interesa pojmował łatwo, a miał przytem wielką skłonność do protegowania nauk i sztuk pięknych. Były też chwile, że pod tym względem roił sobie wiele; kto wie,

czy ten Zamek, Łazienki, te spotykane na każdym kroku wspomnienia Stanisława, nie dodawały mu impulsu do naśladownictwa ostatniego króla polskiego, który tak wielkie dla sztuk i literatury położył zasługi. Na Mecenasa miał on ogromne zacięcie — i wierzę, że łzy, któremi oboje żegnali Warszawę, były szczere i prawdziwe. Za ich czasów Zamek reprezentował też więcej, niż rezydencyę Namiestnika, tworzył się już pewien zawiązek dworu polskiego, z umysłu szukano zbliżenia się do Polaków, a ze sferami rosyjskiemi utrzymywano niezbędne tylko urzędowe stosunki, a im więcej stroniono od nich, tem bardziej W. Księstwo zwiększali swoją uprzejmość, podwajali kokieteryę. W. Książę gotów pierwsze uczynić kroki wszystkim wybitniejszym wówczas osobistościom, po rosyjsku nie odzywał się chyba nigdy, najwięcej mówił po francusku, a czasami i po polsku, bo język ten znał wcale nie źle, i przyjechawszy do Warszawy, zaczął nad nim usilnie pracować. Unikano wszystkiego, coby mogło ich obce pochodzenie przypominać, pozowano literalnie na dwór polski, na życzliwość dla kraju i szczere dobra jego pragnienie...

Inaczej też wówczas wyglądał Zamek, a chociaż często bywały w nim pustki... Lecz lepiej nie mówmy już o tem, bo wiesz, że pragnę uniknąć w tych listach, a zwłaszcza w tym pierwszym, wszelkich historycznych reminiscencyj i rekryminacyj. Co się stało, odstać się już nie może. Kładę więc krzyżyk nad temi wspomnieniami, bo mimowolnie niejeden

może zgrzyt wywarłby z pod mojego pióra, a rozmyślania na ten temat zaprowadziłyby mnie tam, gdzie zajść nie zamierzam.

Hr. Berg, „uśmierzywszy“ powstanie, zapragnął, aby Warszawa się bawiła. Zależało mu na tem, żeby świat i Petersburg widział, *que l'ordre regne à Varsovie* i że swoboda umysłów wróciła zupełnie. Sypały się więc bale i wieczory namiestnikowskie, jak z rogu obfitości. Gorszono się wówczas bardzo i u was, i w Paryżu, żeśmy na te bale chodziły, że miałyśmy czelność, jak się patetycznie wyrażono, „tańczyć na grobie Ojczyzny“. Moja droga! tym wszystkim, którzy nas tak w czambuł potępiali, radziłabym tylko, aby choć na chwilę raczyli zająć nasze miejsca, postawić się w naszem położeniu. Ile nas było, każda i każdy miał wówczas jakiś interes u Namiestnika: temu szło o uwolnienie brata, innej o wydobycie męża, trzeciej wreszcie o kogoś z przyjaciół lub rodziny. Niechby spróbowała nie pójść do Zamku, niechby odważyła się „frondować“ i otrzymawszy zaproszenie, lub z obawy przed niem, wyjechać na wieś... Kładło się tu na kartę losy najbliższych, a często i własną egzystencyę. Dobrze to z daleka doradzać męztwo i stawiać przykłady Spartanek. *La critique est aisée,* ale sztuka utrzymania w takich razach równowagi między koniecznością i musem, a godnością własną, niezmiernie trudna... Szczęśliwy ten, komu bez sromu i poniżenia udało się jakoś przepłynąć między owoczesną Scyllą i Charybdą. Tych zaś, co nie okazali

zdolności ekwilibrystycznych, potępiać w czambuł nie śmiem. Żałuję ich mocno, ale piętnować nie mam odwagi. Jakie to były ówczesne bale na Zamku, przekona Cię najlepiej następujący fakt, *notabene* najwierniej powtórzony...

W parę lat po powstaniu, hr. Berg dawał bal na Zamku. Salony były przepełnione, całe towarzystwo polskie w komplecie. Ktoś z naszych rozmawiając z jen. Trepowem, chcąc utrzymać banalną konwersacyę, zaryzykował frazes:

— *Mais general, la soirée est joliment reussit...*

— *Comment reussie?* odburknął oburzony Trepow — *on à fait venir 300 personnes, il n'ya ni 299, ni 301, il y'a trois cents.*

Masz z tego miarę, czy to tak łatwo było dostać migreny i zaproszenie z Zamku rzucić do kosza. Wszyscy jeszcze pamiętają fakt, jak jeden z obywateli, wzięty nagle z rozkazu Berga do cytadeli, dostał tam, tak z dobrej ochoty, 40 kijów. Nazajutrz po tej operacyi puszczono go na wolność, a w tydzień potem był zaproszony na bal w Zamku, gdzie go hr. Berg z całą kurtuazyą pytał troskliwie o zdrowie i ubolewał nad bladością cery.

W owych zapiskach *Russkiej Stariny* autor zawzięcie rzuca się na Namiestnika za to, że zapraszając do siebie na obiady niektóre wybitniejsze osobistości polskie, sadzał je u stołu bez względu na rangi i ordery innych obecnych Rosyan. Cytuje on z ogromnem zgorszeniem fakt, że na obiedzie galowym w dzień imienin cesarza, *kakaja to pol-*

skaja obezjana (le mot est joli n'est ce-pas?), niemająca nawet rangi honorowego sowietnika, siedziała wyżej u stołu od jenerała świty J. Ces. Mości i kawalera orderu św. Stanisława I klasy, dlatego jedynie, że nosiła historyczne polskie nazwisko. I na tym dopiero wypadku snuje cały akt oskarżenia na hr. Berga, zarzucając poniżanie umyślne Rosyan, stronność dla Polaków, umizgi do arystokracyi i t. d. Na takich to danych opiera się polakofilska sława hr. Berga. Śmiech rzeczywiście bierze, czytając wszystkie te elukubracye rosyjskie i zadaję sobie tylko pytanie, czy podobne brednie można pisać i drukować na seryo, czy są na prawdę tak ograniczone głowy, aby takie głupstwa brać poważnie i na nich opierać swe zdanie? Nie — dobrej wiary a nawet zaślepienia żadną miarą przypuścić tu nie mogę, lecz widzę tylko po prostu podłość zwyczajnego czynowniczyny, obrażonego za to, że stary Niemiec nie pozwalał mu się przynajmniej u siebie w salonie rozbijać i w stosunkach towarzyskich hamował *szerokaju naturu.* — O formy dbał Berg bardzo, był to stary lis niemiecki, wieszał na wszystkie strony, ale zawsze w białych rękawiczkach i ze łzą w oku. Miał pewną wstydliwość pozorów i to mu właśnie brano w rosyjskich kołach za złe. Czynowników nie dopuszczał do poufałości, lecz trzymał ich zawsze na *błagorodnoj dystancyi*, jak to Rosyanie nazywają; starym jenerałom nie podawał nawet ręki, sztywny był i zimny, a z wyrafinowaną grzecznością sypał piasek w oczy Polakom. Wystarczało

to już, aby go potępiono w katkowowskich kołach. Więcej jeszcze może od Murawjewa w wieszaniu i zsyłce Polaków zasłużony, nie otrzymał on, jak tamten, w darze od „dam russkich“ złotego topora i zeszedł ze świata przeklinany zarówno przez prześladowców, jak i prześladowanych, *Le vieux saltimbanque*, jak go tutaj nazywano — przespekulował się. Nikogo nigdy swoją „finezyą“ nie wywiódł w pole, a sam skończył nie jak Reinecke Fuchs, lecz jak najzwyczajniejszy lis w żelazach, i lada osieł pozwalał go sobie nogą potrącać. Tyle o hr. Bergu. Sprawiedliwość jednak nakazuje mi zakończyć jego charakterystykę następującą konkluzyą. Mimo tych wszystkich stron ujemnych, a nawet niskich, trzeba jednak względnie do dzisiejszego położenia powiedzieć i przyznać, że hr. Berg wrodzonej nienawiści a nawet złości do Polaków nie czuł, owszem w gruncie wolałby ich niż Rosyan, radby był, żeby się kraj ekonomicznie dźwignął, chętnie z Polakami przestawał, objaśnień o położeniu materyalnem i potrzebach szukał. Jako konserwatysta wstrętnemi mu były wszystkie destrukcyjne polityczne swawole, niszczenia, niechętnie na nie patrzał — ale jako służbista wykonywał. Zapewniają jednak świadomi, że na łożu śmierci w Petersburgu, kiedy dogorywającego cesarz Aleksander II odwiedził, prosił o jedno, to jest: o zaprzestanie groźnego i krwawego prześladowania.

Pani Berg, Włoszka z domu, mało się mięszała do interesów. Stara, chorowita, niewstająca prawie

z fotelu, za wpływem swojej wychowanicy jen. Lachnickiej wstawiała się do męża w sprawie to Sióstr Miłosierdzia, na które Czerkawski tak się zawziął, to zasłaniając, o ile możności, duchowieństwo i Kościół katolicki, którego była gorącą wyznawczynią. Pod tym względem zrobiła rzeczywiście dużo dobrego, a zasługa tu wspólna jej i pani Lachnickiej obu zacnych, dobrych i pobożnych pań. Dom hr. Bergów naturalnie w tych warunkach nie mógł być miłym, chodzono tam z przymusu, a wogóle stary Namiestnik z natury bardzo skąpy i na pieniądze chciwy, nie dbał tak bardzo o okazałość swego dworu i wspaniałe przyjęcia. Wszystkiego tam bywało szczupło i skąpo, prawdziwie po niemiecku, dużo blichtru, mało treści. Sumy na reprezentacyę dawano znaczne, ale wychodziła ich zaledwie drobna cząsteczka. W dzień imienin cesarskich telegrafował do Petersburga, że kazał rozdać tysiące obiadów ubogim dla uczczenia najdostojniejszych solenizantów. Brzmiało to bardzo szumnie i okazale, ale owe obiady, to po prostu dziesięciogroszowe marki na zupę rumfordzką, zakupywane w Towarzystwie Dobroczynności. I tak na każdym kroku, kieszeń miał bardzo ciasną i nie lubił nigdy rozwiązywać swej kieski. Zostawił też wielką fortunę, zwiększaną ustawicznie donacyami państwa.

Po śmierci Berga, Zamek przestał być rezydencyą namiestników, a stał się siedzibą jenerał-gubernatorów, czyli, jak się to jeszcze inaczej nazywa:

„głównych naczelników kraju.“ Pierwszym takim „głównym naczelnikiem“ był hr. Paweł Kotzebue, poprzednio jenerał-gubernator odeski. — Władzę jego znacznie ograniczono, działalność ścieśniono, a pozycyę zredukowano do znaczenia tej, jako zajmują podobni satrapi w Wilnie, Kijowie, Charkowie itd. Niemiec z pochodzenia, protestant, jak Berg żołnierz mikołajewski, nie miał on jednak tego, co jego poprzednik, stanowiska osobistego ani w armii, ani w Petersburgu, ani u cesarza. Obeznany z krajem jeszcze za czasów Paszkiewicza i ks. Gorczakowa (służył tu bowiem po r. 1831 w wojsku), przybywał do niego wprawdzie bez wielkiej życzliwości, ale i bez *parti pris* i zawziętości. Sam suchy i samolubny, tak też patrzał na świat otaczający i na swe obowiązki. Zastawał zupełną *tabula rasa.* Ekstyrpatory Komitetu Urządzającego przeszły już całe Królestwo Polskie, nie ostał się kamień na kamieniu, żadna więc poszczególna misya nie przypadła hr. Kotzebuemu w udziale. Twardy, dla podwładnych szorstki, nie lubił, ażeby mu dokazywano pod nosem, biurokracyę trzymał silnie w rękach, u gubernatorów miał może większą powagę, aniżeli Berg; względem Petersburga odznaczał się jeśli nie jakąś nadzwyczajną energią, to przynajmniej pewnego rodzaju uporem. Niezawsze osiągnął to, czego chciał, ale niełatwo odstępował od swoich żądań. Mściwym był i lubił zawsze złamać tych, co mu stawiali jakikolwiek opór. W swoim czasie

z powodu drobnego zajścia*) padł mściwości jego ofiarą prezes teatrów Muchanow, na którego tak się zawziął, że wychodząc na emeryturę, jeszcze w ostatniej chwili wymógł na cesarzu jego dymisyę. Pod koniec jego urzędowania, kiedy Apuchtin, ufny w swe wysokie protekcye nad Newą, zaczął zanadto sobie pozwalać i jakby drwić z jego władzy, poleciał do Petersburga i chociaż dymisyi mu nie wyrobił, to jednak p. Kuratora wezwano, a cesarz go osobiście wystrofował, robiąc wyrzuty, dlaczego ze *starikom* nie żyje w zgodzie. Za niego czynowniki siedziały przynajmniej, jak myszy pod miotłą, wszy-

---

*) Jenerał ks. Imeretyński pochodzący z krwi dawnych książąt gruzińskich nie zażywał wielkiej łaski u hr. Kotzebue a zwłaszcza hrabina bardzo nie lubiła księżnej i sztywna dla wszystkich, dla niej specyalnie była urzędownie chłodną i dawała niejednokrotnie uczuć wyższość swego biurokratycznego stanowiska. Ztąd księstwo bywali niechętnie w Zamku a kiedy hr. Kotzebue zwrócił raz na to uwagę księcia jenerała, robiąc mu gorzką wymówkę, iż stroni od Zamku, książę ów przycinek wziął za urzędową naganę a nawet za rozkaz zwierzchnika i na następnym balu ukazał się wraz z żoną. Ze strony hrabiny przyjęcie było tak sztywne i dumne, że oboje księstwo natychmiast opuścili bal zamkowy. Scena odegrała się publicznie i w swoim czasie stała się: *cause célèbre.* Ztąd jeszcze większe naprężenie stosunków, tém bardziej, iż coraz głośniej zaczęto wymieniać księcia jako następcę hr. Kotzebue. Winą p. Muchanowa było to tylko, iż prezes teatru bezpośrednio po tem zajściu zaprosił do siebie na obiad ks. Imeretyńskiego. Fakt ten tak rozgniewał hr. Kotzebue, iż Amfitryonowi zaprzysiągł od tej chwili srogą zemstę.

stko się oglądało na Zamek, i nikt nie śmiał prowadzić polityki na własną rękę. Bano się go, a to coś dla nas znaczyło. Lada jenerał lub *sztatskij sowietnik* nie śmiał się tak, jak dziś, rozrzucać, a bywały wypadki, że i zwyczajny śmiertelnik mógł u Kotzebuego znaleść sprawiedliwość i wygrać sprawę. Mikołajewski konserwatysta, człowiek władzy i porządku, Niemiec rządny i gospodarny, sam posiadający w Estlandyi wzorowo urządzony majątek, nie lubił podjudzania jednych warstw przeciw drugim i dlatego w sprawach serwitutowych wywierał pewien dodatni nacisk nagląc o szybkie załatwienie sporów i ugodową dążność komisarzy. Wierny służbista, nadsyłanych mu rozkazów nie dyskutował nigdy, dlatego też w sprawie unickiej postępował bezwzględnie, robił, co mu kazano, strzelał, siekał, rąbał, wysyłał masami na Sybir, ale przynajmniej nie brał w tem wszystkiem inicyatywy, wykonywał rozkazy, ale się o nie nie napraszał i coraz to nowych projektów eksterminacyjnych nie podsuwał. Nie śmiej się z tego, że i to uważano mu za pewnego rodzaju zaletę i rys dodatni. Poczekaj trochę a przekonasz się, że w porównaniu do dzisiejszego stanu różnica niemała. Zresztą hr. Kotzebue był w rzeczach religii i kościoła katolickiego nie tylko indyferentny, ale jako wolnodumiec protestancki, z przekonania i usposobienia nieżyczliwy i zawzięty. Zkądinąd znowu jako człowiek rozumu, porządku i zachowawczy, czuł całą ohydę tego, co wykonywał, ale że choć nizki albo bardzo *ambitny* i wła-

dzy zazdrosny, roił może, iż powolnością swoją w tej kwestyi utoruje sobię drogę do zupełnego zaufania rządu i przywrócenia upragnionego Namiestnictwa. Nie lubił ogromnie, aby ktokolwiek robił interes wprost z Petersburgiem, jego pomijając; wówczas mobilizował wszystkie swoje środki i wpływy, aby pomyślnego skutku nie dopuścić. Podwładnych traktował *en canaille*. Kiedy pewnego razu zwiedzał jedną z guberníj Królestwa, a nasłany gdzieś z Kazania czy Charkowa prezes komisyi włościańskiej, który *à outrance* zajątrzał spory serwitutowe i wbrew zasadom Naczelnika kraju starał się utrzymywać ferment niezadowolenia — zapragnął przedstawić mu komisarzy swojej gubernii — odwrócił się od niego i przy wszystkich rzekł na głos:

— *Ja znaju, czto wy z soboju wsiu swołocz priwieli*... (Ja wiem, że pan przywiozłeś z sobą całą hałastrę...).

Miał hr. Kotzebue tę ambicyę wspólną wszystkim porządniejszym niedobitkom mikołajewskim, że dbał o dobrą w Petersburgu reputacyę powierzonego mu kraju. Kiedy się zaczęły knowania nihilistyczne w Rosyi, hr. Kotzebue dumnym był z tego, że Królestwo Polskie wolnem jest od anarchicznej zarazy. Jemu nie szło o konieczne zaszczepienie tej zarazy wśród polskiej ludności i młodzieży, jemu ta niepokalaność Polaków nie stała bynajmniej solą w oku i przeciwnie nie szkalował nas pod tym względem, lecz raczej starał się bronić wobec ce-

sarza i sfer petersburskich. Nie czynił tego wcale przez jakąś specyalną sympatyę, lub życzliwość dla kraju, lecz po prostu z ambicyi i przekonania, że tam, gdzie on stoi na czele, nieporządków być nie może.

Ztąd ustawiczna walka z raportami żandarmskiemi, a specyalnie z jen. Orżewskim, oskarżającym kraj o ciągłe knowania, spiski i udział w anarchicznych robotach; ztąd wielka stanowczość w ściganiu wszystkich zakusów nihilistycznych, tłumionych silną ręką; lecz w cichości, bez esklandry, bez chęci zadokumentowania przed Petersburgiem i całym światem, że Polacy nie są lepsi od Rosyan, że i ich dotknęła ta sama choroba. Odcień to ważny i znaczący, różnica z postępowaniem późniejszych jego następców wielka. Za Kotzebuego odkryto parę drukarń, przyłapano całą paczkę proklamacyj, schwytano kilkudziesięciu agitatorów — ale wszystko to odbyło się cichutko, spokojnie, świat w parę miesięcy później dowiedział się o tem i to tylko głucho, w formie niepewnych pogłosek. Szumnych raportów, stwierdzających urzędownie istnienie agitacyi nihilistycznej w Królestwie, nie ogłaszano wcale. Późniejsze postępowanie było całkiem inne. Kiedy przed kilku latami wykryto w kołach rosyjskich i to czysto urzędowych, znany spisek Bardowskiego, wnet jakby na dane hasło, gazety rosyjskie uderzyły na alarm nie tając bynajmniej swej *Schadenfreude* z tego, że zaraza doszła i do

Królestwa. Za Kotzebuego coś podobnego nie mogłoby mieć nigdy miejsca.

Kiedy po wojnie rosyjsko-tureckiej kilku znanych półgłówków lwowskich wciągnęło grono tutejszej młodzieży w jakąś niemądrą awanturę, ograniczoną wreszcie na jednej, bynajmniej nie w Warszawie pisanej proklamacyi, hr. Kotzebue schwycił odrazu nieszczęśliwe ofiary niepoprawnych exdyktatorów, ale całą sprawę stłumił za jednym zamachem, przedstawiając w Petersburgu prawdziwy stan rzeczy, tłómacząc, iż ludność Królestwa, iż kraj nie ma nic z temi robotami wspólnego, i że są one tylko sporadycznym objawem. Bezwzględnym wykonawcą najostrzejszych nawet rozkazów (*vide* sprawa unicka) był on zawsze, instygatorem nigdy. I to coś już w naszych warunkach znaczy. Dbał o to, aby Królestwo miało opinię „spokojnego“ i co ważniejsza, umiał tę opinię w sferach najwyższych utrzymać i ochronić od wszelkich żandarmskich raportów i szkalowań. A nie przychodziło to bynajmniej łatwo. „Starik“ — jak go między sobą czynownicy nazywali — musiał się nieraz w Petersburgu bardzo ostro potykać z tymi, którzy pragnęli wmówić w cesarza i jego otoczenie, że Królestwo to wulkan, lada chwilę wybuchnąć mający. Z kilku stron prowadzono podjazdową przeciw niemu walkę, a główną kwaterą tej kampanii była zawsze dawna mennica królewska przy ul. Bielańskiej (pałac żandarmeryi), wodzem zaś, nienawidzącym nas całem sercem i duszą, jen. Orżewski.

Ciekawa to osobistość, ten młody jenerał, który

ani z potrzeby (gdyż sam jest kolosalnie majętnym), ani dla karyery (służył bowiem poprzednio w kawalergardach, pepinierze dygnitarzy wojskowych i cywilnych w Rosyi), lecz z zamiłowania i *pour l'amour de l'art* wszedł do żandarmeryi, sprawiającej — jak wiesz zapewne — służbę głównie szpiegowską. Z rodziny wprawdzie niezbyt starej, o pochodzeniu jeneralsko-mieszczańskiem, przez niedawne małżeństwo z księżniczką Szachowską znacznie pod względem towarzysko-arystokratycznym podniesiony, wychowaniem gładki, bardzo przystojny, wyglądał raczej z pozoru na jednego z tych *lowelasów*, którzy zjeżdżają tu czasami z Petersburga, aby wesoło przehulać swoje kilkadziesiąt tysięcy renty, na lewka salonowego, aniżeli na oberszpiega, którego kontroli podlegają wszyscy od najskromniejszego urzędniczyny, aż do Naczelnika kraju. Widywałam go bardzo często, dawniej w Petersburgu, a później tu w Warszawie, bo *le beau géneral* lansował się w świat.

Dość pracowity, niezmiernie bystry i przebiegły, miał dziwnie przenikliwe szpiegowskie oczy. Wiesz, że dotychczas oczy te (nawiasem mówiąc, bardzo piękne jasno-niebieskie) nie mogą mi wyjść z pamięci... — tak niemi przeszywał na wskróś, zapuszczając jakby sondę w najskrytsze głębiny serca i myśli ludzkiej. Powołanie swoje traktował *con amore*, fałszywego i bardziej układnego człowieka nie znałam; nikt, literalnie nikt (nie mówię tu naturalnie o Polakach, lecz o Rosyanach), nie wiedział, jak z nim stoi i nie ufał mu... Każdy bał się go jak

ognia, i drżał przed jego tajnemi raportami... Dość Ci powiedzieć, że cytowano mi fakt, *nb.* całkiem autentyczny, jako *le beau géneral*, mając romans z żoną jednego z jenerałów, swego kolegi i przyjaciela z lat dziecinnych, męża jej najstraszliwiej w Petersburgu denuncyował i o mało nie pozbawił bardzo korzystnej a wygodnej posady... Dać Ci to może miarę *de la force de ce jeune homme* i rzadkich, a istotnie czysto rosyjskich zalet... Wspominam tu o nim dlatego, że właśnie główna jego działalność u nas rozwijała się za panowania hr. Kotzebuego, i że stary Kurlandczyk przez cały czas swego wielkorządztwa przed nim to musiał wszystkiemi sposobami kraj bronić. Fanatyk prawosławia na zimno, on także w prześladowaniach unickich znaczną i instygatorską odegrał rolę. Nie znoszący zwierzchnictwa, pod każdym naczelnikiem dołki kopał. Zimny, samolubny, ale namiętnie ambitny, chciał gorliwością prawosławczyka i rusyfikatora na wyższe wspinać się szczeble. Zkądinąd nieprzedajny i nieprzystępny — surowo dochodził i karcił nadużycia i przekupstwa; posiadał wrodzony zmysł władzy i porządku i dlatego w innych postawiony warunkach nie byłby dopuścił rozprężenia i samowolności administracyi, nie byłby także łechtał złych skłonności mas wiejskich i ulicznych w widokach politycznej propagandy. Awansowany z naczelnika okręgu żandarmskiego w Warszawie na towarzysza ministra spraw wewnętrznych w Petersburgu (dawne stanowisko szefa III-go oddziału

kancelaryi cesarskiej) w kwestyi bezpieczeństwa osoby imperatora popadł w scysyę z innemi władzami, a podobno głównie z „gradonaczalnikiem“ stolicy jen. Gresserem, i ostatecznie po długiej walce dworsko-policyjnej, przegrał z kretesem i musiał ustąpić miejsca jenerałowi Szebeko. Sprawdziło się też na nim ostatecznie dawne przysłowie o kopaniu dołków. Póty wietrzył różne intrygi, aż nareszcie sam padł tych intryg ofiarą. Dziś żadnej posady niema i jak mówią Niemcy „prywatyzuje“ nietając podobno wcale swego niezadowolenia z biegu spraw i wszechwładztwa panującej na dworze gatczyńskim kliki.

Niski, mały, zasuszony, o dobrotliwie zawsze uśmiechniętej twarzy, którą zdobiły szczotkowate siwe faworytki, hr. Kotzebue w stosunkach towarzyskich był może o wiele od Berga sztywniejszym i nie zadawał sobie tyle, co tamten, trudu olśnienia i ujęcia, ale za to nigdy nie grał roli *saltimbanqua* i nie skakał na linie osobistej przyjaźni i gorliwości. Zażyłym i poufałym z nikim nie był, tak dobrze z Polakami, jak i z Rosyanami, nie ubliżał nikomu z umysłu, bo miał formy bardzo przyzwoite i gładkie, ale każdego trzymał w pewnej odległości. W drobnostkach starał się być uczynnym, w większych sprawach nie oszukiwał, szczerze objawiał swe zdanie, czy rzecz jest możliwa, lub nie, do zrobienia; a chociaż jeździł ruskim zaprzęgiem, bo to nakazywanem było z góry, na zawziętego rusyfikatora nie pozował i wstrętu do cywilizacyi nie żywił.

W rozmowie z Polakami używał stale języka francuskiego — podczas pobytów cesarskich nie usuwał towarzystwa polskiego na drugi plan, lecz przeciwnie ułatwiał mu zbliżenie się do Aleksandra, przestrzegając oddanie każdemu, co mu się należy. Miał pewnego rodzaju wyrozumiałość dla trudnego położenia kraju i pojedynczych osobistości, nie rozczulał się nad niemi, ale przynajmniej, o ile możności, uwzględniał. W sprawach ekonomicznych nie odmawiał swego poparcia i wstawiennictwa, a wystawami naszemi (które za niego głównie wzięły swój rozwój) interesował się nie ze względu na to, jakimby sposobem przemysłowi naszemu kark skręcić, ale dość szczerze i gorąco, o ile słowa „gorąco" można wogóle w charakterystyce hr. Kotzebuego w jakiemkolwiek zastosowaniu użyć. Bezwarunkowo najlepszy ze wszystkich popowstaniowych wielkorządców *administrator*, z przekonania i pochodzenia był szczerym konserwatystą, a jeśli w sprawie unickiej tak bezwzględnem stał się narzędziem, to kto wie, czy nie w nadziei, że w nagrodę na tem polu położonych zasług, otrzyma tytuł namiestnika. Ta myśl świtała w głowie jego bardzo często, a rozbijała się zawsze w Petersburgu o przyjętą już raz z taką stanowczością zasadę: zatracenia wszelkiej odrębności Królestwa Polskiego. Przekonawszy się kilkakrotnie o tem, hr. Kotzebue postanowił szukać nagród mniej platoniczno-hierarchicznej natury. Rzadko który z dostojników rosyjskich był jak on, chciwym i łakomym na wszelkie

donacye i majoraty. Pod tym względem miał apetyt nienasycony i umiał się tak urządzać, iż na niewdzięczność monarchy nie miał się prawa uskarżać. Zapłacono mu jego usługi donacyą i to zapłacono bardzo grubo. Patrząc na te zabiegi, przychodziła mi zawsze na myśl ta tak trafna i po wszystkie wieki prawdziwa definicya Beaumarchais'go Figara, który na zapytanie, jak się zostaje dworakiem, odpowiada Zuzannie: *Reçevoir, prendre et demander, voila le secret en trois môts.* Hr. Kotzebue przyjmował, brał i zawsze prosił, bo był nienasycony. Szkodziło mu to u cesarza niemało i podobno ostatecznie przyspieszyło rozstanie się ze służbą pod pozorem przejścia — jak u was to zabawnie nazywają — „w stały stan spoczynku".

Pani Kotzebue, Manteuffel z domu, dumna Niemka, a dumna nietylko ze stanowiska męża, ale i ze swego arystokratycznego pochodzenia, sztywną była i zimną, ale zawsze grzeczną i dobrze wychowaną. Oburzali się na nią czynownicy i jenerałowie za to, że nikomu prawie z nich nie podawała ręki, a zimną swą grzeczność zachowywała prawie wyłącznie dla dam i pań polskich; ale pochodziło to ztąd, że tamtych traktowała zawsze jako podwładnych, a nasze towarzystwo jako zaproszonych. Znać było pod tym względem pewną różnicę w obejściu się, coś, co przypominało śmieszną etykietę małych dworów niemieckich, dyferencyę między *Kurfähigen* i *Kurbefohlenen.* Otóż dla pani Kotzebue arystokracya polska była *Kurfähig,* równa jej urodzeniem, a je-

neralsze i czynownikowe tylko *Kurbefohlenen*, przypuszczone łaskawie do dworu. Kilkakrotnie brała ona inicyatywę w sprawach miłosierdzia, przewodniczyła komitetom ratunkowym dla dotkniętych powodzią i pogorzelców i[illegible]ez wielkiego entuzyazmu i pozowani[illegible]antropkę, ale z przyzwoitą gorliwością i chłodem kobiety, która rozumie, że ze stanowiska jej wypada i trzeba pomyśleć czasem o biednych. Wogóle, o ile pani Berg robiła wiele dobrego i wszystkie jaśniejsze strony rządów ostatniego Namiestnika są jej i pani Lachnickiej zasługą, a osobiście bardzo dużo osób umiała sobie zobowiązać, o tyle pani Kotzebue wdzięcznych serc w Warszawie nie zostawiła, ale też nie obarcza jej pamięci żadne przykre wspomnienie. Była zawsze i na każdem miejscu *correcte* i przyzwoitą i oto cała jej charakterystyka.

Za państwa Kotzebue przyjęcia w Zamku odznaczały się wielką wspaniałością. Hr. Berg był sknerą, hr. Kotzebue chciwym, różnica wielka; tamten spekulował na zaoszczędzeniu paru tysięcy rubli z kosztów reprezentacyjnych, ten o takie drobnostki nie dbał, lecz owszem, lubił się pokazać. Wszystkiego bywało tam dostatnio i dobrze, kuchnia doskonała i obfita, wina wyborne, służba nie w liberyi zamkowej, lecz w jego własnej z herbami Kotzebuych, zabawy urządzane z doświadczeniem i elegancyą. Czarną stroną domu pp. Kotzebue była mieszkająca przy rodzicach młodsza córka, starsza pani Rosen ukazywała się rzadko w Warszawie,

lecz druga, wydana za młodego i bardzo przystojnego adjutanta jenerał-gubernatora, p. Pilar von Pilchau, któremu cesarz pozwolił później używać tytułu i nazwiska żony (hr. Kotzebue-Pilar), zadzierała trochę nosa i nieraz bywała impertynencką i źle wychowaną. Nie lubiano jej za to powszechnie, zwłaszcza, że do tej wady przyłączyła się śmieszna pretensya do piękności, którą ani mama Kotzebue (sucha, wysoka Niemka), ani jej córki nie grzeszyły wcale. Za to p. Pilar, nieciekawa osobistość, miał, dzięki swym wąsikom i zgrabnej postawie, względne powodzenie w pewnych salonach, a bezwzględne w... balecie.

Jeśli się ma rządy znośne, spokojne, niedokuczliwe, a wśród nich stosunki przynajmniej jakie takie, wówczas każda możliwość zmiany wzbudza trwogę i strach, czy to, co nastąpi, nie będzie gorszem, czy znowu nie zejdziemy o jaki stopień niżej. Kiedy hr. Kotzebue odchodził z Warszawy, cofając się już na zawsze do życia prywatnego, nie było wielkiego żalu, ale była ogromna obawa wyboru następcy. W takich razach trzymamy się zawsze tej bolesnem doświadczeniem zdobytej zasady, że odleżała wizykatorya n i e c i ą g n i e, a w każdym razie ciągnie mniej aniżeli nowa i świeża. Ze staruszkiem zżyło się jakoś w ciągu lat kilku i co ważniejsza i on, samą siłą rzeczy, zżył się także trochę z tym krajem. Niech ten, co przyjdzie na jego miejsce, będzie innym; niech nie ma tej względnej uczciwości, jaka w wielu razach odznaczała

hr. Kotzebuego, a wówczas spadek ku dołowi niechybny.... Pojmiesz więc, moja droga, z jak wielką trwogą oczekiwaliśmy tu wszyscy depeszy z Petersburga, zwiastującej wybór nowego wielkorządcy. Na szczęście, wybór ten wypadł względnie najpomyślniej. Naczelnikiem Królestwa Polskiego został jenerał-gubernator wileński, jenerał-adjutant Albedyński. Poznałaś go podczas pobytu waszego Cesarza w Krakowie, a poznałaś go ze strony korzystnej, bo reputacya jen. Albedyńskiego jako człowieka uczciwego, doszła aż do was w Galicyi, a na niewdzięczność pod tym względem Polaków zmarły jenerał-gubernator nie miał się chyba prawa uskarżać.

„Uczciwemu człowiekowi“, oto napis, jaki na wieńcu pośmiertnym dla Albedyńskiego położyli studenci warszawscy; oto najlepsza niechybnie i najtrafniejsza charakterystyka. Człowiek, który tyle lat spędził w służbie carskiej; człowiek, który zajmował tak niezmiernie trudne i śliskie stanowiska, jak w Wilnie i w Warszawie i to wśród warunków dla nas najgorszych, wśród usposobienia w Petersburgu i sferach najwyższych tak nam wrogiego, w czasie, kiedy naganka dziennikarstwa zaczynała już przeciw nam w najlepsze huczeć... człowiek taki, jeśli przechodzi całą swą karyerę bez plamy i w końcu jako najwyższy hołd pośmiertny zdobywa tytuł „uczciwego“, musi być chyba rzadkim fenomenem, zjawiskiem wyjątkowem, nie *rara,* ale już *rarissima avis.*

Takim on był rzeczywiście. Chcąc przedstawić

całą wartość i czystość Albedyńskiego, trzeba nie przykładać do niego miary zwyczajnego krawca politycznego i sucho podsumowywać bilans pozytywnych rezultatów rządów, lecz należy wniknąć głębiej, zważyć bardzo ściśle warunki, w których działał; zakres, w którym zmuszony się był obracać — i dopiero wówczas zabierać się do ferowania wyroku o człowieku i jego działalności. Dotychczas wielką już było pochwałą dla każdego dostojnika rosyjskiego, mającego nad nami władzę, jeśli się mówiło, że nie robił nic złego. To *summum* wszystkiego, cośmy od nich żądali, to jedyny nasz dezyderat. Do Albedyńskiego szablonu tego stosować nie należy. Warszawa nie dlatego uczciła go demonstracyjnie wspaniałym pogrzebem, że nic dla kraju złego nie zrobił, lecz dlatego, że on jeden jedyny, ze wszystkich naszych popowstaniowych wielkorządców, chciał istotnie dobrze robić, że dowiódł tego kilkakrotnie, a w wielu razach chęć stwierdził skutkiem. Prądu wiejącego z Petersburga zmienić nie mógł, systemu stosowanego do nas przewrócić nie był w stanie, cudów bowiem żądać trudno, ale niezaniedbał niemal niczego, coby mogło krajowi temu jakąkolwiek, chociażby najdrobniejszą ulgę przynieść, ale miał odwagę, na którą prócz niego żaden Rosyanin się nie zdobył, kołatać do cesarza, uderzać wprost do niego osobiście, walczyć i wstawiać się za nami. A odwaga ta nie była łatwą i nie tuzinkową.... Za każdym raportem, za każdą audyencyą u cesarza kładł na

kartę swoje stanowisko, co więcej swój byt, bo osobiście niezamożny, służby potrzebował; bo stawiał czoło sam jeden całej sferze, najpotężniejszym dworskim i ministeryalnym koalicyom; bo do ostatniej chwili, już za nowego panowania, nie wahał się na posiedzeniu Komitetu Ministrów w oczach Aleksandra III. zadać im energicznie kłam i krzyknąć „nieprawda“. To był więcej, niż „uczciwy człowiek“ — to był uczciwy charakter, zacne serce, szlachetny umysł. Rzucając Litwę, przedstawił raport, żądający zniesienia kontrybucyi; z Warszawy kilkakrotnie kołatał do Petersburga, borykał się z Apuchtinem, wstawiał się u Aleksandra II. — i kto wie, jaki obrót wzięłyby rzeczy, gdyby nie nieszczęsny i dla nas zamach 13 marca, śmierć cesarza i tak gwałtowny przewrót całego systemu polityki państwowej. Z czasem ta strona działalności Albedyńskiego wyjdzie na wierzch, z czasem znajdą się historyczne dokumenta, stwierdzające prawdę słów moich, a wówczas nikt chyba nie będzie nas posądzać o stronniczą zasług jego przesadę, opartą głównie na dotkliwem uczuciu kontrastu z dzisiejszymi następcami i dzisiejszemi rządami.

Mężem stanu, ani nawet dobrym administratorem Albedyński nie był, ale był tym, co Francuzi nazywają *un homme de bien,* chciał robić dobrze i robił, o ile mógł, a wszędzie i zawsze w postępowaniu jego czułeś ten podstawowy ton szlachetny, tak u dygnitarzy rosyjskich niezwykły — to sumienie, którego nie zaprzedał i z którem w targi

się nie wdawał. Karyerę miał dworską, nie polityczną, wychowanie lekkie, salonowe, nawet niedyplomatyczne, bo może bardziej buduarowe, niż kancelaryjne, warunków mnóstwo na to, by stać się nadwornym Don Juanem i zakończyć życie, jako *Ober-Ceremonienmajster*, lub najwyższy *Hofmarszał* i dla tego tem dziwniejsze, że wśród tych egzotycznych kwiatów i w wirze walca, tańczonego z cesarzową Eugienią, zdołał się zachować w tym człowieku taki uczciwy charakter i taka czystość woli. Wszystko się składało na to, aby Albedyński całe życie pozostawał zniewieściałym dworakiem; hartu zażył on dopiero w drugiej połowie życia, kiedy osobiście mu bardzo życzliwy cesarz Aleksander II. zabrał go wprost z woskowanych posadzek do zielonego stolika. W ogniu nie był nigdy, trudów żołnierskich nie zakosztował i zaprawdę wyjątkowa musiała być ta natura, skoro wśród podobnej atmosfery nie zdołała się spaczyć i wykrzywić. Ślady młodzieńczej karyery odbijały się w nim później w przesadzonej i manierowanej nieco wykwintności obejścia, w pewnej lekkości, z jaką traktował poważne i zawiłe interesa, których długo słuchać nie mógł, bo go nużyły — zdolności mu nie brakowało, ale łatwiej mu było zdobyć się na *assiduité* przy damach, aniżeli nad papierami; lotnym był i pojętnym, tylko nie lubił się długo zatrzymywać przy jednym przedmiocie, nie mając tego, co Niemcy tak ordynarnie nazywają *Sitzfleischem*, a co byśmy nazwali zamiłowaniem do pracy. Owszem był ra-

czej leniwym. Ztąd pewna powierzchowność i nieznajomość interesów, a co gorsza, nieznajomość podwładnych i nieumiejętność ich wyboru; ztąd brak stanowczości i energii w postępowaniu z urzędnikami, zbyteczna powolność, dobroć serca w szczegółach, która paraliżowała nieraz najlepsze dla ogółu chęci. Zanadto on nieraz ufał i wierzył, nie umiejąc odgadnąć podstępu; bał się komuś osobiście źle robić, chociażby to złe dla tysiąca innych na dobre wyjść mogło.

Czynownikom łatwo przychodziło go oszukać, a najlepszy dowód w tem, że ten sam Apuchtin, którego później wszelkiemi siłami chciał wyrzucić, w pewnej chwili, w samych początkach, absolutnie był od niego zależny i wystarczyłoby tylko trochę stanowczej decyzyi i bezwzględności ze strony Albedyńskiego, a p. kurator powędrowałby z powrotem nad Wołgę, bo w Petersburgu dymisya jego za ministerstwa wyjątkowo porządnego człowieka p. Nicolai już była podpisana, ale Apuchtin tak się ze swoją powolnością i posłuszeństwem sumitował, że jenerała w pole wyprowadził. Po ks. Gorczakowie (namiestniku z czasów powstania), niewątpliwie najwięcej *gentlemanem*, był Albedyński. W rozmowie błyskotliwy, z karyery swojej dyplomatycznej zachował jeszcze zamiłowanie do *phrases bien tournées*, okrągłych, gładkich, potoczystych, obliczonych trochę na efekt. Dyplomata jednak nie musiał być z niego tęgi, bo komedyi nigdy nie grywał, podstępem się brzydził, hipokryzyą pogardzał.

To, co mówił, czuł zawsze szczerze, a chociaż czasem wyglądało to sztucznie i robione, to jednak posądzano go najniesłuszniej o udawanie i zabawę, w wielkie frazesa. Miał Albedyński *la grande manière de parler* i ta *grande manière* robiła czasem wrażenie komedyi, jak wogóle nadskakujące jego obejście się porównywano do zabiegów starej kokietki. Tak jednak w istocie nie było. Kiedy nazajutrz po zabójstwie Aleksandra II., pospieszyły na Zamek władze Tow. kredytowego i deputacya obywateli, z wyrażeniem współczucia i żalu, wówczas wyszedł do nich Albedyński przybity, blady, zmieniony ogromnie i wypowiedział mowę komentowaną później bardzo rozmaicie.

— *Messieurs! l'Empereur vous a aimé, c'est pour vous une grande perte, une perte enorme. Il vous a aimé, il a voulu du bien à ce pays....*

Od tych słów zaczynała się ta pamiętna mowa, a za niemi szło zapewnienie, że niedawno właśnie rozmawiał ze zmarłym Monarchą, że miał wówczas sposobność przekonać się, jako dawna życzliwość Aleksandra dla Polaków nie wygasła jeszcze, oraz trochę hazardowna aluzya, że nagła śmierć cesarza oddala bliską już chwilę doniosłych zmian i ulg dla Królestwa Polskiego.... Wszystko było mówione gorączkowo, pod wrażeniem wezbranego uczucia i żalu, frazesów widocznie nie układał, tylko wyrywały mu się one z gardła gwałtem, jakby nieprzepartą siłą.... Uśmiechano się trochę, słysząc to zapewnienie, *que l'Empereur Alexandre II. vous*

a aimé.... ale nie ulega wątpliwości, że Albedyński mówił te słowa z najgłębszem przekonaniem i najlepszą wiarą, a że tak było w istocie, przekonywują mnie fakta, z bardzo pewnego zaczerpnięte źródła.

Niedawno, właśnie przed zamachem, był on w Petersburgu i miał długą audyencyę u cesarza. Czasy były lepsze, Loris-Melikow stał u władzy, więc zahazardował się jeszcze raz i przedstawił Aleksandrowi II. raport swój co do stanu Królestwa Polskiego, wraz z żądaniem pewnych ulg.... Cesarz słuchał raportu z roztargnieniem, chodząc gorączkowo po pokoju.... Nagle uniósł się gwałtownie, twarz mu poczerwieniała, wargi drżeć zaczęły.... Albedyński przeląkł się straszliwie....

— *Sire! si cela doit nuire a vôtre santé, je retire mon rapport, je viendrai une autre fois*... i zalękniony wstał z krzesła, cofając się ku drzwiom.

W tej chwili cesarz zbliżył się do niego, przycisnął silnie rękę o jego ramię i sadzając go gwałtownie napowrót na krześle, zawołał gromko:

— *Non, restez*....

Latanina po pokoju zaczęła się na nowo. Nagle Aleksander II. stanął przed Albedyńskim i podnosząc w górę zaciśnięte pięści, zawołał całym głosem:

— *Ah! s'ils savaient combien je les aimés*....

Całe to opowiadanie wydaje mi się wielce prawdziwem. Cesarz Aleksander II. był dobrotliwego serca, ale słabego charakteru, a ztąd uparty i zawzięty w swych żalach i rozgoryczeniach, dał się

opanować mściwemu prądowi Katkowszczyzny i wyzyskującej sytuacyę tłuszczy czynowniczej, a wreszcie wszechwładnym za niego podmuchem wrogów naszych berlińskich, ztąd nie mógł nigdy przebaczyć Polakom dawnego swego dla nich uczucia, uważał się za osobiście pokrzywdzonego i najokrutniej zawiedzionego, ale nie ulega wątpliwości, że w ostatnich latach jego życia usposobienie względem nas zaczęło się o wiele zmieniać na lepsze, zwłaszcza przy Loris-Melikowie, i kto wie, czy choć część proponowanych przez Albedyńskiego dla Królestwa ulg nie weszłaby w wykonanie.

Ostatnią wielką dla kraju zasługą Albedyńskiego, jest niewątpliwie tak trafny i szczęśliwy wybór biskupów. Ugoda ze Stolicą Apostolską wyszła z inicyatywy p. Giersa, ale wybór osób dla Królestwa zależał głównie od jenerał-gubernatora. Albedyński umiał wybrać najgodniejszych, wszelkie trudności w Petersburgu usunąć, zarzuty obalić, a wogóle cały czas jego rządów jeśli nie odznaczał się protekcyą Kościoła, bo to było niepodobieństwem, to przynajmniej pewną praw jego ochroną, interesów poszanowaniem. Jak zaś ochrona ta nie przychodziła łatwo i jak była potrzebną, wskaże Ci najlepiej następujący przykład. Za czasów administracyi archidyecezyą warszawską X. Sotkiewicza, dzisiejszego biskupa sandomierskiego, żandarmom, a właściwie jen. Orżewskiemu wydało się pewnego razu, że nabożeństwa t. z. galowe, t. j. odprawiane w dzień imienin i urodzin członków rodziny cesar-

skiej za pomyślność domu panującego — nie odbywały się w katedrze św. Jana z odpowiednią pompą. Śle więc raport, jako przy asyście mało było kleryków, świece na ołtarzu za cienkie (*c'est textuel*), a *solo* wykonane na chórze brzydkie i niestaranne, z czego wszystkiego wnosić należy, że administrator dyecezyi nie dba należycie o wspaniałość nabożeństw cesarskich, że więc objawia w ten sposób lekceważenie dla N. Pana i t. d. Jeden egzemplarz tego raportu poszedł do kancelaryi jenerał-gubernatora, drugi do Petersburga. Jen. Albedyński nie wiedząc, co z tym fantem zrobić, a bojąc się, aby donos żandarmeryi nie zaszkodził w Petersburgu Administratorowi, przesłał mu po prostu „bumagę“ z prośbą o objaśnienie. X. Sotkiewicz musiał się więc tłómaczyć na piśmie bardzo obszernie, że jako z powodu wakacyj w seminaryum, tak mało jest kleryków w Warszawie i dlatego była asysta mniej liczna, że muzyka w katedrze nie należy ani do niego, ani do kapituły, lecz do dyrektora konserwatoryum, a ten objaśnia, że za marne wynagrodzenie, jakie mu rząd na utrzymanie tej muzyki przeznacza, lepszego *sola* zaprodukować nie jest w stanie i t. d. Słowem o te świece i o to *solo*, toczyła się cała korespondencya urzędowa, bo naturalnie Albedyński tłómaczenie administratora przesłał do Petersburga, z zaznaczeniem, że jak śledztwo wykazało, jest ono całkiem zgodne z prawdą, bał się bowiem, aby go tam żandarmerya

nie przedstawiła jako pierwszego buntownika i rewolucyonistę.

Masz z tego próbkę, jakiem jest położenie duchowieństwa w tym kraju i czy małą zasługa tego, co wszystkie codzienne, tak nawet drobnostkowe szykany pragnął usuwać i łagodzić. Nic też dziwnego, że duchowieństwo nasze przed innymi odczuło najdotkliwiej stratę „uczciwego człowieka“ i że kapituła archikatedralna zaraz nazajutrz po jego śmierci z własnej woli odprawiła uroczyste nabożeństwo na intencyę — jak opiewały doniesienia w tutejszych *Kuryerach* — „uproszenia u Pana Boga pociechy dla wdowy i rodziny po zacnej pamięci jen.-adj. Albedyńskim“.

Jen. Albedyński przemawiając nazajutrz po śmierci Aleksandra II. do deputacyi obywateli o życzliwych zamiarach zmarłego cesarza dla kraju i nowej erze, jaka niebawem dla Królestwa Polskiego miała nastąpić — dał już przez to samo dowód wielkiej odwagi. Gdyby był pospolitym tylko karyerowiczem, nie śmiałby się nigdy ryzykować na podobne przemówienie wobec niepewnej przyszłości, niepewniejszego jeszcze własnego stanowiska i uznałby raczej wskazówki, iż początek nowego panowania będzie tak dyametralnie różnym od końca poprzedniego. W innej chwili, dziś naprzykład, nie uszłoby mu to na sucho z pewnością, a że wówczas przeszło jakoś szczęśliwie, przypisać to należy raczej ogólnemu popłochowi i zamięszaniu, jakie po zamordowaniu cesarza zapanowało nad Newą. Zrazu

nie wiedziano tam, w którą zwrócić się stronę. Dwa wpływy, dwa stronnictwa, prowadziły z sobą walkę o nowego władcę. Albedyński pojechał do Petersburga na pogrzeb monarchy, który mu był osobistym przyjacielem, bawił tam kilka tygodni, ale zmieniona jego pozycya przez ten czas nie wyjaśniła się wcale. Upadek Loris-Melikowa zachwiał i jego także, widocznem jednak było, że młody cesarz pod wrażeniem tragicznej śmierci ojca postanowił oszczędzać jego bliższych przyjaciół, przynajmniej przez jakiś czas, póki się żal synowski nie ukoi, i ten jedynie wzgląd tłómaczy chyba pozostawienie Albedyńskiego w Warszawie, nawet później, za ministerstwa Ignatiewa, kiedy reakcya wzięła górę, a popy i p. Pobiedonoscew stanęli u władzy.

Mówiono, że Aleksander III. czuły na czystość, którą nazwę finansową, t. j. na bezinteresowność w służbie i niewyciąganie państwa na donacye i pensye, cenił w nim głównie to, że tyle lat służąc, żadnej fortuny nie zebrał i osobistego majątku nie posiadał wcale. Mówiono także, że na jednej radzie ministeryalnej, kiedy rzucano się wprost na Albedyńskiego, dowodząc, że Królestwo Polskie przepełnione jest rewolucyonistami i lada chwila tam wybuchną niepokoje, a ten bronił się tak zawzięcie i wyrzekł owo gromkie „nieprawda“ — które niech mu na zawsze policzonem będzie — cesarz wziął stronę jenerał-gubernatora warszawskiego i tem przeciął dyskusyę, obrachowaną na nowe dla nas prześladowania i środki represyjne. Faktem jest jednak,

że Albedyński nie miał u Aleksandra III. ani setnej części tej łaski, jaką obdarzał go ojciec dzisiejszego monarchy. Pozostawiono go czasowo w Warszawie, ale kto wie, czy gdyby śmierć Albedyńskiego nie uratowała w samą porę sytuacyi, Aleksander III. nie dałby się był nakłonić pierwej lub później do wyrzucenia przyjaciela ojcowskiego, który tak był nie na rękę i taką stawiał tamę projektom petersburskich rządców. Kiedy Albedyński ciężką złożony chorobą, dogorywał w Warszawie, cesarz nawet ani razu nie zapytał o jego zdrowie, chociaż choroba trwała nie tydzień lub dwa, ale całe miesiące. To zapomnienie bolało mocno zmarłego jenerała.

— Jakto? mówił — *ce vieillard le Pape,* mnie schizmatykowi przesyła swoje błogosławieństwo i każe dziękować za to, żem się przyczynił do nominacyi biskupów i oszczędzał Kościół katolicki w tym kraju, *et ce jeune homme,* którego ojcu i dziadowi tyle lat wiernie służyłem, nie raczy się nawet zapytać, kiedy powędruję na tamten świat.

Przypomniano go sobie w samą porę. Na dwa dni przed śmiercią otrzymał Albedyński z okazyi koronacyi order św. Włodzimierza I. klasy i reskrypt cesarski, którego już nie czytał wcale, a w którym kraj powierzony jego pieczy nazwany był nie „prywiślańskim“ (jak to uczyniono w reskrypcie do Apuchtina), ale Królestwem Polskiem. Zachowano przynajmniej w chwili śmierci tę względem zmarłego delikatność.

Śmierć Albedyńskiego wywołała powszechny w kra-

ju żal i współczucie, a pogrzeb jego był demonstracyjnie licznym i wspaniałym. Ze wszystkich stron słano dobrowolnie wieńce, jak dobrowolnie zbierano się w Zamku na nabożeństwach żałobnych i składano karty wdowie. Dzienniki nasze poświęciły nieboszczykowi krótkie, lecz pełne uznania artykuły, podnosząc jego sprawiedliwość i dobre dla kraju chęci, a ten hołd pośmiertny, tak powszechny, mógł być dla Petersburga najlepszą wskazówką, jak małe środki i ustępstwa wystarczyłyby na złagodzenie jego losów i uspokojenie drażnionych dziś ciągle umysłów. Co Albedyński zrobił? — czy wrócił Królestwu autonomię? — czy wrócił język, oddał szkoły, sądy, zapewnił wolność i bezpieczeństwo osobiste? Nie, bo to wszystko nie było w jego mocy. Ale tylko nie drażnił, nie jątrzył, nie podjudzał, nie pastwił się, postępował sprawiedliwie, nie był eksploatatorem, lecz opiekunem kraju, miał pewną dla niego życzliwość i dobre chęci, starał się go bronić i lepsze zgotować mu losy — i to wszystko wystarczyło na zdobycie mu takiej popularności, jakiej żaden jeszcze z dygnitarzy rosyjskich w tym kraju nie zażywał.

Za Albedyńskiego Zamek zmienił swoją fizyonomię. Kiedy podczas pobytu pp. Kotzebue wszystko tam było *correcte*, ale zimne i sztywne, za pp. Albedyńskich gościom polskim było jakoś bardziej swojsko, to, co Niemcy nazywają *gemüthlich*. Oboje gospodarstwo nie afektowali bynajmniej swego urzędowego stanowiska. Bywało się tam u pp. Albe-

dyńskich, ludzi bardzo miłych, dobrych i dobrze wychowanych, a nie na salonach pp. jenerał-gubernatorstwa. Pani sama, księżniczka Dołgoruki z domu, daleka krewna ks. Jurjewskiej, drugiej żony Aleksandra II., mało się udzielała towarzystwu, bo dziwnie krótki i słaby jej wzrok stawiał ją nieraz w kłopotliwem położeniu, nie pozwalając poznawać nawet najbliższych. — Niemniej jednak umiała ona tu zjednać sobie wielu życzliwych i pozostawiła jak najlepsze wspomnienie. Była to rzeczywiście kobieta szlachetna i z charakterem; wiele swoich stron dodatnich zawdzięczał Albedyński wpływowi żony, a *les intimes* ówczesnego Zamku zapewniają, że gdyby kiedykolwiek jenerał Albedyński zechciał zejść z prawej drogi, żona umiałaby go natychmiast powstrzymać i nie pozwoliła na żadną *bassesse.* Pod tym względem wyższa to była kobieta i godzi się każdemu dziś przed nią uchylić czoła. Do spraw mężowskich nie mieszała się wcale, oddana cała, z przykładną gorliwością najlepszej matki, wychowaniu dzieci i rodzinie. *Grande dame,* w całem znaczeniu tego słowa, wykwintna, uprzejma, nie przypominała w niczem tak nam dziś dobrze znanego typu pospolitej *generalszy;* z damami polskiemi utrzymywała, o ile możności, stosunki, bywając od czasu do czasu tu i tam, a zawsze skromna, bez impozycyi, bez tych *grands airs d'une vice-reine,* które się tak nam teraz dają we znaki. Sam jenerał miał tu wielu i licznych osobistych przyjaciół. Schodził też często z pytyjskiego trójnoga, odwiedzając

znajomych i ukazując się na balach, bądź to publicznych, bądź prywatnych, a wówczas odżywała w nim dawna paryska tradycya. *Causeur* wyborny, szarmant *de primo cartello*, nadskakiwał damom, sypał komplementa, a nikt lepiej od niego nie umiał „reprezentować“. Było coś prawdziwie salonowego w tej postawie, o pięknych, zawiesistych wąsach, noszonych z fantazyą, w tej galanteryi, która przypominała dwór Napoleoński, a w niczem nie zatrącała... juchtowemi butami. Ostatni raz widziałam go na raucie w Ratuszu; miał już wówczas na sobie nowo przepisany uniform: długie buty, kozacki mundur i czapkę barankową, uniform rzeczywiście doskonały do stajni, ale wprost niemożliwy w salonie. W tych butach i w tym armiaku wyglądał zupełnie, jakby wykwintnego jenerał-adjutanta przebrano za rosyjskiego *mużika* i był poprostu śmiesznym, tak to patryotyczne przebranie nie pasowało do człowieka, który całe życie miał wyczyszczone paznogcie i wonią stajenną nie zachwycał się wcale. Widziało się doskonale, że ten człowiek nie da się nałamać do nowej mody, że nie będzie licować *avec les nouvelles couches,* że czas jego już przeminął i przyjdą nowi ludzie i nowe obyczaje.

I przyszli też rzeczywiście.

Henryk Rzewuski chcąc dowieść omnipotencyi carskiej w Rosyi, opowiadał zawsze bardzo charakterystyczną anegdotę. Cesarz Paweł spotkawszy pewnego razu jedną z dam dworskich, która, jakby to delikatnie powiedzieć... — miała wkrótce uszczę-

śliwić swego męża, złożył jej przedwczesne trochę powinszowanie w słowach *Pozdrawlaju was malczikom.* (Winszuję pani chłopca). Fakt z góry zdyskontowany przez cesarza, miał rzeczywiście wkrótce miejsce, z tą jednak różnicą, że nowonarodzone dziecię nie było, jak raczył łaskawie przewidywać N. Pan, płci męskiej, lecz przeciwnie. Cesarz rosyjski nie może się jednak nigdy mylić. Dziecię uznane więc zostało za chłopca i jako takie wychowane było długi czas. Dopiero śmierć Pawła przywróciła biedactwu jego płeć właściwą.

I oto w tem państwie, w tem „samodzierżawiu“, którego nietykalność Aleksander III w parę miesięcy po wstąpieniu na tron w specyalnym ogłosił manifeście, największego wpływu, największej omnipotencyi używał tak długo, kto? Prosty dziennikarz, redaktor *Moskiewskich Wiedomosti* — Katkow. W tem, moja droga, leży dziś najważniejsza cecha obecnego panowania, w tem główny jego charakter. Nie władza osobista monarchy cięży obecnie nad nami, lecz wszechmoc stronnictwa, przewaga koteryi, która zawładnąwszy cesarzem, ujęła ster państwa w swoją rękę i na wszystkiem wyciska swe piętno wyzyskując dla swego fanatyzmu rzekome samodzierżawie. Kiedy w roku 1884 za pobytu N. Państwa w Warszawie mówiono, że cesarz jest bardzo zadowolonym z przyjęcia, jakie go tu spotkało, rozeszła się równocześnie pogłoska, iż p. Katkow, zaalarmowany właśnie tem wrażeniem Aleksandra, przyleciał tu umyślnie *incognito*, by mu oświadczyć,

że każde ustępstwo dla nas będzie ciosem, zadanym w samo serce Rosyi. Czy tak było rzeczywiście, czy Warszawa miała zaszczyt istotnie goszczenia w swych murach redaktora *Moskiew. Wiedom.* — nie ręczę, wiem tylko, że po tem, co zaszło w Instytucie głuchoniemych *), podziękowanie wyrażone Apuchtinowi po powrocie ze Skierniewic na dworcu petersburskim, za „obrusienje“, było i niespodzianem, i stwierdzającem zupełnie ową pogłoskę o — mniejsza o to — osobistej, czy pośredniej interwencyi Katkowa.

W takiem położeniu rzeczy całkiem naturalnym był fakt, że skoro ze śmiercią Albedyńskiego zawakowała posada jenerał-gubernatora warszawskiego, wybór następcy rozstrzygał się nietyle w Petersburgu, ile w Moskwie. Lista kandydatów nie była wielką. Mówiono trochę o ks. Imeretyńskim, znanym tylko ze swego antagonizmu z hr. Kotzebue, ale jako poważnych kandydatów cytowano jedynie ks. Dondukowa-Korsakowa i jenerała Hurkę. O pierwszym słyszano trochę z czasów jego kijowskich i z niefortunnego „urządzenia“ Bułgaryi, o jen. Hurce dochodziły zaś z Odessy wcale niezłe wieści. I rzecz warta zaznaczenia, nominacyi jego nie przyjęto tu bynajmniej, jako zapowiedzi nowych środków

*) Cesarz na egzaminie kazał Apuchtinowi czytać po polsku, a kiedy ten ze wstrętem oświadczył, że nie umie, odrzekł: „No, to ja spróbuję“ — wziął książkę do ręki i zaczął czytać: „Podaj mi każet....“

presyjnych, lecz raczej jako wojowniczą wskazówkę, demonstracyę przeciw Niemcom. Kładę na to nacisk, aby Cię przekonać, że nikt z nas nie był z góry przeciw dzisiejszemu jenerał-gubernatorowi uprzedzonym, i nikt nie wyrabiał mu odrazu złej reputacyi. Dyskutowano tu trochę o jego pochodzeniu polskiem, ale ostatecznie mało to kogo obchodziło, bo znowu Kopernikiem nie jest, aby tak gwałtownie dobijać się o wspólną z nim krew; ci zaś, co służyli pod nim w ostatniej kampanii, nie akcentowali bynajmniej ani jakiegoś specyalnego przeciw Polakom uprzedzenia, ani tem bardziej nienawiści. Obawiano się naturalnie zmian wielkich, ale nie przypisywano ich wcale osobie nowego wielkorządcy, lecz raczej przewadze wpływu Katkowa i Pobiedonoscewa w Petersburgu i jego omnipotencyi.

Jenerał Hurko w początkach swego u nas panowania dawał wiele pozorów, stwierdzających przypuszczenia o jego demonstracyjnej, anti-niemieckiej misyi. Pod tym względem postawił się odrazu bardzo ostro. Nienawiść swą do Niemców zaznaczył publicznie, jaskrawo, ale na pierwszem przyjęciu podwładnych powiedział otwarcie, że Rosyanie nie powinni się zachowywać w tym kraju jako zwycięzcy, i że rusyfikacya nie należy bynajmniej w zamiarach rządu. W równie umiarkowany sposób przemówił tegoż dnia do urzędników cywilnych i ciała nauczycielskiego. Zapowiedź tę przyjęto z pewnem zdziwieniem, które nawet stanowczo było dla niego dodatniem, a wyzywającą postawę wobec Niemiec

i Niemców uważano raczej za chęć odziedziczenia popularności po świeżo właśnie zmarłym Skobelewie, aniżeli za nakazany z Petersburga manewr. Niebawem jednak wszystko się miało zmienić. Ten sam jenerał Hurko, który tak gromko odgrażał się Germanii, ten przyszły dziedzic Skobelewowskiej famy i testamentu jego wykonawca — pojechał najpokorniej nad Spreę i wzniósł miodopłynny toast na cześć Niemiec i jej armii. Rozkaz wyższy kazał mu przejść to jarzmo kaudyjskie, a dla Berlina było to najlepszem zadośćuczynieniem, najdotkliwszem upokorzeniem zuchwałego Skobelewczyka. W oczach admiratorów p. Hurki czyn ten podniesiono jako bohaterską dla cesarza i Rosyi ofiarę, w naszem zaś przekonaniu nazywa się poprostu brakiem charakteru i konsekwencyi. Po tem, co zaszło, po tej głośnej mowie, człowiekowi porządnemu nie pozostawało nic innego, jak w razie zmiany frontu usunąć się, a nie okupywać swej pozycyi w Warszawie — upokorzeniem. Fakt zaś ten przyznasz chyba sama, zalecać ani wzbudzać szacunku nie mógł. Jenerał Hurko miał nietylko wspólną zę Skobelewem manię bundziuczenia się przeciw Niemcom, lecz karyera ich i fama wojenna bardzo ze sobą pokrewne. Jak tamten, tak i on zrobił sobie reputacyę odwagą wojskową do zuchwałości posuniętą; w nim także jest dużo awanturnika, dużo tej brzęczącej odwagi, która na pozór imponująco wygląda, ale w rezultacie i bezowocną, i niezmiernie dla życia ludzkiego kosztowną bywa. Wszakże Skobelew posiadał istotnie

obszerne wiadomości wojskowe, ale był nie tylko pijakiem i rozpustnikiem, lecz zarazem bardzo samolubnym wyzyskiwaczem powodzeń drugich dla własnej ambicyi, błyskotliwym, intrygantem. Jenerał Hurko pod temi względami daleko wyżej stoi. Jeśli jednak zyskuje na porównaniu ze Skobelewem co do charakteru, to natomiast traci wiele, jeśli mowa o furyi i zdolności wojskowej. Przyznali to już nietylko angielscy i niemieccy, lecz i francuscy strategicy. Życie ludzkie cenił Hurko zawsze mniej, niż guzik u mundura, i dzisiejsze jego wawrzyny bałkańskie spoczywają na całych lawinach ciał biednych pomarzniętych sołdatów. Jeden z oficerów, który pod dowództwem Hurki przechodził Bałkany, opowiadał mi następujący charakterystyczny fakt:

Pewnego dnia wojsko biwakowało pod samą Szypką; resztka niedomarzniętych żołnierzy grzała się przy ognisku, gotując w kotle ostatnią, jaka już była w zapasach, racyę mięsa. Nagle zagrano pobudkę, wszyscy rzucili się do broni, garstka tylko otoczyła kocioł, wydobywając z niego na gwałt kawałki niedogotowanego jeszcze mięsa. Wtem nadjechał jenerał. Minęło już parę minut po oznaczonym terminie i obóz powinien był być zwinięty, więc zbliża się do owej kręcącej się koło kotła garstki żołnierzy i z całą zimną krwią strąca nogą kocioł w przepaść. „Biedacy — mówił mi ów oficer — lżejby znieśli karę śmierci, aniżeli to pozbawienie ich na samych szczytach Bałkanów ostatniego kawałka mięsa“.

Wzrostu niskiego, o długich siwych faworytach, jenerał Hurko nie robi bynajmniej wrażenia srogiego siepacza. Przeciwnie, jest coś nawet sympatycznego w tej twarzy; coś, co zwykło znamionować i siłę woli, i szorstką żołnierską uczciwość. Patrząc na niego, sądziłabyś, że to jakiś marmurowy charakter, niewzruszony jak skała i jak Kato niezłomny. Wygląda, jak uosobiona konsekwencya, a tymczasem brak konsekwencyi, to właśnie główna jego wada. Zgrzeszył nią w całej tej historyi z obrażeniem i przeprosinami Niemców, dał jej najlepszy dowód wyborem ludzi, jakimi się otoczył. Janerał Hurko jest osobiście niewątpliwie człowiekiem bardzo czystym, występuje też z ogromną surowością względem wszystkich kradzieży i rabunków skarbu cesarskiego. Kiedy w roku zeszłym toczył się tu proces o nadużycia w intendanturze armii, domagał się on jak najsurowszego ukarania winnych, wywierał nawet pewien nacisk jawny na sędziów (co mu w kołach wojskowych brano za złe), uczęszczając codziennie na wszystkie posiedzenia i wyrażając publicznie swe zdanie. Bardzo pięknie. Chwalebna to rzecz prześladować nadużycia tego rodzaju, a pod tym względem Rosya jest istną stajnią Augiasza, na wyczyszczenie której nie jeden, lecz stu nie wystarczyłoby Herkulesów.... Tylko tensam srogi dla liwerantów jenerał wybiera równocześnie naczelnika kancelaryi (posada najbardziej przy jenerał-gubernatorze wpływowa) w osobie p. Korniłowa, byłego prezesa tutejszej Izby skarbowej, którego za notorycznie

znane nadużycia przed paru laty sromotnie ztąd wydalono. Po żonie, jestto *le mauvais génie* jenerała Hurki — człowiek bez zdolności, ograniczony nawet, bez wykształcenia, bez znajomości języków, ale zły, mściwy, zaciekły — a jak wszyscy, co mieli z nim interesa ważniejsze, mówią, pośredniemi drogami pożądliwy łapówek. Interesów ani zna, ani rozumie — tyle ma tylko pojęcia, by złość swoją wywierać w rzeczach najczulszych dla kraju: języka, wiary i narodowości dotyczących. Tak już zużyty i ograniczony, że jenerał, który przez upór go trzyma, każe sobie interesa przedstawiać przez urzędników i naczelników wydziałów, a tylko w obecności Korniłowa, bo ten interesa ogarnąć i wytłomaczyć dokładnie nie potrafi.

W ogóle jeśli Albedyński grzeszył czasami nieznajomością ludzi, jeśli dokoła siebie miał nie samych tylko Arystydesów, to jen. Hurko otoczył się jak najgorszemi figurami, które odrazu nadały rządom jego cierpki, drażniący ton. Nie odnosi się to specyalnie do jednego tylko p. Korniłowa, ale do większości wszystkich. Tego, czego Zamek nasz dawniej nie posiadał ani za Berga, ani za Kotzebuego, ani tem mniej za Albedyńskiego — jakiejś „kamarylli“ dworskiej, to mamy teraz w całej pełni: osoba jenerał-gubernatora schodzi na drugi plan, ci siedzą na pierwszym i biją wszystkich w oczy. Nigdy rozluźnienie administracyi, samowola miejscowych władz, rozprzężenie, różnorodność stosowania przepisów nie były tak jawnemi. Nie p. Hurko rządzi obecnie

Królestwem, ale cała falanga rozmaitych indywiduów, a tej falandze główny ton nadaje — spódnica. Tak moja droga, płeć nasza teraz górą w Warszawie, nie jeneralskie szlify i żołnierskie ostrogi brzęczą nam nad uszami, ale kokoszniki i zapaski, ale falbany i tiurniury. Nie dziw się też, że więcej może w tym liście znajdziesz szczegółów o pani, aniżeli o p. Hurce. To, co nas tu wszystkich głównie drażni, te codzienne ukłucia szpilką, drobne szykany, tuzinkowe nieprzyjemności, wszystko to wypływa z tego, że do ogólnego, gniotącego nas systemu, z Petersburga przybył nam jeszcze mały systemik lokalny, nie polityka, lecz polityczka zamkowa, której główną inicyatorką jest właśnie szanowna Marya Andrejewna. W innych czasach może to działanie na własną rękę pani jenerał-gubernatorowej nie byłoby u góry tolerowanem, ale dziś wszystko, co ona robi, tak odpowiada systemowi i zasadom sfer wyższych, że dano jej zupełne pod tym względem *placet* i najszerszą swobodę.

Używa też jej w całej pełni. Nie miałam przyjemności znać przedtem pani jenerał-gubernatorowej, ani w Petersburgu (gdzie wyższe sfery towarzyskie były dla niej zamknięte), ani w Odessie — nie wiem zatem, czemu właściwie przypisać należy jej zawziętość i nienawiść względem nas i naszego kraju. Mówiono, że genezy owych uczuć szukać należy w czasach paryskich i wspomnieniach młodości. Wątpię. Kto tak jak ona postępuje, ten z pewnością zapomniał już chyba zupełnie jednej z najmil-

szych dam rosyjskich, jakie kiedykolwiek zdarzało mi się spotykać, tej dowcipnej, a przedewszystkiem tak dobrze wychowanej, usłużnej i gruntownie poczciwej hr. Sallias, która niestety nie miała zalet pedagogicznych, skoro jej córka tak we wszystkiem od matki różna.

Być jednak może, że zajmowane w domu rodzinnym stanowisko „kopciuszka“, nietyle dla braku urody, jak dla pospolitości i cierpkości charakteru wyrobiło dzisiejszą ostrość i surowość dla ludzi. Pojmuję doskonale to uczucie zwłaszcza u kobiet, bo już nieśmiertelny cyrulik sewilski powiedział: *bien rosser et garder rancune est aussi par trop feminin* — tylko doprawdy nie widzę za co i dla czego ta niechęć teraz właśnie, po tylu latach, tak gorączkową przybrała formę. Zdaje mi się też, że powodów działalności politycznej Maryi Andrejewnej szukać należy gdzieindziej.

Przypomnij sobie, że ile razy zdarzało Ci się spotykać „kobietę polityczną“, każda z nich była zawsze, nie powiem brzydka (gdyż to nie jest koniecznym, choć pospolitym warunkiem), ale z pewnemi mankamentami. Jedna dla szpetności, druga dla podtrzymania podszarganej reputacyi, bardzo rzadko która dla sportu, wszystkie z chęci znaczenia i odwetu rzucają się w ten wir agitacyj i intryg, chcąc w ten sposób narzucić światu stanowisko i wpływy, jakich ten świat właśnie dla owych mankamentów dobrowolnie im dać nie chciał. Komu brakowało zawsze daru jednania sobie ludzi, kto ani wy-

chowaniem, ani sprytem, ani uprzejmością nie mógł sobie nigdy wyrobić wybitniejszej pozycyi towarzyskiej i skazanym był wiecznie na rolę salonowego „kopciuszka“, ten skoro okoliczności nadadzą się po temu, schwyci niechybnie każdą okazyę, aby dać uczuć swoją wyższość i jak dorobkiewicz pieniądzmi, tak on swą władzą szastać będzie na wszystkie strony i świecić każdemu w oczy. Podobnie się stało i z Maryą Andrejewną. Przybyła ona do Warszawy jako misyonarka, z fanatyzmem, ale bez inteligencyi i wychowania panny Błudow, z postanowieniem i pewnością, że od niej dopiero zacznie się prawdziwa tego kraju rusyfikacya, że ona potrafi tu wszystkich nauczyć rozumu i wzniesie wysoko sztandar prawosławia. Nieprawdą jest wcale, aby towarzystwo warszawskie odrazu ją źle przyjęło i zaraz na wstępie zaczęło od niej stronić. Entuzyazmu naturalnie nie było żadnego, bo nikt tej pani poprzednio nie znał, a ci nawet, co mają z arystokracyą rosyjską stosunki, o Maryi Andrejewnie niczego się od niej dowiedzieć nie mogli, ale przyjęto ją tak, jak każdą jenerał-gubernatorową, grzecznie, lecz wyczekująco. Tylko, że nowa wielkorządczyni wszelkie oczekiwania szybko skróciła, zrażając sobie za jednym zamachem wszystkich swoim nietaktem, pospolitością, zapoznaniem elementarnych zasad towarzyskich i salonowych. Trudna rada, życie salonowe jest z natury kosmopolitycznem i ma pewne prawa i wymagania, którym musi się poddać każdy, nawet książęta i księżniczki krwi, a cóż dopiero ro-

syjskie *generalsze*. Tych reguł nikt nie zmieni ani ich nie ominie, a kto będzie starać się *par force* przez nich się przedrzeć, ten zyska odrazu miano *d'un mal elevé* i na odosobnienie skazanym zostanie. Już Marcelina w *Weselu Figara* powiedziała: że w każdej kobiecie, najbardziej nawet awanturniczej, jest jakiś głos wewnętrzny, który jej mówi: *Sois belle, si tu peux, sage, si tu veux; mais sois considerée, il le faut.* Otóż pierwszego nie mogąc, drugiego nie chcąc, Marya Andrejewna nie umiała wyrobić sobie i trzeciego warunku, na który Beaumarchais taki kładł nacisk i czyniła wszystko, aby tej konsyderacyi nie zdobyć i tytuł osoby źle wychowanej jak najszybciej uzyskać. Dumna, niewiadomo z czego, imponująca, niewiadomo czem, wyobraziła sobie, że jest tu co najmniej wicekrólową, że więc wszyscy tu pokorni poddani, gotowi na jej skinienie i rozkazy. Naśladując modę petersburską, zaczęła pozować na narodowe zwyczaje i jakiś kulinarny patryotyzm.

Oddawna zaproszenia na bale i obiady zamkowe redagowane były po francusku i opatrzone co najmniej podwójną datą. Ona pierwsza kazała je wydrukować po rosyjsku i dzień tylko według starego oznaczyć kalendarza. Porządek tańców na balach i *ménu* kolacyi wylitografowano także graźdanką i w języku urzędowym. *Chaud-froid* z przepiórek nazywało się więc *popiełocznoje szo-frua*, *créme d'asperges*, *aspierznyj kriem* itp. dziwolągi graźdanki. Najzabawniejszem to, że Marya Andreje-

wna okazała tu *trop de zéle*. Podczas pobytu bowiem dworu *menus* obiadów cesarskich były wszystkie francuskie i zaproszenia także w tym języku wystosowane. Widocznie więc „idea państwowa“ tak znów gwałtownie tej śmiesznej gorliwości nie wymaga i szczęście Rosyi od graždanki na zaproszeniach bynajmniej nie zależy. Najszersze pole do okazania swego nietaktu i nieznajomości świata miała Marya Andrejewna właśnie podczas uroczystości cesarskich. Tu na każdym kroku z premedytacyą chciała koniecznie zepchnąć na drugi plan polskie towarzystwo, a wysunąć swoje *generalsze* i *sowietnikowe*; afektowała niezmiernie niezwracanie uwagi na urodzenie i tytuł, lecz tylko na rangę urzędową i wyznanie, słowem potrafiła narobić takiego rozgardyaszu, że aż przyszło do interwencyi W. ochmistrzyni dworu, ks. Koczubej, i usunięcie pani Hurko od prezentacyi dam zostało już postanowionem. Był to dla niej afront niemały i nauczka dotkliwa, to też pan jenerał udał się wprost do cesarza — i czy uwierzysz? — zrobił z tej całej sprawy kwestyę gabinetową. Jeśli żona zostanie pominiętą — on podaje się natychmiast do dymisyi; powiedzianem to było stanowczo, z pewnym naciskiem *que c'est à prendre ou à laisser*. Dzięki takiemu obrotowi sprawy Marya Andrejewna zwyciężyła, ale nie umitygowała się bynajmniej. Dwór miał z nią wiele w owych czasach kłopotu i pewno we wdzięcznej nie zachował jej pamięci, a udzielenie przez cesarzową wstęgi orderu św. Katarzyny

przypisać raczej należy szablonowemu zwyczajowi, aniżeli osobistym sentymentom.

Zachowanie się i osobistość pani Hurko nadaje też dzisiejszemu Zamkowi ten ton pospolitości, który go głównie czyni tak niesmacznym, nawet dla tych, co dbając o stosunki urzędowe, nie zwykli tak bardzo znowu oglądać się na podobnego rodzaju braki. Bale zamkowe stały się konwentami oficerskiemi, na których ton, hałas, zamaszysta dezynwoltura mundurowych tancerzy przypominają nie wykwintne towarzystwo Stanisława Augusta i Ks. Józefa, ale bale publiczne i kordegardę. Towarzystwo więc nasze ile można, ile się tylko da, unika je starannie, bynajmniej nie w celu jakiejś demonstracyi lub uchybienia, lecz poprostu tak, jak unikają ludzie dobrze wychowani tych, co wszelkiego pozbawieni są układu. Nie można tego nazwać stronieniem, lecz ustępowaniem, jak ustępuję każdemu z drogi, skoro widzę, że ten z umysłu lub z nieświadomości form gotów mi jest co chwilę nastąpić na nogę lub nadeptać ogon od sukni. Nie czynią tego bynajmniej tylko Polacy i Polki, ale i te resztki wyższego towarzystwa rosyjskiego, które się jeszcze po Warszawie tułają.

Ale to tylko towarzyska strona pani Hurko; gorszą, bo dotkliwszą jest jej polityczno-agitatorska działalność. Ona to właśnie nadaje dzisiejszym naszym rządom lokalnym tę miejscową ostrość, ona to wyrabia ów sos, którym zaprawiony wielki system państwowy stał się jeszcze nieznośniejszym

i bardziej drapie w gardle. Wchodzi tu przedewszystkiem w grę sztuczny fanatyzm religijny, więcej wyrozumowany i jako narzędzie wpływu i znaczenia użyty — aniżeli szczery i z przekonania płynący. W nim źródło tej gorączkowej agitacyi przeciw SS. Miłosierdzia, a forytowania, gdzie się da, prawosławnych Elżbietanek; w nim to ustawiczne narzucanie publiczności naszej jakichś przedstawień i koncertów na cele Czerwonego Krzyża, na budowę ochronek i „prijuty" mikołajewskie (w których przyjmują dzieci ubogich rodziców, lecz pod warunkiem ochrzczenia ich na prawosławie), na jakieś cerkwie i „czasownie" (kaplice) — jakby na to wszystko państwo nie dawało już milionów i jakby potrzeba było jeszcze kołatać do miejscowej społeczności o subsydyum na wymierzone przeciw niej samej cele. Pod tym względem pani Hurko postępuje z pewnym rozmysłem i przebiegłością. Dotychczas urządzano raz tylko do roku wielką loteryę fantową na ochronkę mikołajewską dla dzieci żołnierskich. Festyn ten odbywa się zwykle w jesieni w ogrodzie Saskim, od pewnego czasu niedostępnym ani dla Towarzystwa Dobroczynności, ani dla wszelkich innych filantropijnych przedsięwzięć. Mniejsza o ten dziwaczny przywilej mikołajewskiego „prijutu", który zresztą od miasta nie wiele przez tę parę dni zarobi, nikt bowiem na owe loterye nie uczęszcza i ogród Saski świeci zawsze pustkami. Ale pani Hurko od czasu swego przyjazdu postanowiła koniecznie narzucić się publiczności warszawskiej

ze swemi fanatycznemi celami i *coûte que coûte* dotrzeć do jej kieszeni. Co chwila więc mamy jakieś koncerta i przedstawienia w teatrze na Czerwony Krzyż i ochronki, ponieważ zaś zmiarkowała odrazu, że sam cel wymieniony wyraźnie na afiszu nie przyciąga, lecz raczej odstręcza publiczność, więc chwyciła się innego środka. Afisze mówią tylko, że taki a taki koncert lub przedstawienie odbędzie się „na cel dobroczynny“, bez szczegółowej wzmianki, jaki, aby tym sposobem podejść łatwowierną publiczność i napełnić nią salę. Nie bardzo się to udaje, bo Warszawa ma pod tym względem dziwnie wydelikacone poczucie i poznaje się odrazu na farbowanych lisach, lecz sam pomysł intencyi jest tu oburzającym.

Jakto, w chwili, kiedy u nas nędza wzmaga się w tak zatrważający sposób; kiedy Towarzystwo Dobroczynności przyjąwszy na siebie tyle ciężarów goni resztkami i końca z końcem związać nie może; kiedy odebrano szpitalom warszawskim 200.000 rs. zapomogi rządowej — kołatać z taką natarczywością do tych polskich kieszeni na rzecz jakichś, hojnie przez skarb uposażonych ochronek żołnierskich i Czerwonego Krzyża — to trzeba na to mieć wiele śmiałości i czelności. Takie rzeczy drażnią właśnie najbardziej, nie już towarzystwo warszawskie i inteligencyę, ale ten spokojny ludek, który doskonale pojmuje intencye i zamiary takiego postępowania. Podobna taktyka wygląda poprostu na szyderstwo, na naigrawanie się z tego ludu war-

szawskiego, któremu się mówi: „nietylko, że nie przyczynimy się w niczem do ulżenia twej biedy i nędzy; nietylko, że tym, co dla ciebie coś zrobić zechcą, stawiać będziemy na każdym kroku najdotkliwsze przeszkody; nietylko rugujemy, zkąd się tylko da, twoje świątobliwe opiekunki i dobrodziejki SS. Miłosierdzia, wsadzając na ich miejsce *) wątpliwej moralności prawosławne Elżbietanki — kilkakroć droższe a bez żadnego czysto chrześciańskiego powołania — ale ty sam w tem wszystkiem musisz nam podać rękę, ty musisz do naszych skarbów swój wdowi grosz dorzucić i sam się przyczynić do twego uciemiężenia".

Ona pierwsza używa furtki miłosierdzia do prowadzenia prawosławnej propagandy; ona pierwsza korzysta z tej nędzy, ściągającej tutaj ze wszystkich stron kraju, aby kusić ją złotem do zmiany religii i wyparcia się prawdziwego Boga; ona podczas ostatniej powodzi sama siadała na galary i rozwoziła chleb, nie dlatego, żeby nieszczęśliwych ratować, lecz żeby do nich nie dopuścić naszych Sióstr Miłosierdzia, żeby im pokazać, iż pomocy w biedzie, ratunku, w potrzebie mogą szukać w jej zakładach, a tam za cenę zmiany religii hojne uposażenie dostaną. Ona to przez policyę każe nakła-

---

*) O tych Elżbietankach wiadomo powszechnie w całej Rosyi, że podczas wojny tureckiej żołnierz rosyjski stronił od nich a garnął się do naszych Sióstr Miłosierdzia, że niejedna z tych apostołek wracała z Bułgaryi z pomnożoną rodziną.

niać kobiety złego prowadzenia, aby nieślubne swe dzieci dały na prawosławie ochrzcić, za co otrzymają kilkunastorublowe wynagrodzenie. Nie o biedę i nędzę ludzką tu chodzi, lecz o agitacyę i prozelityzm, słowem: o świętokradczą bo polityczną dobroczynność. I dlatego tam, gdzie agitacya nieprawdopodobna, a nawracanie niepewne — tam jej niema i nigdy nie będzie. Do jakiegoś ogólno-dobroczynnego celu nie przyczyni się nigdy inicyatywą. Warszawa i jej bieda nic ją nie obchodzi, myśli ona tylko o nawracaniach z głodu umierających, o swoim Czerwonym Krzyżu i ochronkach, potrzebujących tak zapomóg warszawskich, jak milionowy Krezus dziesięcio-groszowego datku nędzarza. Lecz niedość na tem; nietylko, że się nie przyczynia w niczem, ale na robione jej propozycye jeszcze się oburza. Kiedy pewien Rosyanin, zawezwany do rady, w jaki sposób urządzić nadzwyczajny festyn w Łazienkach na Czerwony Krzyż, ośmielił się zrobić uwagę, że zabawa udałaby się lepiej, gdyby część jej dochodu przeznaczono na miejscowe Towarzystwo Dobroczynności — pani Hurko propozycyę tę przyjęła z najwyższem niezadowoleniem i w swój miły sposób inicyatora jej surowo zgromiła. Przed dwoma laty naciągnęła ona na swoje cele Ant. Rubinsteina, który jako dyrektor konserwatoryum petersburskiego nie mógł odmówić koncertu; wyeksploatowała Meiningerów aż na 2.000 rs., z których wszystko poszło na Czerwony Krzyż, a ani jeden grosz nie dostał się ubogim miasta. Teatrowi

każe na tenże cel dawać kilka przedstawień rocznie, szturmuje nawet do biednych śpiewaków, aby ustąpili swoje kilkunastorublowe *feu*; słowem, wcisnęła się wszędzie, nie mówiąc już o datkach osobistych, ściąganych z natarczywością najzawziętszej kwestarki.

Działalność Maryi Andrejewny doszła w tym kierunku w ostatnich czasach do objawów, które przestają już graniczyć z polityczną filantropią, a wchodzą w zakres psychologicznego fenomenu. Muszę się też o tym fenomenie rozpisać tym razem dłużej, gdyż przez te dwa lata przybył cały szereg faktów tak wymownych, że one same za uzupełnienie dawnej charakterystyki starczą.

Stanąwszy na czele Towarzystwa Czerwonego Krzyża (każda jenerał-gubernatorowa jest z urzędu prezesową komitetu dam) Marya Andrejewna postawiła sobie dwa cele: 1°) rozszerzenia zakresu Towarzystwa i zużytkowanie go do propagandy politycznej, 2°) pomnożenia jego funduszów. Cel pierwszy objawił się obsadzaniem Elżbietanek przy szpitalach, nietylko w Warszawie i w miastach gubernialnych, ale i na prowincyi, po miasteczkach a nawet po wsiach. Wszędzie w dalszym ciągu i to z większą jeszcze systematycznością owe prawosławne dobrodziejki rugują nasze Szarytki, a jak na tem wychodzą chorzy łatwo sobie wyobrazić. Odjęto im to, co dawała wiara i poświęcenie czystej chrześcijańskiej duszy, dzieła miłosierdzia zastąpiono rodzajem pańszczyzny, płatnej i z konieczności dla ka-

wałka chleba podejmowanej. Zorganizowane źle, Elżbietanki pomijając już brak wszelkich religijnych pobudek, nie mają i nie mogą posiadać ani tej wprawy, ani tej łagodności i umiejętności obchodzenia się z chorymi, jakiemi słyną na całym świecie córki Sw. Wincentego à Paulo.

Wprawdzie pani Hurko utrzymuje inaczej, ale nie mówiąc już o nas, ma przeciw sobie zdanie największych powag naukowych świata. Istnieje w tej materyi cała literatura a wśród niej głosy i świadectwa nietylko niekatolików, lecz ludzi wszelkiej wiary pozbawionych, ateuszów otwartych i zaciętych, którzy na tym punkcie musieli jednak przyznać, że w obsłudze chorych Szarytki prym trzymają, że nikt ich nietylko nie zastąpi, ale nawet w setnej części nie dorówna. Sprawa ta już osądzona z punktu lekarskiego, humanitarnego, administracyjnego i dla człowieka rozsądku dwóch zdań w tym kierunku być nie może. Jest jedno na całym świecie a nie moja wina, że go Marja Andrejewna nie podziela.

Rekrutowane z najpośledniejszych sfer, najczęściej upadkiem lub położeniem bez wyjścia zapędzone do owego mniemanego klasztoru, Elżbietanki traktują swe powołanie nie jako obowiązek miłości, lecz jak pospolitą i bardzo nieprzyjemną służbę. Ufne w wyższą opiekę, czujące dobrze, iż im także cząstka *djejatielstwa* przypadła w udziele, z drugiej strony wobec swej zwierzchności niekarne i pobłażania pewne (gdyż Zamek coraz większą ich liczbę

potrzebuje i dla tego na wiele rzeczy przez szpary patrzy), względem chorych oprysklíwe a nieprawosławnych jako upośledzonych traktujące, wobec lekarzy krnąbrne i w wielu wypadkach ich prawomyślność polityczną kontrolujące — wywołują one powszechne wśród zarządów szpitalnych narzekania. Skargi te nie dochodzą naturalnie uszów p. jenerał-gubernatorowej, gdyż w danych wypadkach rozstrzygnie ona zawsze przeciw lekarzowi, a nadto go za „zuchwalstwo“ skarci, o niechęć polityczną do Elżbietanek posądzi i miejsca pozbawi. Więc jako bezskuteczne a co gorsza niebezpieczne pozostają tajonemi. Nie mniej jednak złe istnieje i o pomstę do Boga woła. Bo przecież to rzecz straszna, nieludzka, nie chrześcijańska, aby dla celów politycznych, dla zachcianek jednej wielkorządczyni codzień setki nieszczęśliwych padały ofiarą eksperymentów rusyfikatorskich. A nadto pod względem państwowym, jakie to nierozsądne i niebezpieczne a wprost interesom rosyjskim w tym kraju przeciwne. Te setki chorych szpitalnych, to przecież najubożsi, owe warstwy ludowe, na które rząd tak liczy i na których ma się jakoby opierać. Kto je zraża, kto ich chorobę i nieszczęście wyzyskuje, kto je w takiem położeniu drażni, temu chyba z umysłu chodzi o gotowanie antirządowego w tych warstwach usposobienia. Wszakże to rzecz niezmiernie prosta, że taki biedny wyrobnik lub wieśniak, częsty szpitali gość, mimowolnie musi porównać obchodzenie się tych „nowych sióstr“ z dawnemi i swoim chłop-

skim rozumem właściwe wyciągnąć wnioski. To też jeśli co mnie w tem wszystkiem dziwi, to nie działalność szpitalna Maryi Andrejewny, ale fakt, iż na nią w Petersburgu pozwalają. Tłumaczę to sobie tylko tem, że albo doniosłości owej sprawy wprowadzania Elżbietanek wcale tam nie znają, lub wprost nie rozumieją. Inaczej bowiem graniczyłoby to z umyślną chęcią samobójstwa.

Największa presya rusyfikacyjna co do szpitali daje się odczuwać na Podlasiu, tam gdzie ludność jest jeszcze unicką. W tych stronach obsadza je Marya Andrejewna z wyraźnem poleceniem, aby umierającym Unitom sprowadzały popów prawosławnych i aby zmuszały „opornych“ do przyjmowania ostatnich Sakramentów z rąk brodatego księdza. Miła misya dla tych, co mają „łzy koić“ i „strapionym pociechę przynosić“. Już tego jednego faktu dosyć, by Ci dać pojęcie, czem są i właściwie mają być owe wesołe córy Czerwonego Krzyża.

Nie na tem jednak koniec. W pomysłowej, kiedy idzie o destrukcyę głowie Maryi Andrejewny urósł inny jeszcze projekt, wprowadzony także od paru lat w życie. Elżbietanki nie poprzestają na misyi po szpitalach i ochronkach, powierzono im nadto drugie, jakby wewnętrzne posłannictwo. Ściągają one do swego Zgromadzenia i takie kobiety, które ochrzczono w wierze katolickiej. Werbunek przychodzi łatwo. Jeśli ktoś ma do wyboru z jednej strony szpital, upodlenie, nędzę ostateczną, a z dru-

giej życie wygodne, względnie dostatnie, i wolność obyczajową bardzo szeroką, temu zdecydować się nie trudno. Znajdują się też kandydatki, lepiej już nie mówić jakie, i Marya Andrejewna może się pocieszyć myślą, iż tyle a tyle katoliczek przeszło albo niebawem przejdzie na prawosławie. Nie idzie jej o jakość, ale o ilość, ta w sprawozdaniach wygląda pokaźnie i już przez to samo celowi odpowiada.

Co w tem wszystkiem najzabawniejszego, to sposób, w jaki nasza wielkorządczyni stara się wytłomaczyć, iż jej działalność filantropijna jest istotnie dla kraju dobroczynną i że raczej na wdzięczność aniżeli na skargi zasługuje. Kiedy przed dwoma laty ukazały się listy niniejsze, wówczas Marya Andrejewna skarżąc się na nie przed pewnym konsulem zagranicznym (dziś już nieżyjącym), na dowód, iż wyrażony w nich sąd jest stronniczym, okazała całą plikę sprawozdań Czerwonego Krzyża, a w nich wykazy, że i katolicy korzystają z obsługi Elżbietanek i że oni także są przypuszczani do dobrodziejstw tej instytucyi. Rzeczywiście obrona cudowna! Brakowałoby tylko, żeby nieprawosławnych wyrzucano ze szpitali i żeby ci, co nie zechcą zmienić wiary, umierali na bruku. Poczekajmy, kto wie, czy jeśli rządy Maryi Andrejewny potrwają, nie przyjdzie i na to kolej. Wszystko jest możliwem na tym warszawskim Zamku dzisiejszym.

Bardziej widoczną, wciskającą się w życie codzienne i równie jak tamta całe Królestwo Polskie

obejmującą jest ta druga strona działalności filantropijnej Maryi Andrejewny, która dotyczy powiększania funduszów Czerwonego Krzyża. Pod tym względem przeszła ona w ciągu paru ostatnich lat nie tylko to wszystko, cośmy dotychczas znali, ale wkroczyła nawet w dziedzinę niebywałych i zgoła nigdzie ani tu, ani w całem Cesarstwie nieznanych wynalazków. Bo proszę tylko posłuchać.

Nie dość jej przedstawień teatralnych, loteryj, koncertów i składek, ściąganych od wszystkich, którzy jakiekolwiek z Zamkiem posiadają stosunki, niedość haraczów opłacanych na ten utrapiony „Krasnyj Krest“ przez wszystkich urzędników, niepomijając nawet najniższych, haraczu przynoszącego tysiące rubli rocznie — w zimie roku zeszłego zapragnęła urządzić coś „extra — nadzwyczajnego“ jakąś „monstre-karotę“. I wymyśliła istotnie rzecz niepraktykowaną w żadnym kraju i przez żaden rząd na świecie. Pięknego poranku „Dniew. Warsz.“ obwieścił światu, iż w salach warszawskiego Ratusza odbędzie się zabawa na dochód Czerwonego Krzyża, że wśród tej zabawy damy sprzedawać będą w namiotach chłodniki, cukry, ciasta i kwiaty, że przygrywać będą dwie orkiestry i t. d. Chociaż dawniej takich bali nie bywało, zapowiedź tę jednak przyjęto obojętnie, sądząc, że obchodzi ona tylko towarzystwo czysto rosyjskie i „ruski Klub“, bo przecież z naszych nikt nigdy na takie zabawy nie uczęszcza. Tymczasem nagle wszystkie nie to już wybitniejsze, ale bardziej znane osobistości wszel-

kich kół i sfer miasta otrzymują od pani prezesowej Czerwonego Krzyża bilety na bal i to w mnogiej ilości.*) Odesłać — strach, o pójściu nie ma mowy, ale zapłacić trzeba. Więc prawie wszyscy płacili a niebrakło trwożliwych co do ceny zwyczajnej grube dołączali naddatki. Każdy sądził, iż czyni to w sekrecie, tymczasem Marya Andrejewna ogłosiła imienny wykaz ofiarodawców i za pośrednictwem prezesa cenzury poleciła go wydrukować we wszystkich dziennikach. Możesz sobie wyobrazić minę tych biednych ofiar „marchewki“ zamkowej i ich zadowolenie.

Nie dość jednak na tem. To co zaszło później jest jeszcze bardziej niesłychane. Z polecenia Maryi Andrejewny biuro jenerał-gubernatora rozesłało do wszystkich gubernatorów, naczelników powiatów i naczelników wszelkich władz miejskich i prowincyonalnych kilka tysięcy biletów na ową zabawę z prośbą, a raczej z poleceniem, rozprzedania ich „wśród koła znajomych“ i z odpowiednią odezwą urzędową komitetu Czerwonego Krzyża. Cóż z tego wynikło? Rzecz prosta, że taki p. naczelnik nie miał bynajmniej ochoty płacenia z własnej kieszeni kilkuset

*) Ażeby dobrze zrozumieć ową manipulacyę, trzeba wiedzieć, że w Warszawie jest zwyczaj rozsyłania biletów na bale i przedstawienia dobroczynne do domów prywatnych z kartą wizytową lub listem zapraszającym i że zwyczaj ten w powszechne wszedł użycie, tak, że każdy z obdarzonych bierze co najmniej jeden bilet a resztę odsyła komitetowi.

rubli za bilety wielkorządczyni. Rozłożył więc ten podatek na swoich podwładnych, ci zaś na swoich, i t. d., słowem haracz przeszedł wszystkie stopnie hierarchii administracyjnej i ostatecznie skrupił się na kontrybuentach. Wpakowywano te bilety obywatelom ziemskim, sędziom gminnym, wójtom, nawet — proboszczom wiejskim. W jednym z powiatów gubernii siedleckiej p. naczelnik rozesłał po prostu kilkanaście biletów między duchowieństwo katolickie i przez tegoż rozsylnego wyegzekwował od każdego księdza po 2 ruble z duszy. Nic nie pomogły tłómaczenia, wyszedł „ukaz“ z Zamku, rzecz skończona. I księża naturalnie płacili za bal Czerwonego Krzyża.

Opowiadano z tego powodu bardzo zabawną anegdotę o pewnym proboszczu na Podlasiu, staruszku, który potrzebując wyjechać na kuracyę do Warszawy, nie mógł żadną miarą wyprosić od naczelnika powiatu paszportu. Kiedy otrzymał ów bilet na bal Czerwonego Krzyża i kiedy przekonał się, że nie ma innej rady tylko zapłacić, starowina nie wiele myśląc siada na kolej i przyjeżdża do Warszawy. W hotelu zaczepiają go naturalnie o paszport.

— Nie mam paszportu, odpowiada proboszcz.

— Jakto? to przecież ksiądz wiesz, że nie możemy cię przyjąć.

— Kiedy ja jestem proszony na bal przez panią Hurko, oto bilet i list jej. Przyjechałem na ten

bal, bo skoro proszą to widocznie wolno, zaraz po balu wracam....

Sprawa oparła się o urząd policyjny i ostatecznie księdza nie pociągnięto do odpowiedzialności za brak paszportu, bo wywód jego logiczny nie dał się zbić żadną miarą.

Takiemi to drogami Marya Andrejewna doszła do tego, iż dochód z owej zabawy ratuszowej wyniósł nie mniej ni więcej tylko sto tysięcy złotych polskich (15 t. rubli). Bo któż się na tę sumę nie musiał składać? Nie było instytucyi, nie było prawie jednostki, którąby ufna w swą potęgę wielkorządczyni tego dnia nie wyzyskała. Samowolę i arogancyę posuwano do ostatecznych granic. Wiem np. o wypadku, iż do jednego z domów prywatnych zgłoszono się o pożyczenie kosztownej lampy japońskiej do namiotu pani jenerał-gubernatorowej. Namiot ten stał się także historycznym. Urządził go naturalnie nie Zamek, ale teatr, któremu nie zwrócono nietylko kosztów, lecz nie dano nawet ani kopiejki biednym maszynistom teatralnym, którzy przez cztery dni pracowali przy ustawieniu owego namiotu w sali ratuszowej. Trzeba było widzieć miny tych biedaków, jak narzekali na tę dodatkową robotę i jak nie mogli zrozumieć zaszczytu tej bezpłatnej dla potężnej wielkorządczyni pracy. Błogosławili ją też zawzięcie! Takich błogosławieństw było wogóle z okazyi owego balu dużo. Marya Andrejewna bowiem, o ile jest szczodrą i wymagającą, kiedy idzie o kieszeń drugich, względem własnej

okazuje się więcej niż skromną, prawie srogą. Tysiące pod tym względem cytowano mi wypadków. Przytoczę tylko jeden, może zanadto drobnostkowy ale bardzo charakterystyczny. Do namiotu p. jenerał-gubernatorowej obstalowano na ów bal mnóstwo chłodników i cukrów. Jak zwykle koszta owych cukrów ponosi nie ogólna kasa balowa, ale gospodyni namiotu, sprzedająca owe chłodniki na cel dobroczynny. Kiedy nazajutrz przedstawiono pani Hurko rachunek owej cukierni, Marya Andrejewna odmówiła zapłaty, tłómacząc, iż na taki cel, jak Czerwony Krzyż, wszystko powinno iść z miasta darmo, chociaż rachunek nie obciążał kasy balowej, lecz prywatną kiesę p. jenerał-gubernatorowej. Właściciel cukierni zaoponował, przyszło do kontrowersu a nawet groźb i w konkluzyi Marya Andrejewna orzekła, iż trzeba koniecznie założyć ruską cukiernię w Warszawie, aby damy prawosławne nie potrzebowały się posługiwać polskiemi słodyczami. Cukiernię taką istotnie założono, tylko że sprowadzony z Rosyi nowy „mistrz oprawosławienia Polaków za pomocą czekoladek“ uznał za stosowne grubo się ubezpieczyć, a następnie podpalić. Wina jego była tak jawną, iż pomimo całej protekcyi Zamku, nie uszedł kozy i właśnie teraz prowadzi się przeciw niemu śledztwo.

Wszystko, co tu mówię, to jeszcze nie całość obrazu, lecz tylko rys jeden owej filantropijno-politycznej działalności naszej wielkorządczyni. Sumaryczne wyliczanie poszczególnych wypadków zaję-

łoby za dużo miejsca i mogłoby w końcu znużyć. Wolę więc wracać do przerwanej tem uzupełnieniem dawnej charakterystyki Maryi Andrejewny, zastrzegając sobie na ciąg dalszy resztę nowozdobytych uwag i spostrzeżeń.

Wszystko to wypływa nie tylko z sztucznego fanatyzmu i chęci zrusyfikowania we wszelkich kierunkach kraju, ale i z przekonania, że nie kto inny, nie jej mąż nawet, ale ona sama Marya Andrejewna I. jest tego kraju panią i władczynią, że jenerał-gubernatorstwo warszawskie to więcej niż dawne Namiestnictwo Królestwa Polskiego, więcej niż wszystkie inne posady tego rodzaju w Cesarstwie, że to coś, co dla niej specyalnie utworzono i jej na osobistą pastwę i łup wydano. W tem mniemaniu szukać też należy wytłumaczenia owej pozy na wice-królową, owych tonów monarszych, których tutaj codziennymi jesteśmy świadkami. I rzecz dziwna, uchodzi to jej jakoś w Petersburgu, choć dawniej za Aleksandra II. nie uszłoby z pewnością tak łatwo. Maleńką próbkę da Ci następujący fakcik, arcydrobnostkowy to prawda, lecz w naszych stosunkach wielce charakterystyczny.

We wszystkich teatrach naszych dwór ma swoją lożę, do której nie wolno było dotychczas nikomu, prócz członkom rodziny cesarskiej, wchodzić. Jenerał-gubernatorowie zaś i ich zastępcy mają aż dwie specyalnie dla siebie *avant-scènes*. Przed paru laty, jeszcze za Albedyńskiego, na jakiemś przedstawieniu dobroczynnem wszedł przez pomyłkę do owej loży

hr. X. (mówiąc nawiasem, szambelan i figura arcyrządowa) i sądząc, że nietykalność jej na ten wyjątkowy raz zawieszoną została, zasiadł najspokojniej w świecie. Zrobiono z tego nadzwyczajną awanturę. Jen. Orżewski przybiegł natychmiast do owego pana, robiąc mu najostrzejsze wymówki, że śmiał sprofanować majestat cesarski, że biedny N. Pan nie ma nawet tyle względów w Warszawie, aby poszanowano miejsce dlań przeznaczone.... Dyrekcya Teatrów dostała surowe napomnienie, organizatorowie przedstawienia zapowiedź, że nigdy już nie otrzymają teatru, woźny natychmiastową dymisyę, słowem, przewrócono z tego powodu cały teatr do góry nogami. Dziś w tej loży nietylko, że się rozsiaduje p. jenerał-gubernatorowa z całą swoją familijką (chociaż nie śmiała tego uczynić ani księżna Paszkiewiczowa, ani pani Berg, pomimo że były namiestnikowemi), ale co więcej, od czasu do czasu ustępuje jej wychowanicom Maryjskiego Instytutu Panien.... I jakoś ta profanacya majestatu cesarskiego, na którą się tak nadzwyczajnie oburzał jenerał Orżewski, uchodzi i nikt nie zwraca na nią uwagi. Cóż chcesz! Czasy się zmieniły.

Niechby tak Mikołaj powiedział, jak Aleksander III. w Łazienkach podczas przyjęcia deputacyi dotkniętych powodzią, do swego namiestnika: „Przetłómacz słowa moje na język polski“, a on nie uczynił tego, jak to właśnie zrobił jen. Hurko — z pewnością nie byłby więcej Namiestnikiem, ale nazajutrz oparłby się gdzieś o Tambow lub Ufę.

Jenerałowi Hurce to uszło i konsekwencyi słów cesarskich, które przecież znaczyły, że naczelnik kraju powinien znać jego język, nie było wcale.

Jakby dla zaokrąglenia swej misyonarskiej działalności, pani Hurko zajmuje się także publicystyką i *Dniewnik Warszawski* jest obecnie nie tyle organem samego jenerał-gubernatora, ile jego małżonki. Nie wiem i nie ręczę, czy pisuje sama, ale mówią tu wszyscy i zresztą znać to bardzo wyraźnie, że ów organ czerpie swe instrukcye specyalnie od Maryi Andrejewny i że ton jego głównie od niej właśnie wychodzi. Do niedawna świstek papieru, wydawany tylko dla umieszczania urzędowych tłómaczeń ukazów cesarskich i nominacyj, *Dniewnik Warszawski* za ks. Golicyna próbował prowadzić jakąś politykę ugodową. Nie poszło mu to fortunnie, osławiony frazes o „złotym moście“ nie znalazł oddźwięku ani w Petersburgu, a tem bardziej tutaj. Nikt tych elukubracyj nie czytał, nikt się niemi nie zajmował. *Dniewnik* nie miał żadnego znaczenia i nie był właściwie niczyim organem, a redaktorstwo ks. Golicyna skończyło się deficytem kilku tysięcy rs., o które wierzyciele później się procesowali, nie wskórawszy nic ani u rządu, ani tem bardziej u owego zaszarganego publicysty, który poprzednio sprawował zaszczytny urząd naczelnika tajnych szpiegów. Po przyjeździe jenerała Hurki redakcyę *Dniewnika* objął Szczebalski, poprzednio dyrektor jednego z gimnazyów tutejszych i nadał mu odrazu czysto Katkowowski ton. Z chwilą tej reor-

ganizacyi „*Dniewnik*“ zamienił się w najostrzejszy organ polakożerczy i zaczął prowadzić politykę, nawet zagraniczną na własną rękę. Pamiętasz zapewne ton, jakim w swoim czasie przemawiał o Austryi i Niemczech, pamiętasz sposób traktowania sąsiadów przez organ urzędowy, który ostatecznie doprowadził do tego, iż mu w monarchii habsburskiej cofnięto debit. Owe komunikaty Zamkowe były nawet przedmiotem interpelacyj dyplomatycznych. Sprawa opierała się aż o p. Giersa a ten zakonkludował, iż *Dniewnik* nie przedstawia bynajmniej opinii rządu, lecz jest tylko przez rząd subwencyonowanym. Po śmierci Szczebalskiego redakcya *Dniewnika* przeszła w ręce p. Kułakowskiego; zmieniły się osoby, *spiritus movens* został ten sam,. *Dniewnik* jest dziś nawet daleko zacieklejszym, bardziej wynalazczym w złem niż rosyjskie dzienniki cesarstwa, które już doprawdy srodze nas nienawidzą i dokuczają. Śledzi za każdym objawem życia w kraju lub w dziennikach, bierze wciąż i nasuwa inicyatywy we wszystkich środkach mających zgnębić nietylko życie narodowe i moralne kraju, ale nawet interesa jego e k o n o m i c z n e. Tak np. mimo, że same dzienniki cesarstwa oddały słuszność przemysłowcom Łódzkim i ich m e m o r y a ł o w i w obronie przed majątkowemi prawami, jakie fabrykanci moskiewscy chcieli do nich zastosować, *Dniewnik* wystąpił z szeregiem bezzasadnych zupełnie argumentacyj, byleby tylko przemysł tutejszy zniszczyć. Tak samo projekt zamiany przymusowej dóbr majorackich lewego brzegu

Wisły, na majątki polskie prywatne na prawym brzegu położone i t. d. Specyalną jego charakterystykę zostawiam do dalszych listów, kiedy mówić będę o wydawanych w Warszawie dziennikach; tu pragnę tylko zaznaczyć udział, jaki i w tej robocie bierze Marya Andrejewna, i wpływ, jaki przez swego *Monitora* wywiera. *Dniewnik* bardzo pilnie zajmuje się Unitami galicyjskimi, umieszcza wielce charakterystyczne korespondencye z Galicyi i Bukowiny, apoteozuje Naumowicza i urządza dla niego uczty. W nim się to pojawił ów projekt nowego podziału Królestwa, stworzenia rosyjskiego „Zabużia“ i zamiany majoratów po tej stronie Bugu na majątki polskie po tamtej.... On sygnalizował pierwszy reformę Banku Polskiego, on gardłuje obecnie za nieodzowną potrzebą stworzenia w Warszawie rosyjskiego teatru: słowem, wszystko, co później zaczęło wchodzić w wykonanie, omawiano poprzednio w tem piśmie jako projekta i konieczne reformy.... Masz więc dowód, że czucie między ulicą Miodową a Zamkiem jest bardzo ścisłe i że prąd jego idzie właśnie wyłącznie niemal za pośrednictwem Maryi Andrejewny, szczęśliwej, że chociaż ten jeden dziennik wychwala pod niebiosa jej towarzyską uprzejmość, talent przyjmowania gości i maniery pierwszej księżniczki wersalskiego dworu. Z *Dniewnika* możesz też zawsze powziąć wyobrażenie, co znów nowego świta w głowie naszej wielkorządczyni, a jeśli go czytać będziesz uważnie, to odnajdziesz także ślady niektórych ciekawych, nie powiem, intryżek — ale

dysonansów między Maryą Andrejewną, a pewnemi sferami czysto rosyjskiemi.

Nie rób sobie bowiem illuzyi, aby i w kołach rosyjskich ekstraurzędowych i ultra-prawosławnych, pani Hurko tak wielkiej zażywała popularności. O nie, wcale! Wiedz bowiem, że i prawosławie nie idzie zawsze w parze ze złem wychowaniem i że ci, co biją pokłony w Soborze na Długiej ulicy, nie lubią również, aby zbytecznie zadzierano przed nimi nosa na placu Zygmunta. — Nie mówię już nawet o książętach i hrabiach, o arystokracyi rosyjskiej, której zresztą jest tu teraz bardzo niewiele, ale o tajnych radcach i pułkownikach, którzy przez same stosunki z Polakami otarli się już trochę w świecie i mają jakie takie maniery. Tych także wszystko to razi, mniej niż nas naturalnie, ale zawsze trochę. I pocichu wyśmiewają się oni srodze ze swej *naczalnicy*. Podczas obchodu np. śś. Cyryla i Metodego pani Hurko urządziła w Zamku oryginalną uroczystość. Naspraszała mnóstwo Rosyan i wyprawiła im — zgadnij co? — wielki obiad, bal, kolacyę i raut? nie — odczyt o działalności apostołów, odczyt miany nb. przez pułkownika jeneralnego sztabu, inżyniera z fachu. Czytało biedne pułkowniczysko swoje wypracowanie przez dwie przeszło godziny, audytoryum wypościło się i wynudziło straszliwie i nie dostało nawet ani szklanki herbaty. Dla Rosyan, u których niema przyjęcia bez „szampańskawo“, choćby nawet dońskiego, a tembardziej bez wódki i zakąsek, podobna misyonar-

sko-platoniczna „freuda“ była istną ironią i naigrawaniem się. Wyrzekali też oni straszliwie, a jakiś biedny oficerzyna skarżył się przed moim znajomym:

— Widzisz pan — oszalała, czy co.... Każe oficerom, jakby popom jakim, gadać dwugodzinne kazanie o świętych Pańskich. Mamy już tego dosyć w cerkwi, a Zamek na to, żeby w nim trochę pohulać i choć garstkę cukierków przynieść dzieciom do domu....

Istnieje zwyczaj, jeszcze za ks. Paszkiewicza zaprowadzony, że w nocy Wielkiej Soboty wszyscy Rosyanie i cały świat urzędowy zbiera się po rezurekcyi u arcybiskupa prawosławnego przy Soborze na ulicy Długiej. „Jeho Wysoko Preoświadczeństwo“ pobiera nawet specyalną sumę na koszta tego przyjęcia, które jest ogólnem i otwierającem owej nocy podwoje „Archipastyra“ wszystkim wyznawcom prawosławnej Cerkwi.... Otóż pani Hurko zapragnęła podobne przyjęcie urządzić u siebie i wszyscy czynownicy, praporszczyki i oficerowie sypnęli hurmem na Zamek. Nie podobało się to bardzo na Długiej ulicy i najprzewielebniejszy Leoncyusz miał podobno uskarżać się aż w Petersburgu, że pani jenerał-gubernatorowa robi mu konkurencyę i wchodzi w jego prawa do przyjęcia pierwszych pocałunków z „Christos Woskres“.... Powtórzyła się nieśmiertelna scena z *Pięknej Heleny;* stary Kalchas zaczął spoglądać podejrzliwem okiem na nowego przybysza z Cytery i zawyrokował, że to

dziwne trochę maniery — jak na W. Augura. Odtąd, a podobno jeszcze i wcześniej, powstał pewien dysonans między archirejskim pałacem a Zamkiem i właśnie śladów tego dysonansu dopatrzeć się można w łamach *Warszawskiego Dniewnika*. Na Leoncyuszu ciąży głównie zarzut, że niedość wspiera i wynagradza byłych popów unickich, przybyłych z Galicyi do Chełmu. Rzeczywiście ma on z tą hałastrą wiele kłopotów, bo po większej części same to wyrzutki społeczeństwa, prości kryminaliści, którzy radziby odrazu wszystko zagarnąć i jak największe ciągnąć zyski. Kiedy pewien obywatel uskarżał się raz przed nim na takiego galicyjskiego parocha, który w jego wiosce kryminalnych poprostu dopuszczał się zbrodni, Leoncyusz machnął ręką i nie mógł się powstrzymać od krzyku:

— Już to ja mam z tymi łotrami robotę....

Otóż zdaje się, że pod tym względem zachodzi główna dyferencya między Zamkiem a Soborem. Marya Andrejewna radaby wrota niebieskie otworzyć galicyjskim męczennikom i drogę przed nimi usłać różami; najprzewielebniejszy zaś Leoncyusz nie widzi powodu krzywdzić dla nich innych, przybyłych z głębi Rosyi duchownych, którzy przecież także chcieliby najprędzej dojść do grosza i nie myślą wszystkiego „męczennikom“ ustępować.... W ostrej rywalizacyi między popami z Rosyi a popami z Galicyi bierze on zawsze stronę pierwszych i ostatecznie ze swego stanowiska ma najzupełniejszą racyę. Niezadowolenie z takiej taktyki wzrosło

do tego stopnia, że, rzecz w Rosyi niesłychana, w jakiemś piśmie moskiewskiem, bodaj czy nie w samym dzienniku p. Katkowa, ukazała się korespondencya z Warszawy, narzekająca, że Leoncyusz zanadto często opuszcza swoją rezydencyę, że pozbawia owieczki osobistego zarządu, że już od kilku lat nie był w Chełmie itd. W ślad zaś za tą korespondencyą — *Dniewnik Warszawski* zaczął troskliwie notować wszystkie wyjazdy i przyjazdy swego Arcybiskupa, jakby dla zaznaczenia, że rzeczywiście zarzut jest usprawiedliwiony i że kilkodniowe pobyty w Warszawie najwyższego zwierzchnika prawosławnej cerkwi w Królestwie źle świadczą o jego pasterskiej gorliwości.... Jak się to wszystko skończy — nie wiem, wątpię jednak, aby Marya Andrejewna i tu zwyciężyła, gdyż najprzewielebniejszy Leoncyusz ma w Petersburgu plecy i Najświętszy Synod niezawodnie nie zechce go poświęcić kobiecemu kaprysowi.

Najbliższe otoczenie pani jenerał-gubernatorowej składa jej rodzina. Znam te panie niezmiernie mało, a przypatrzyłam się im głównie nietyle na Zamku, jak w tej cesarskiej loży, w której się tak dumnie rozsiadają. Maryi Andrejewnie towarzyszą tam zwykle dwie kobiety: jedna bardzo otyła, zawsze szkaradnie ubrana, nie mająca ani szczypty elegancyi i wdzięku, brzydka, mówiąca ciągle po rosyjsku (bo po francusku podobno nie umie) — to panna Sołucew, czy jakoś tam inaczej — *un nom très obscur* — siostrzenica, czy synowica samej pani. Druga, trochę

przystojniejsza, ale także do cesarskiej loży arcyniepasująca, to pani Ozierow, także kuzynka, świeżo właśnie wydana za młodego adjutanta czy sekretarza jenerał-gubernatora, sprowadzonego tu z Odessy. Mąż jej, młody chłopak, z zaspanemi oczami, wsławił się swą rosyjską komendą tańców na balu cesarskim w Zamku. Zachowanie się jego wówczas było tego rodzaju, że sam cesarz w kontredansie, którego tańczyła cesarzowa z księciem Altenburskim, podszedł do żony i wycofał ją z koła; p. Ozierow bowiem wbrew wszelkim przepisom etykiety, nie czekając, aż N. Pani raczy zaprzestać szóstą figurę, wydał „komandirówkę“ ogólnego *krużka* (rond) ku wielkiemu zgorszeniu nietylko już W. ochmistrzyni dworu, ale nawet samego cesarza*) Drugim wielkim, mówią niektórzy, że największym faworytem Maryi Andrejewny jest pan Jankuljo, do niedawna urzędnik do szczególnych poruczeń przy jenerał-gubernatorze, młodzieniec o zyzowatem oku, długich faworytach i typowo petersburskiej fizyonomii. Ten także — to import odeski. Rumun z pochodzenia, dzięki fawarom raczej pani niż pana Hurki, dochrapał się rangi rzeczywistego radcy stanu, a świeżo właśnie

---

*) To też Marya Andrejewna nie cieszy się bynajmniej od owych czasów osobistemi względami u dworu gatczyńskiego. Podczas ostatniej bytności pary cesarskiej w Spale pani Hurko miała kilkakrotnie sposobność poznać to usposobienie ukoronowanych osób. Ale i to nawet nie zdołało poskromić opętania tej kobiety.

mianowany został prezesem komitetu cenzury. Nominacya ta nastąpiła z podwójnych względów. Raz dla tego, iż Marya Andrejewna chciała posiąść w ten sposób bezpośredni wpływ na losy prasy warszawskiej, a powtóre pan Jankuljo zadłużył się mocno i finanse jego potrzebowały koniecznie poprawy. Więc usunięto p. Ryżewa, który przecież akomodował się wszystkiemi sposobami — byle tylko otworzyć dostatnią dla faworyta pensyę (4000 rs. rocznie i mieszkanie). Panu Jankulii wszystko jedno, czym będzie, interesa nic go nie obchodzą, nie tylko ich nie zna, ale nawet poznać się nie stara, lubi żyć i użyć i na tem polega cała jego filozofia. Stanął na czele cenzury, bo mu tak kazano, wszelka inicyatywa i zarząd przeszedł do Zamku, a on nawet się nie troszczy o to, czy nowa pensya wystarczy lub nie na spłacenie długów. On tych długów płacić nie myśli, więc czy ich nie zapłaci jako urzędnik kancelaryi gubernatorskiej, czy jako prezes cenzury — wszystko to mu jedno. Położenie niczem się nie zmieni, a na tej kombinacyi wyjdzie tylko najgorzej prasa, z chwilą bowiem nominacyi p. Jankulii przestał istnieć komitet cenzury na ulicy Miodowej, a wstąpiła i na ten tron Marya Andrejewna I.

Do kamarylli zamkowej zaliczyć jeszcze należy kilku podrzędniejszych jenerałów i d i e j a t j e l i, kilka j e n e r a l s z y i dużo małych rybek, które pokłonami, uniżonością i nadskakiwaniem pragną wcisnąć się w łaski wszechpotężnej wielkorządczyni.

Z tych kilku rysów masz próbkę, czem się otacza dzisiejszy Zamek i jaki główny prąd jego. Pani Hurko mogłaby być wcale inteligentną, oczytaną i ożywionej rozmowy osobą — zdolności i sprytu nie zaprzeczam jej wcale — ale szkodzi temu wszystkiemu istotne opętanie przez ambicyę, pychę i potrzebę propagandy, przez złość niepohamowaną do wszystkiego co polskie, przez namiętność otaczania siebie i męża moskiewskim i prawosławnym zelotyzmem. Wynalazczy jej umysł knuje wciąż i snuje coraz to nowe projekta dokuczania i tak już nieszczęśliwemu i bliznami okrytemu narodowi. Wyrazu opętania użyłam tu z umysłu, bo inaczej rzeczywiście trudno określić tę furyę, z jaką pani jenerał-gubernatorowa jęła dokuczać i drażnić wciąż to biedne społeczeństwo. Zadanie to spełnia z Kulissenreisserei bohaterki małomiasteczkowego teatru, bez żadnej finezyi, pospolicie, brutalnie, na nic nie zważając i z niczem się nie rachując. Od niej to wychodziła i wychodzi inicyatywa wszystkich najbardziej jątrzących rozporządzeń Zamku i myliłby się ten, co źródła najnowszej fazy obrusienia chciałby wyłącznie szukać w Petersburgu. Prąd i usposobienie tamtejsze umożliwiają tylko istnienie lokalnego systemu. Z nad Newy otrzymujemy tylko ogólne kontury, tu nad Wisłą następuje wypracowanie szczegółów. To wypracowanie jest przeważnem Maryi Andrejewny zajęciem. Posuwa się ona w tym kierunku do granic, których przekraczanie gdzieindziej pociągnęłoby za sobą srogą

odpowiedzialność. Nigdy bowiem bardziej samowola jednostki nie zajmowała jawniej i widoczniej miejsca wszelkiego prawa, słuszności i sprawiedliwości. I znowu zacytuję ci fakta, byś mnie o gołosłowność nie posądziła.

Od samego początku panowania Maryi Andrejewny stała się ona punktem zbornym wszelkich denuncyacyj i oskarżeń, wprowadzając modę bezpośrednich do Zamku donosów w przedmiocie t. z. „nieposzanowania języka rosyjskiego“ i „obelg ludzi narodowości rosyjskiej“. Jak jedno i drugie pojęcie jest elastycznem i ile do nadużyć daje okazyi, możesz sobie sama wyobrazić. Objaśni Ci to najlepiej następujący przykład.

Do sklepu kwiatowego Bardeta przychodzi jakiś oficer i żąda pewnej planty, wymieniając jej nazwę po rosyjsku. Kupczyk oświadcza, iż nie rozumie o co chodzi i prosi o nomenklaturę polską, francuzką albo wreszcie łacińską. Oficer zaczyna się rozbijać, wrzeszczeć, narzeka, iż nie pojmuje, jak p. Bardet może być tyle zuchwałym, żeby nie trzymać w swym sklepie subjektów, umiejących po rosyjsku, słowem robi z całej tej sprawy kwestyę polityczną. Usłyszawszy hałas zjawia się i sam właściciel magazynu. Następuje eksplikacya. Oficer zżyma się coraz bardziej, p. Bardet oświadcza w końcu, iż ani on, ani jego subjekci nie są wcale obowiązani do znajomości języka rosyjskiego. Zapalczywy interlokutor grozi skargą do Zamku i zamknięciem sklepu. Jakoż nazajutrz zjawia się komisarz poli-

cyjny i oznajmia p. Bardetowi, iż sklep jego pozostanie dopóty zamkniętym, dopóki nie przyjmie subjekta, mówiącego po rosyjsku, co oświadczywszy przystępuje do urzędowego zamknięcia sklepu. Na szczęście p. Bardet jest obcym poddanym, apeluje więc do konsula francuzkiego a ten, nie wiedząc co począć odnosi się w drodze telegraficznej do ambasady w Petersburgu. Na drugi dzień przychodzi ztamtąd wyjaśnienie, iż według prawa kupcy nie mają wcale obowiązku trzymania subjektów rosyjskich, a równocześnie wiadomość, iż z Petersburga polecono telegraficznie policyi sklep otworzyć i że nadto p. Bardet może sobie likwidować straty za samowolne zamknięcie interesu. Spotkała więc Maryę Andrejewnę wielka konfuzya, gdyż całe to zajście powstało z jej osobistej inicyatywy. Nie sądź jednak, aby ta jednorazowa przegrana popsuła jej szyki. Opętanych nic nie powstrzyma i na ich furyę jedno tylko lekarstwo: odosobnienie.

Drugi analogiczny wypadek zaszedł prawie równocześnie z pewnym składem łóżek i pościeli przy ulicy Czystej. Do sklepu tego zjawił się młody p. Hurko i wybrawszy całe urządzenie sypialnego pokoju, polecił przysłać je na kredyt do Zamku. Właścicielka sklepu oświadczyła, iż kredytów nie zwykła udzielać nikomu, a tembardziej nieznajomym. Na to pan Hurko zauważył, iż raczy być synem najmiłościwiej nam panującego jenerał-gubernatora. I to nie zrobiło wrażenia; ostrożna właścicielka, wiedząc, jakto wyglądają później owe kredyta dygni-

tarzy rosyjskich, oświadczyła stanowczo, iż bez pieniędzy towaru ze sklepu nie wypuści. Przyszło do gniewów, oburzeń, nawet obelg — i czy uwierzysz? — Kupcową aresztowano na mocy rozkazu zamkowego i kto wie, jakiby ją los spotkał za to, iż śmiała niekredytować dostojnemu infantowi samego pana Hurki, gdyby na szczęście ktoś z rozsądniejszych nie zwrócił uwagi, iż sprawa ta może pociągnąć za sobą niemiłe dla Zamku następstwa. Oprzytomniała więc Marya Andrejewna i właścicielkę sklepu wkrótce wypuszczono na wolność.

Cała historya znanego zajścia w cyrku Salomońskiego wyszła także z inicyatywy tej pani. Ona to nadawała kierunek śledztwu i ona wpłynęła na owo niesłychane postanowienie p. jenerał-gubernatora co do dzienników warszawskich. W tym wypadku szło jej głównie o zgnębienie prasy, o pokazanie, że i nad nią ma swą władzę i że jej srogo użyć potrafi. Nie brakło insynuacyi, iż owa kampania anti-dziennikarska, rozpoczęta przez panią Hurko i prowadzona (drugi wypadek z „Dziennikiem dla Wszystkich“, nominacya p. Jankuljo) z równem, jak wszystko co od niej wychodzi, opętaniem, jest zemstą za listy niniejsze twojej przyjaciółki. Gdyby tak było istotnie, wówczas stwierdziłoby się raz jeszcze przysłowie o ślusarzu i kowalu, ale wątpię, zbyt bowiem korzystne mam wyobrażenie o sprycie i domyślności naszej wielkorządczyni, abym ją mogła posądzać o podobnie nonsensowne zestawienie. Marya Andrejewna wie

doskonale, gdzie mnie szukać, i jeśli istotnie objawy jej gniewu i oburzenia na autorkę niniejszych sprawozdań tak były i są wielkiemi, to właśnie dla tego, że czuje wybornie, jako pomimo całej swej władzy mnie osobiście dosięgnąć nie potrafi. Ta wiadomość i świadomość najbardziej ją gniewa, a jeśli w całej tej sprawie może być mowa o jakiejś tajemnicy, to sekret istnieje tylko dla publiczności, nie ma go i być nie może dla pani Hurko.

Lecz wracam dalej do moich uzupełnień. Jeśli sprawa Tanti-Salomonsky skończyła się także względnem dla Zamku *fiaskiem*, gdyż ostatecznie ani jeden z dzienników rosyjskich, najbardziej zawziętych, nie pochwalił tego „postanowienia“ p. jenerał-gubernatora a słynny Kijewlanin przyznał nawet otwarcie, iż tym razem „administracya się pomyliła“ — to wszystko jednak nie wpłynęło bynajmniej na opamiętanie pani Hurko i powolnego jej pomysłom męża. W ostatnich czasach ów duch inicyatorski Zamku wystąpił znowu z całym szeregiem rozmaitych środków rusyfikatorskich. Wydano zatem rozporządzenie, aby pieczęcie rządców domu były rosyjskie, aby na stacyach kolei poznoszono polskie napisy a pozostawiono jedynie tylko rosyjskie, aby uczyniono to samo na wszystkich wagonach drogi żelaznej warsz.-wiedeńskiej i warsz.-bydgoskiej. Ma ona jeszcze w zanadrzu rozporządzenie o wyłącznie rosyjskich szyldach i o drukowaniu spisu potraw po restauracyach w państwowym języku. Kwestyę teatru rosyjskiego w Warszawie

poruszam obszerniej na innem miejscu (tom IIgi), więc ją tu tylko mimochodem wspominam, zaznaczając zupełne i na tem polu niepowodzenie. Słowem, krótko mówiąc, nie ma takiej dziedziny naszego życia społecznego, nie ma takiej warstwy ludności kraju, nie ma prawie instytucyi, którejby się ta kobieta i jej „opętanie“ nie dało we znaki, a to nie raz, dwa, ale setki razy, codzień, niemal co godzina*). Wszędzie się ona wciska i do wszystkiego się miesza, wszystkiem rządzi i wszystkim się narzuca i jeśli pismo powiada, iż po stworzeniu świata „duch unosił się nad wodami“, to o Maryi Andrejewnie można powiedzieć, iż duch jej się unosi nad naszemi codziennemi sprawami i troskami, że ona to wybija na nich swe piętno i całej epoce dzisiejszej nazwę daje.

Sztuczny fanatyzm prawosławny, misyonarska agitacya, chęć pozowania na „matkę Cerkwi“ i Katkowa w spódnicy, zasada ciągłego drażnienia i drobnych szykan, brak wszelkich form towarzyskich, rusyfikacya posunięta aż do kuchni i komendy tańców, polityczka na własną rękę, marny, lecz wielce

*) Na dowód, jaką pod tym względem ma publiczność warszawska opinię o Maryi Andrejewnie, niech służy ów pomysł jakiegoś dowcipnisia, który puścił raz po mieście pogłoskę, iż z rozkazu pani Hurko wystrzelano wszystkie wróble polskie w Łazienkach, a na ich miejsce sprowadzono mietłuszki z gub. Samarskiej. Dowcip ten o „prawosławnych wróblach“ miał w swoim czasie wielkie powodzenie i obiegał całe miasto.

dokuczliwy systemik lokalny, a przedewszystkiem górująca na pierwszym planie jakaś zawziętość i nienawiść do wszystkiego, co polskie — oto główne rysy Maryi Andrejewny. Co do nas, patrzymy na to wszystko więcej z politowaniem, niż złością, trzymając się jedynie możliwej w takich stosunkach zasady: *guarda e passa* i radząc pani gubernatorowej, aby kiedyś przypomniała sobie paryskie swe czasy i wzięła do ręki starego Montaigna, gdyż w nim znajdzie bardzo mądrą i jakby dla niej samej napisaną radę: *qu'il faut mésnager la cholere et ne l'espandre à tout prix, car cela en empesche l'effect et lé poids: la criaillerie temeraire et ordinaire passe en usage et faiet que chascun la mesrrise.*

Tyle się rozpisałam o pani Hurkowej, że choćby *ad honoris causam* wypada mi jeszcze powrócić do jej męża. Bohater z pod Szypki był i jest dla mnie zagadkowym. Sprawdza on doskonale przysłowie o pozorach, które mylą. Wszystko inaczej się zapowiadało w tym człowieku, a inaczej wypadło. Jako żołnierz ostry, surowy, rygorzysta, wyglądał raczej na służbistę, powolne narzędzie cesarza, a nie na człowieka koteryi czy stronnictwa. Tymczasem jest on *par excellence un homme de parti,* czystej krwi „diejatiel", który nie poprzestaje na roli wykonawcy rozkazów, ale sam się o nie doprasza, sam występuje z inicyatywą. Projekta i zapowiedzi dziennikarskie przez niego wchodzą w życie, Katkowowskie elaborata idą z Moskwy *via* Warszawa do

Petersburga. Przeszłość wojskowa wskazywałaby energię i samoistność, tymczasem wobec otoczenia pokazuje się on słabym — wpływom ulega, podszeptom nastawia ucha. Nie administrator z niego, lecz misyonarz; nie rządzi, lecz urządza i ma taką minę, jakby wraz ze sławą wojskową Skobelewa chciał wziąć także w spuściznie sławę cywilną ks. Czerkawskiego i jego Komitetu. Chociaż zrazu oświadczył swoim podwładnym, że nie powinni zachowywać się w tym kraju jako zwycięzcy, sam pierwszy przybiera taki ton, jakby wkroczył co tylko do nowo-zdobytej prowincyi i pierwszy w niej zatknął sztandar rosyjski. W stosunkach codziennych nie sztywny, lecz szorstki, ostry, udaje pedagoga, któremu dano do poprawy rozlampartowanych urwiszów. Przyszedł z wyrobionem z góry uprzedzeniem i pod jednym tylko względem dał się trochę przekonać, pod tym mianowicie, że w kraju naszym niema pola dla nihilistycznych agitacyj. Przyszło mu to ciężko, ale ostatecznie trzebaby mieć bardzo zatwardziałą głowę i umysł, aby po tem, co się pokazało, przy dawnem upierać się zdaniu. Co w nim najbardziej mnie zadziwia, a co jest niesłychanem, to ów ustęp ze słynnego raportu, w którym w tak przebiegły sposób podaje w wątpliwość przyjęcie, jakie niedawno spotkało N. Państwa w Królestwie. Ręczę, że na to sam osobiście się nie zdobył, lecz że owa insynuacya wyszła od jego otoczenia lub podsunięta mu została z Moskwy. Jakiej to jednak trzeba słabości i czegoś więcej

jeszcze, aby rzecz podobną przyjąć, w raporcie umieścić i podpisać. Wojskiem rządzi dobrze i ma w niem powagę, jakiej naturalnie Albedyński nie mógł zażywać. Czas swój też głównie spędza na manewrach, ćwiczeniach i paradach, poświęcając się im z zamiłowaniem i znajomością rzeczy.

Interesa spycha przeważnie na kancelaryę; pojmuje je ciężko, a wykształcenia lub praktyki administracyjnej niema żadnej. Bóg go raczy wiedzieć, czy jest w duszy konserwatystą; chyba nie, skoro tak kategoryczna po przyjściu jego zaszła w sprawach serwitutowych zmiana i skoro waśnienie jednych warstw przeciw drugim rozpoczęło się znowu w najlepsze. W każdym razie taki jak on konserwatysta dałby się na najbardziej rewolucyjną zapędzić drogę. Przy całej swej rusyfikacyjnej zawziętości używa stale w rozmowie z Polakami, zwłaszcza starszymi, francuskiego języka, wychodząc z zasady, że ci, co nowych szkół nie przeszli, nie są obowiązani do znajomości ruszczyzny. Wogóle mam najgłębsze przekonanie, że w innem otoczeniu, pod innym niż Maryi Andrejewny wpływem, nie byłby takim jak dziś, a w każdym razie nie byłby również szorstkim i nienawistnym.

Kto waleczny jak on, kto stokrotnie życie narażał, kto znosił z męztwem i wytrwałością wszystkie niewygody i prywacye, kto z poświęceniem niesłychanem ludzi, ale wśród nich zawsze na czele przeszedł Bałkany — nie może być powszednim karyerowiczem. To też jen. Hurko posiada, kiedy idzie

o stanowisko i powagę, wiele niebywałej w Rosyi niepodległości, szorstkiego nawet poczucia własnej godności wobec monarchy, członków rodziny cesarskiej i najwyższych urzędników państwa. Co do mnie, powtarzam to raz jeszcze, mniemam, iż nie jest on wcale złym z natury, ani z natury nam nienawistnym. Ale praktycznie biorąc, przedstawia się jako człowiek zacieśnionego widnokręgu, jako reprezentant fałszywej panmoskiewskiej doktryny — może nawet demokratyczny liberał tego pokroju co bardzo licho, drobno- i krótkowidzący liberalizm petersburski lub bulwarowy paryzki. Podejrzliwościami i nienawiściami do katolicyzmu i księży przez żonę i otoczenie wykarmiony, z mrzonkami słowiańskiemi w głowie — bez żadnych elementarnych, podstawowych, koniecznych znajomości zasad i warunków porządku politycznego, społecznego, administracyjnego i ekonomicznego, ztąd administrator najgorszy i poza rusyfikacyą nic nie widzący, człowiek, który nic kraju nie znał i dotąd nie zna a poznać nawet nie usiłuje — człowiek kilku formuł, kilku żołnierskich haseł służbowych, w rzemiośle swem jedynie zamiłowany, wszystko inne lekceważący — ten, co sam polskiego pochodzenia*) i wiary stał się zupełnie Rosyaninem i prawosławnym, myśleć może, że skoro sam na tem dobrze wyszedł,

*) Ojciec był jeszcze katolikiem — stara rodzina białoruska.

to naród tak samo zyszcze, jeśli w jego wstąpi ślady i utonie w panmoskiewskim makrokozmie.

Tacy niefachowi wielkorządcy i administratorowie, a żołnierze ciasnych i nowatorskich doktryn, stać się mogą plagą kraju, którym zawiadują, tem bardziej, jeśli powolni są nad wyraz podmuchom, natarczywościom, żądzom takich apostołek, takich złośliwych i niepohamowanych ambicyj, jakie trawią jego towarzyszkę życia i bardzo złe a liche najbliższe otoczenie.

Poprzednicy Hurki mogli kraju nie lubić, mogli być powolnemi narzędziami rosnących już wówczas a panujących dziś prądów Katkowsko-Pobiedonoscewskich, to jest najciaśniejszego szowinizmu moskiewskiego i najciaśniejszego bramińskiego fanatyzmu i bigoteryi prawosławnej. Zbyt jednak siebie i swoje cenili powołanie, żeby nie starali się poznać kraju, jego stanu, przeszłości, urządzeń, ekonomicznych i cywilizacyjnych odrębności. Jenerał Hurko zamyka przed sobą te źródła wiadomości i poczucie sytuacyi, bo z umysłu i z idyosynkrazyą niebywałą unika wszelkiego zetknięcia i zbliżenia z ludźmi, którzy mogliby go objaśnić i pouczyć o potrzebach kraju i nadużyciach w nim grasujących. Słowem, jen. Hurko to żołnierz i nic zgoła więcej — c y w i l n e g o nietylko zarządcy, ale człowieka, ale natury i umysłu nie ma w nim źdźbła, nie ma zgoła tego poczucia, rozumienia i instynktu.

W Petersburgu ani na dworze, ani w ministeryach wielkiego nie zażywa miru. Do tego brak

mu giętkości i ogłady. Przeciwnie uczciwość, szorstkość, imponująca obraźliwość, bezwzględna służbistość a niezależność opryskliwa, kiedy idzie o jego osobę, czynią go wszędzie tam niepopularnym. Żona mu także przy wrodzonych swych przymiotach popularności i życzliwości nie zaskarbi.

Petersburg i Cesarz trzymają go w Warszawie, znoszą niejako, bo mają przesadzone pojęcie o jego zdolnościach wojskowych, bo uważają go za jedynego naczelnego wodza w razie starcia z Zachodem. Tymczasem zdaje mi się, iż o ile słyszę zdolności to na dywizyjnego lub korpusowego tylko dowódcę, a nigdy na *jeneralissimusa*. Dla tego na wszystko mu pozwalają — a ona ufna w to małżeństwo korzysta z dyktatury bez kontroli.

Znowu jeden dowód więcej, co to za rozprzężenie i niewola to dzisiejsze samodzierżawie, które zgoła nie jest samowładztwem lecz swawolą czynowników, dziennikarza, zakrystyana i buńczucznego żołnierza.

Dawniejsi Namiestnicy Królestwa, nawet ks. Paszkiewicz (ten ostatni choć niskiej osobistej wartości moralnej człowiek), choć brutal, arbitralny i w wysokim stopniu terorysta, ale mający duże poczucie władzy i porządku obok sporych zdolności administracyjnych i jasnego umysłu, jednoczyli się z interesami kraju powoli, dbali o ład wewnętrzny a nawet o postęp jego materyalny. Ten groźny Paszkiewicz dzierżył brutalnie swą władzę, pragnął posłuszeństwa, porządku, uległości, ale nie wymy-

słał środków rusyfikacyi i prawosławienia – nawet przed niemi czasami kraj zasłaniał. Kiedy jakiegoś cudzoziemca oprowadzał po wyrestaurowanej katedrze św. Jana, odzywał się o Wazach, Sasach, Poniatowskim jak o *mes prédécesseurs.*

Dziś dla chleba i wygody mamy tylko żołnierzy wykonywających rozkazy, urzędników powolnych ministrowi — inicyatywa ich ogranicza się do schlebiania Moskwie i Petersburgowi przez wymyślność rusyfikacyi i prawosławienia.

Jeśli Berg i Kotzebue byli ludźmi mikołajewskiego teroryzmu, ale Niemcami, więc konserwatystami, szanującymi własność i władzę, ludzie porządku — Albedyński człowiekiem pierwszych lat panowania Aleksandra II., jeszcze przeciw nam nierozdrażnionego — Hurko jest nawskróś reprezentantem nowej szkoły, rosyjskiego szowinizmu, człowiekiem nie tyle może Aleksandra III., jak Katkowa. Ma on w swych oczach coś z mistyka, a takich ludzi chociaż bywają czasem nieźli, fałszywy jednak system może zapędzić bardzo daleko, bo aż do rozjuszenia i zaciekłości.

W tym powłóczystym, trochę zamglonym wzroku, w tem głębokiem a zagadkowem spojrzeniu, w tej spokojnej napozór, a jednak niepokojącej twarzy, odbija się charakter tego człowieka, który wygląda na sfinksa, ale nagle przedzierżgnąć się może w Żyżkę i będzie palił, rąbał i siekał, i będzie potoki krwi rozlewać, sądząc, że w tem swoje i swej ojczyzny znajdzie zbawienie. Niebezpieczny to czło-

wiek, „wojującej Cerkwi“ kapłan, niebezpieczny nietyle może subjektywnie, aniżeli jako narzędzie, które przez innych użyte może być i straszne, i groźne. On nie mówi o sobie, jak Wrangel w Schillerowskim *Wallensteinie: Ich hab' hier blos ein Amt und keine Meinung,* lecz powtarza raczej z Gesslerem:

Ein allzu milder Herrscher bin ich noch
Gegen dies Volk — die Zungen sind noch frei,
Es ist noch ganz, wie es soll, gebändigt —
Doch es soll anders werden, ich gelob'es:
Ein neu Gesetz will ich in diesen Landen
Verkündigen....

Na tem kończę, moja droga, list pierwszy. Starałam Ci w nim przedstawić fazy — jakie pod względem towarzyskim i politycznym przechodził nasz Zamek i odrysować figury czterech naszych popowstaniowych wielkorządcow. Zastrzegam z góry, że nie są one całkiem wypukłe i w kolorycie wyraźne. Ani czas, ani pora ku temu, aby w malowaniu podobnych sylwetek wszystkich naraz używać farb. Niejedno musiałam pominąć z umysłu, niejedno jeszcze do czasu zataić! Wogóle zaprzęgłaś mnie do roboty, z samej natury swojej niezmiernie trudnej i delikatnej. Trzeba tu każde słówko ważyć, nad każdym faktem lub nazwiskiem dziesięć razy się zastanowić, zanim je przyjdzie wymienić. Jak miecz Damoklesa wisi nademną ciągła obawa zaszkodzenia komu lub czemuś, bo rozumiesz to doskonale, że pisząc do was o kimś dobrze, wyrządza mu się ciężką krzywdę, pisząc zaś źle, wyrabia się nagrody

i uznania. Najprostszem tego zawiłego położenia wyjściem, byłoby zapewne nie pisać wcale. To znów jednak wytwarza u was taką nieświadomość naszych stosunków i ludzi, taki chaos w wyobrażeniach i przekonaniach, że aż rozpacz bierze, czytając niektóre wasze dzienniki i słuchając rozumowania pewnych wcale nawet wykształconych osób. Niepodobna wreszcie nie syknąć kiedy srodze boli. W cierpliwości i potulności jest także miara. Zresztą niech uczciwi Rosyanie wiedzą, jak tu nadużywają, koszlawią, bezczeszczą prawdziwy patryotyzm rosyjski. Oto mi głównie idzie i tego celu pośrednio dosięgłam. Listy niniejsze czytano i to bardzo w kołach rosyjskich, zajmowała się niemi nawet prasa, nawet bardzo poważne i bardzo wybitne osobistości. To dobrze, przynajmniej tą drogą niech do ich uszów dochodzą nasze bole i skargi, skoro wszystkie inne przed niemi zamknięte.

W następnych listach trzymać się będę pośredniej, a jedynie racyonalnej taktyki: cytować jak najmniej nazwisk i ludzi, a jak najwięcej ogólnych typów i ogólnej charakterystyki, nieodnoszącej się do pojedynczej jednostki, lecz do całego szeregu pokrewnych sobie figur. To zastrzegłszy, prześlę Ci w następnym liście trochę uwag o Rosyanach w Warszawie, a specyalnie o sferze urzędniczej. Nie należą oni bynajmniej do „warszawskiego towarzystwa“, ale tytuł ten biorę bardzo szeroko, rozumiejąc pod nim opis mieszkańców dzisiejszej Warszawy, ich życia, położenia i warunków.

LIST II.

Rosyanie w Warszawie.

TREŚĆ: Romans pani Łańskoj. — „Obrusitieli.« — Omnipotencya armii za Mikołaja i Aleksandra II. — Względna uczciwość. — Jenerał Starynkiewicz. — Asymilacya i eksterminacya. — Jenerał Buturlin. — Rozruchy antisemickie. — Odezwa p. Oberpolicmajstra. — PP. Własowski i Polenow. — Policyjna poezya. — Jen. Tołstoj i jego żona. — Sergiusz Muchanow. — Baron Medem. — Senator Gerard. — P. Trachimowski. — Sądownictwo rosyjskie niższe i wyższe. — Manifest jenerała Ignatiewa. — Jego wrażenie i następstwa. — Czynownictwo w Rosyi. — Jego potęga i wpływ na politykę państwa. — Zaklęte koło. — Geneza przekupstwa. — Życie nad stan. — Łapówka i łapownicy. — Pan Apuchtin. — Jego charakterystyka. — Czem jest element urzędnika i nauczyciela rosyjskiego w tym kraju? — Nihilistyczna zaraza. — Sprawa Żukowicza. — Apuchtin i Witte. — Sprawa panny Jentes. — Instytut Maryjski. — P. Szuchow. — Klub ruski. — Awantura z p. Koczetowem — Oficerowie rosyjscy. — Gwardya. — Dorożkarska popularność. — Ks. Wołkoński. — Zakończenie.

Czy znasz romans p. Łańskoj p. tyt.: „Obrusitieli?“*) Rzecz to artystycznie dość słaba, ale politycznie i społecznie ciekawa. Wyborna to satyra, a raczej niezmiernie realistyczny obraz gospodarki

*) Przekład jego umieścił „Kuryer Poznański.“

tej czeredy urzędników, która jak szarańcza spadła na kraj niby w misyonarskim celu rusyfikacyi, a właściwie dla napełnienia własnej kieszeni, rabunku i eksploatacyi. Pani Łańskoj (pseudonim żony jakiegoś wice-gubernatora na Polesiu) osnuła swe opowiadanie na tle głośnej sprawy Tokarewa, która przed paru laty rozstrzygała się przed sądami kryminalnemi. Przedstawia ona w barwach zapożyczonych nieraz od Zoli cały szereg figur, ściągniętych ze wszystkich krańców Rosyi, rozmaitych dymisyonowanych oficerów, wypędzonych pisarzy gminnych, zaszarganych popowiczów, którzy na wieść o trafiającej się gratce walą się hurmem całym do biednego Polesia i tam *con amore* rozpoczynają dzieło „obrusienja“. Galerya niezmiernie ciekawa, a tak wiernie kopiowana, że niema w niej ani jednej fałszywej kreski, ani jednego błędu w rysunku. Wszystko tchnie prawdą, wszystko wre życiem; nie szkice to, lecz fotografie, przypominające owe albumy kryminalistów, które możesz oglądać w każdem biurze policyi. Książka ta przeszła w Rosyi bez wrażenia, chociaż pisana była z prawdziwym, szlachetnym patryotyzmem, z chęcią wskazania niedoli nieszczęśliwego ludu, wydanego na łup i pastwę, z zamiarem powiedzenia, że nie tędy droga i że nie w ten sposób dochodzi się do celu. Autorka nie potępia bynajmniej samej myśli rusyfikacyi, lecz tylko jej środki; nie miesza w całą tę sprawę Polaków, lecz z umysłu wybiera grunt całkiem neutralny, lud białoruski, prawosławny, oddany wiernie rządowi i ce-

sarzowi — i na tem tle rozwija niezmiernie barwną charakterystykę owych „obrusitieli“ od najwyższych do najniższych szczebli hierarchicznych. Jest więc tam trochę pokrewny Sienkiewiczowskiemu Zołzikiewiczowi pisarz gminny Łapcewicz, jest wyborny komisarz włościański i *isprawnik*, jest wreszcie gubernator i cała galerya prowincyonalnych dygnitarzy. Wszystko to rabuje, pije, napełnia własne kieszenie, dusi chłopa i wysysa z niego krew; istne wampiry, nasłane na kraj, aby ostatnią z niego wydusić kroplę, ostatnią zedrzeć z grzbietu koszulę. W podobnym rodzaju istnieje także wyborna powieść Szczedryna „Gospoda Taszkendcy“, która w swoim czasie miała ogromne powodzenie.

Przeczytaj koniecznie obie powieści, a będziesz miała przynajmniej ogólne wyobrażenie, czem jest urzędnik rosyjski w tym kraju i jak po większej części spełnia on swą rusyfikacyjną misyę. Byłaby to jednak częściowa tylko charakterystyka naszych „obrusitieli“. Typ jeden, ogólny, powszechny nie istnieje wcale, a raczej zastosować się da tylko do najpośledniejszej kategoryi prowincyonalnych wampirów. Tu w Warszawie, w stolicy kraju, w centrum lokalnego rządu, odmiana gatunków nadzwyczaj wielka, różnorodność olbrzymia, a cechy charakterystyczne nader ciekawe. Czas, okoliczności, stosunki, wreszcie zmiany systemów i prądów, wyrobiły tu i różne kategorye, i różne odcienia. Są źli, gorsi i najgorsi, ale są też lepsi, spokojniejsi, neutralni i bierni. Świateł mało, lecz rozmaitość cieniów wiel-

ka, od pospolitego „stupajki“ do wykwintnego frotera salonów przeskok zbyt duży, aby na pośredniej drodze nie było tysiąca przejściowych przemian.

Zacznę od mniej jaskrawych, bo tych opisywać zawsze jest przyjemniej. I tu odpowiedzieć przedewszystkiem muszę na pytanie z taką natarczywością powtarzane: czy wśród Rosyan, mieszkających w Warszawie, są ludzie prawdziwie zacni i uczciwi, i czy wyrok potępienia i winy ściągać należy bezwarunkowo do wszystkich? Otóż pod tym względem musimy się najpierw porozumieć. Rosyan mieszkających prywatnie w Warszawie niema wielu, są tylko prócz armii urzędnicy zostający w czynnej służbie, lub tacy, którzy dosłużywszy się emerytury zżyli się z miastem i w niem osiedli. Zawsze więc obracać się musimy w świecie czysto-biurokratycznym, a czy to będzie wielki pan, magnat rosyjski, książę lub hrabia, czy wysłużony jenerał lub emerytowany dygnitarz, dorobkowicz majątku lub stanowiska, wzbogacony mieszczanin lub uszlachcony popowicz — każdy z nich był lub jest urzędnikiem, każdy biurokratą i elementem nasłanym krajowi, a niewzrosłym na jego gruncie. Gdzieniegdzie spotkasz jeszcze niedobitków z czasów t. z. polskich, z przed zaprowadzenia języka rosyjskiego w urzędach i sądach, ale ci dziś już całkiem nieczynni, odgrywający rolę skazanych na wymarcie Mohikanów. Są to jenerałowie, którzy otrzymali w kraju donacye i rzadkim w Rosyi wypadkiem osobiście niemi rządzą: dymisyonowani wojskowi, co ożeniwszy się z Polkami

woleli pożegnać się z awansem, aniżeli wyruszyć z Warszawy; trochę kupców, bardzo mało synów urzędników, zajmujących tu dawniej wysokie stanowisko, kilkudziesięciu popów — i oto wszystko. Ton jednak główny rosyjskiemu u nas towarzystwu nadawała i nadawać zawsze będzie armia, a wśród niej gromady jenerałów (których jest w Warszawie kilkudziesięciu), całe legiony młodych oficerów gwardyi, często bardzo bogatych, a częściej jeszcze bardziej hulających i zadłużonych. Koło nich grupują się rodziny i figury czysto urzędnicze, czynownikowstwo niższe i wyższe, a wśród niego dwie boczące się zawsze na siebie grupy: sądowników, dumnych z pewnego rodzaju niezależności coraz już dziś mniejszej i coraz bardziej okrawywanej, i urzędników administracyjnych, podległych każdemu skinieniu naczalstwa, wiernych rozkazu wykonawców, pokornych wszelkiego systemu sług i narzędzi.

Za Mikołaja jenerał był w Rosyi wszystkiem. On rządził państwem, dyrygował szkołami, kierował teatrem, prezydował cerkiewnym soborom, pisał prawa, urządzał banki, wypracowywał ekonomiczne projekta, słowem, był „basem w orkiestrze i szkół dozorcą". Na każdym szczeblu służby państwowej, najwyższym i najniższym, spotykałeś się zawsze z mundurem. Karyera wojskowa otwierała wszędzie drogę nawet do — cerkwi i baletu. Za panowania Aleksandra II. zmieniło się to trochę; armia nie straciła swego przeważnego stanowiska, ale choć część wyłącznie dotąd przez się dzierżonego *domi-*

nium musiała kawałkami oddawać cywilnym — i dziś możesz się już chociaż rzadko spotkać z gubernatorem, który nie ma wojskowego stopnia, a wiele bardzo posad administracyjnych przeszło całkowicie niemal w ręce pozbawione szlif i adjutanckich bulionów, pocieszających się tem przynajmniej, że ranga radcy stanu odpowiada mniej więcej brygadyerowi, a *djejstwitielnyj sztatskij sowietnik* ma bezwarunkowo prawo tytułować się jenerałem. To też i u nas w Warszawie nie wszystkie posady są w rękach wojskowych. Pomijając sądownictwo, administracya cała, przynajmniej centralna, składa się z czynowników, a na prowincyi jest jeden czy dwóch gubernatorów, nienależących wcale do armii.

Wracam jednak do twego pytania o Rosyanach uczciwych. Czy są i jacy są, w czem się ta ich uczciwość objawia i jaka z niej dla nas korzyść? I znowu powtórzyć muszę — porozumiejmy się najpierw. Pojęcie uczciwości w tych warunkach i ramach musi być nader elastycznem. Jeśli chcesz, sam fakt przyjęcia służby u rządu, który w tym kraju eksterminacyjne ma tylko cele, który pragnie go wynarodowić, religię gnębi, sprawiedliwość zatraca, prawom wszelkim zaprzecza, który nie rządzi, lecz eksploatuje — nie może absolutnie wzięty uczciwym się nazywać. Kto do złej roboty przykłada rękę, ten niewątpliwie część winy ściąga na siebie, zwłaszcza, jeśli to czyni nie z potrzeby, lecz z amatorstwa gdyż wielka część dygnitarzy rosyjskich jest a właściwie mogłaby być osobiście bardzo zamożną,

posiada bowiem znaczne obszary ziemi, którą nie zajmuje się wcale, żyjąc kosztem skarbu. Trzeba tu jednak kwestyę postawić inaczej, trzeba pogodzić się z faktem przyjęcia służby i na tym dopiero gruncie badać, czy spełnianą jest ona z nienawiścią dla kraju i społeczeństwa, czy z pewną dla niego jeśli nie życzliwością, to przynajmniej wyrozumiałością, z szczerą chęcią łagodzenia losu rządzonych i ułatwienia im ciężkich warunków. Tak odwróciwszy twoje pytanie odpowiem, że są w Warszawie Rosyanie uczciwi, chociaż liczba ich coraz więcej maleje. Zastrzegę się jednak znowu, że jest to uczciwość subjektywna, więcej z natury samej i osobistego usposobienia płynąca, aniżeli wyrozumowana, zasadnicza, w systemie i przekonaniu ugruntowana. Najlepiej to jednak zobaczysz na przykładach. Przyjrzyjmy się więc tym wyjątkom trochę bliżej.

Na czele naszego zarządu miejskiego stoi od śmierci jenerała Witkowskiego jenerał-porucznik Sylwester Starynkiewicz. Człowiek to uczciwy i porządny. Umiał on wyrobić sobie w Warszawie pewną popularność, która jeśli chcesz nie jest bynajmniej entuzyazmem, lecz raczej uznaniem zasług rzeczywistych i lojalnego postępowania. Przewodnicząc Magistratowi, z którym większość mieszkańców Warszawy codziennie niemal ma stosunki, prezydent Starynkiewicz dba istotnie i szczerze o dobro miasta i jego interesa. Nie nagina on tych interesów do siebie, lecz swoją osobę do nich. Czysty, nieposzla-

kowany, grosza miejskiego jak Cerber strzeże i trwonić go nie pozwala. Z podwładnymi obchodzi się po ludzku, urzędników polskich specyalnie bynajmniej nie proteguje, lecz też ich dlatego, że nie są prawosławnymi, kawałka chleba nie pozbawia; sprawiedliwy, w stosunkach z publicznością uprzejmy i uprzejmości przestrzegający, posiada wyrobioną doświadczeniem znajomość spraw miejskich i pewne fachowe uzdolnienie, z zawodu jest bowiem inżynierem. Za jego prezydentury Warszawa dużo się istotnie podniosła. Bruki mamy lepsze, porządek w mieście wcale niezły, regulacyę ulic szybko postępującą, a przedewszystkiem kanalizacyę, którą rozpoczęto nareszcie nie bez wielkich ze strony jenerała Starynkiewicza zasług, trudów i kłopotów. Niemałe to bowiem było zadanie, wyrobić zatwierdzenie planów tej kanalizacyi w Petersburgu, i starania o nie ciągnęły się lata całe. Że przezwyciężono wreszcie wszystkie przeszkody, że w ministeryum zdołano obalić coraz to nowe powstające zapory, główna w tem i niezaprzeczona zasługa Prezydenta, a że niełatwa — dość Ci przytoczyć, iż jednym z ważniejszych motywów, dla których owego zatwierdzenia nad Newą odmawiano, był ten, że skoro ani Petersburg, ani Moskwa dotychczas kanalizacyi nie mają, nie wypada więc, aby ją wpierw otrzymać miało takie trzeciorzędne jak Warszawa miasto. Jenerał Starynkiewicz zrobił ze sprawy kanalizacyjnej kwestyę niemal osobistą, przeprowadzić ją było dla niego punktem honoru i miłości własnej,

ulubioną myślą, której się chwycił z zamiłowaniem i zawziętością. Więc póty kołatał, szturmował, jeździł do Petersburga, przedstawiał i prosił, aż nareszcie dopiął celu, i jeśli Warszawa wkrótce stanie pod względem higienicznym na równi z innemi miastami Europy, jeśli otrzyma dobrą wodę i pozbędzie się cuchnących rynsztoków, zawdzięczy to w głównej części swemu Prezydentowi i jego zapobiegliwości. Zapobiegliwość ta może nawet poszła za daleko, może na zbyt wielką skalę rozwinął kanalizacyę, pomijając inne bardzo ważne potrzeby a obciążając budżet miejski wygórowaną sumą zobowiązań. Ma Starynkiewicz inne jeszcze zasługi, o gorliwości jego dla miasta świadczące. Nie piszę tu życiorysu, więc wszystkich zmian i ulepszeń za jego rządów wyliczać nie będę. Nie o szczegóły mi idzie, lecz o ogólną tej postaci charakterystykę, więc wspomnę jeszcze tylko o tramwajach, regulacyi ulic, zakładaniu licznych skwerów, czynnej pomocy przy budowie kościołów WW. Świętych i św. Piotra i Pawła na Koszykach i t. d.

Wysokiego wzrostu, szczupły, wyschnięty, o ruchach poważnych, lecz żywych, ma on typ raczej małorusiński, niż rosyjski. Twarzy wielce sympatycznej, o charakterystycznych złotych okularach i szczotkowatych wąsach, robi wrażenie więcej biurowego mola, aniżeli dzielnego syna Marsa. Pomimo dość podeszłego wieku żwawym jest i czynnym bardzo, pracowitym niezmiernie i w znajomości spraw miejskich prawie drobiazgowym. Nie wiem,

czy jest drugi Rosyanin w Warszawie, którytby tak całe miasto i wszystkich jego wybitniejszych mieszkańców doskonale znał, jak Starynkiewicz. Od szewca do najzamożniejszego finansisty i mieszczanina — wszystko to jego osobiści znajomi, różnemi grzecznościami zjednani, coś mu za siebie lub za drugich do zawdzięczenia mający. Przystępny, w obejściu łatwy, ma jakąś jednającą sympatyę, dobroduszność, która nie jest jednak słabością i chęcią zaskarbienia tanim kosztem życzliwego uznania. — Wszystko, co może, zrobi z chęcią i bez emfazy, nie afektując bynajmniej jakiegoś nadzwyczajnego wysiłku i Herkulesowej potęgi. Uczynny, a co ważniejsza, odczuwający i nędzę Warszawy, i jej ubogich potrzeby, na każde przedstawienie lub koncert filantropijny chętnie użycza Ratusza, chociaż zawsze z pewną obawą troskliwego gospodarza, dbającego o to, aby mu zbytecznie nie zniszczono posadzki i nie zabrudzono wcale pięknie utrzymywanej sali. Żyje skromnie, cicho, jak najzwyczajniejszy filister i przeciętny obywatel, a ma tę pociechę, że kiedy przed paru latu zmarł mu syn, młody lekarz, wskutek zarażenia się przy operacyi, wówczas ani dzienniki, ani publiczność warszawska nie szczędziły jemu i jego rodzinie szczerych dowodów sympatyi i współczucia. Czuje też dobrze, że Warszawa jego zacną pracę uznaje i wielce jest z tego dumny, choć się bynajmniej swą względną popularnością nie pyszni i nikomu jej nie narzuca.

W kołach rosyjskich uchodzi Starynkiewicz za

„spolaczonego“ i dlatego w Zamku i w klubie ruskim patrzą na niego z pewną podejrzliwością. Opinia ta jednak jest całkiem nieuzasadnioną. Starynkiewicz był, jest i będzie Rosyaninem czystej krwi, a co go tylko od innych odróżnia, to osobista prawość i wstręt do wszelkich finansowych szacherek i nadużyć. Naturalnie, kto inny na jego miejscu zrobiłby w krótkim czasie fortunę; tyle dostaw, liwerunków, przedsiębiorstw, licytacyj, to dopiero raj dla prawdziwie „karenno ruskiej duszy“. Nawet niewidocznie, nie tak bardzo krzywdząc miasto, możnaby krocie z tego wyciągnąć, na wszystkich dostawców nałożyć haracze, na każdem przedsiębiorstwie jakie parę tysięcy rubli zarobić, a jeśli nie samemu wyciskać cytrynę, to przynajmniej drugim na tę operacyę pozwalać. Pod tym względem Starynkiewicz jest nieubłaganym i jak żona Cezara od wszelkich podejrzeń wolnym. Ztąd też gniew i polakofilska opinia. Rosyanin on jednak i wierny sługa cesarza, jak tysiące innych.... Jak wiele rzeczy, tak i swój patryotyzm posuwa czasem do śmiesznej drobiazgowości....

W wielkiej sali Ratusza, t. z. Aleksandryjskiej, wisi na wprost głównego wejścia portret cesarski. Otóż Starynkiewicz pozwala chętnie, aby w tej sali grywano na cele dobroczynne teatra amatorskie, ale pod warunkiem, że estrada będzie bez kulis i dekoracyj, gdyż zakrycie portretu Naj. Pana ubliżałoby jego monarszej powadze. Warunek to *sine qua non*, od którego za nic odstąpić nie chce....

Więc pewnego karnawału np. Modrzejewska i Popielka grały w ratuszu *Iskierkę* Paillerona na odkrytej estradzie przybranej tylko w kwiaty, wśród których w ogrodzie pięknej margrabiny (jak tego wymaga scenaryusz), unosiła się naturalnej wielkości postawa cesarza, jedyna tej improwizowanej sceny dekoracya....

Jak pod względem patryotyzmu rosyjskiego jest pomimo wszystkiego Starynkiewicz drobiazgowo drażliwym, dowodzi zachowanie się jego w głośnej w swoim czasie sprawie p. Ratyńskiej, redaktorki *Mód paryskich*. Pani ta dołączyła pewnego razu do swojego pisma arkusze z formami krojów, na których obok liter łacińskich znajdowały się także litery rosyjskie. Podobna innowacya w piśmie polskiem zrobiła złe wrażenie, zwrócono na to uwagę redaktorki *Mód,* a ta nie zastanowiwszy się dobrze, co robi i na co się naraża, ogłosiła w *Kuryerze Warszawskim* list tłómaczący, że owe litery dostały się tam przypadkowo, że żałuje niezmiernie swego niedopatrzenia i na przyszłość przyrzeka, że coś podobnego nigdy już nie będzie miało miejsca. List ten oburzył ogromnie tutejsze koła rosyjskie. Wypieranie się owych liter uważano za obrazę narodowości i języka rosyjskiego. *Dniewnik* wystąpił z piorunującym artykułem, a pan Starynkiewicz pierwszy odesłał p. Ratyńskiej jej pismo z wyrazami ubolewania, że odważyła się tak ostro zadrasnąć jego narodową dumę, wypierając się jakby zbrodni jakiej umieszczenia kilku liter rosyjskich. List był napi-

sany w tonie bardzo przyzwoitym, ale niemniej stanowczym, dowodzącym, że struna narodowa jest u prezydenta naszego bardzo czułą, a sam ten fakt wskazuje, jak śmiesznemi są posądzenia o zobojętnienie i brak rosyjskiego patryotyzmu. Zdaniem tych panów z „Ruskiego Klubu“ brak ów objawiać się ma w Starynkiewiczu nietylko ogólnem, przyzwoitem i lojalnem względem ludności polskiej zachowaniem, ale i tem, że do robót miejskich nie sprowadza on inżynierów gdzieś z Charkowa lub Astrachania, lecz stara się zatrudniać siły miejscowe, że cegłę do kanalizacyi nie nad Wołgą, ale u p. Grancowa kupuje, że rury wodociągowe daje porządne z fabryk miejscowych, a nie sprowadza tandetnych, jak to niedawno chciano uczynić przy restaurowaniu Zamku itd. Wszystko to, jak widzisz, są zarzuty tego rodzaju, że możnaby je zreasumować w jeden pod nazwą uczciwości. I nie sądź, aby nieprzyjaciołom jen. Starynkiewicza stało solą w oku lojalne i przyzwoite względem miasta i jego mieszkańców zachowanie się. Nie. Ich głównie kłuje czystość rąk jego, niepokalaność sumienia, cerberostwo miejskiego grosza. *Inde irae.* Ztąd gniew i zawziętość, ztąd ciągłe podkopywanie jego i fama jakiejś specyalnej dla nas życzliwości. — Pochodzenia czysto-rosyjskiego, ultramontanin prawosławny, jen. Starynkiewicz ani stosunkami rodzinnemi, ani wreszcie duchem, jaki w jego domu i otoczeniu panuje, w niczem się z nami nie wiąże. Tyle lat stojąc na czele zarządu miasta, zżył się z Warszawą i z jej interesami

i naturalnie jak każdy biurokrata samą siłą rzeczy przyrósł trochę do nich. Można go więc nazwać „owarszawionym“ i to będzie prawdą, ale „opolaczonym“ nigdy, bo byłby to fałsz wierutny i psychologiczne niepodobieństwo.

Dwa są systemata, które zwycięzcy stosować zwykli w zdobytym kraju: eksterminacyjny, polegający na wynaradawianiu gwałtem, siłą, i asymilacyjny, dochodzący do celu łagodnemi środkami, oswojeniem ludności z nowym porządkiem rzeczy, jednaniem jej dla niego dobrem obchodzeniem i uczciwością. Cel ten sam, a różnica w środkach tylko. Patrząc na Irlandyę, widzisz do jakiego rezultatu wiekowe prześladowania, ucisk i gwałty doprowadzają; przykład zaś postępowania Francyi w Alzacyi i Lotaryngii wskaże najlepiej, co może zrobić z podbitego kraju rząd, który właściwości kraju szanuje, prawa przestrzega, gwałtami gardzi i nie przemocą, lecz sprawiedliwością jedna. Tamta wzorem eksterminacyjnych środków, te przykładem uczciwego asymilacyjnego działania. Rozumie to dobrze jen. Starynkiewicz i dlatego chociaż w gruncie popiera także ideę rusyfikacyi i niemniej od innych zapalonym i gorliwym jest *obrusitielem*, sądzi jednak, że prędzej się celu dosięga przez uczciwą administracyę i uczciwych urzędników. „Asymilator“, oto też jego właściwa i najbardziej odpowiednia nazwa.

Podobna nazwa należałaby się także po części niedawno usuniętemu z Warszawy oberpolicmaj-

strowi, jenerałowi Buturlinowi. I ten urzędując kilkanaście lat w mieście naszem, zrósł się z niem i owarszawił. On także był asymilacyjnego systemu wyznawcą, tylko z szerszemi nieco jeszcze widokami, z głębokiem przekonaniem i wiarą, że przez Polskę, przez dobre z nią obchodzenie się i sprawiedliwe postępowanie, Rosya oddziaływać może jedynie na Słowiańszczyznę — stając się jej przodowniczką i opiekunką. Typ to jednak pod wielu względami od jenerała Starynkiewicza odmienny, mniej od tamtego dodatni, a chociaż i on używał tu pewnej popularności, różnica jednak w jej odcieniach wielka. Starynkiewicza ceniono, Buturlina lubiono. Tamtego traktowano jako człowieka pracy i zasługi; tego jako *bon enfant*, dziecko trochę może wyrosłe na warszawskim bruku, a w każdym razie wielce do niego pasujące. Wielki pan, birbant, hulaka pierwszej wody, utracyusz, Buturlin miał niezawodnie dobre serce i szczerą już nietylko dla miasta, ale i dla kraju życzliwość. Zajmował posadę niezmiernie ważną, która czyniła go niemal panem spokoju i wolności każdego mieszkańca — w razie złej woli mógł nietylko szykanować, lecz tyranizować i każdemu zajść za skórę; miał zalet dużo, ale i wad też niemało, które ostatecznie na nim się głównie skrupiły, doprowadzając do stanu, w jakim się obecnie znajduje. Zdolności mu nie brakowało, miał dużo wrodzonej a dobrodusznej finezyi, a co ważniejsza chęci najlepsze i gdyby się chciał trochę ustatkować (a wiek już był po temu),

wyrobiłby się niezawodnie na wzorowego w tym kraju urzędnika. Ale niestety ta czysto rosyjska natura stała tu zawsze na przeszkodzie... Majątek swój osobisty cały stracił; wzięty pod kuratelę, musiał się ograniczyć na wcale jeszcze pokaźnych apanażach i bardzo okrągłej pensyi... Wszystko to razem wynosiło jakie kilkanaście tysięcy rs. rocznej renty, nie licząc rządowego pomieszkania w Ratuszu. Przyzwyczajonemu jednak do szalonych wydatków paniczowi wszystko to było za mało... Więc w ciągłych siedział długach, w ciągłym teroryzmie przed lichwiarzami, którzy chętnie mu dostarczali pieniędzy, w nadziei, że tem go osaczywszy, będą panami sytuacyi i zrobią z p. oberpolicmajstrem, co się im tylko podoba... Tak jednak nie było. Trzeba przyznać Buturlinowi, na którego tyle już zwalają win, że zanadto był szlachetnym i za wielkie miał poczucie honoru, aby kiedykolwiek maczać palce w skarbowych pieniądzach i pozycyi swej dla zysku lub zarobku nadużywać. Nie — to fałsz i potwarz. Ale z drugiej strony przy całej słabości, jaką do tego „dobrego chłopca“ miałam, niepodobna mi zaprzeczyć, aby wiecznie kłopotliwe położenie finansowe nie paraliżowało jego czynności urzędowych... Trudna rada, kogo żydzi duszą, ten nigdy zupełnie swobodnych ruchów mieć nie będzie... Nie miał ich też i Buturlin. Lekkomyślnym wyborem pomocnika, dyrektora kancelaryi Matiuszkina, na którym pokazały się później notoryczne nad-

użycia, najwięcej sobie i swoim policyjnym rządom zaszkodził.

Wina wszystkich ciemnych stron z czasów Buturlina spada na tego jegomościa.... On wchodził w różne szacherki i frymarki, on umiał tak podejść oberpolicmajstra, że ten zupełnie mu zaufał i w ścisłą kontrolę jego czynności się nie wdawał. Nie myślę tu bynajmniej usprawiedliwiać Buturlina, bo zwierzchnik jest zawsze odpowiedzialnym za swego podwładnego, tylko szukam na gwałt okoliczności łagodzących. Chciałabym bowiem koniecznie choć w części oczyścić tego człowieka, który może miał bardzo wiele wad, ale i dużo zalet, i na stanowisku przez lat tyle zajmowanem oddał dużo większych i mniejszych usług pojedynczym osobom, a niejednem się przyczynił i ku ogólnemu dobru....

Rodzina Buturlinów, chociaż żadnego tytułu nie posiada, jest jedną z najstarszych w Rosyi i w najpierwszej księdze szlacheckiej zapisaną. Każdy Buturlin musi być dobrym Rosyaninem i o brak patryotyzmu lub narodową oziębłość posądzać go nie wolno. Niemniej jednak spokrewniona z domami polskiemi oddawna, a jedna jej gałęź (Tahańcza na Ukrainie) przyjęła nawet jeszcze za Katarzyny katolicyzm i dotąd w nim trwa gorliwie. Z tradycyi więc niejako późniejszy Oberpolicmajster przybywając przed kilkunastu laty do Warszawy, był już społeczeństwu tutejszemu bliższym i życzliwszym.... Życzliwości tej nie zawiódł też nigdy. Pod tym względem niech co chcą na Buturlina mówią — bronić go będę

zawsze — bo istotnie lubił Warszawę, szczerze jej dobra pragnął i gotów był w danym razie za nią się zastawić.... Zalety towarzyskie, uczynność i uprzejmość zjednały mu odrazu wielu przyjaciół na warszawskim bruku i dały wstęp do towarzystw i domów polskich. Zrazu pomocnik Oberpolicmajstra przy jen. Własowie, później jego następca, Buturlin w wielu wypadkach znajdował się w arcytrudnem położeniu i umiał zeń szczęśliwie wybrnąć. Nigdy nie poddawał eksterminacyjnych projektów, nigdy nie używał swej władzy w celu gnębienia lub prześladowania, lecz przeciwnie pragnął raczej ostrość ogólnych przepisów łagodzić, rygor ciążących nad nami rozporządzeń osłabiać, umożliwiał życie w tych warunkach, strzegł od szykan i drobnostkowych ukłuć szpilką. Baczył troskliwie, aby podwładne mu organa policyjne zachowywały się z publicznością grzecznie i wyrozumiale, skargi wszystkie uwzględniał i sprawiedliwie załatwiał; jeśli kiedy wynikła jaka sprawa między mieszkańcami a policyą, nie sądził jej nigdy według zasady, że policya musi mieć zawsze racyę, lecz docierał do gruntu, badał sumiennie, kto winien, i kozłów ofiarnych nie szukał. O ile na to pozwalały warunki miejscowe, dopuszczał pewnego rodzaju kontrolę publiczności nad policyą. Za niego można się było w dziennikach poskarżyć na jakieś nadużycia lub niedbalstwa policyjne, a wówczas nie leciał, jak się to dziś dzieje z donosem do cenzury i alarmem, że ta pozwala krytykować jego czynności, lecz w każdym poszczególnym wypadku przepro-

wadzał śledztwo i z urzędu albo podaną w *Kuryerach* wiadomość prostował lub zaszły wypadek wyjaśniał. Pod tym względem postępowanie jego było zawsze równie lojalnem jak Starynkiewicza, który także nie odmawia nigdy wyjaśnień słusznym reklamacyom i nie składa je *ad acta,* uważając słusznie, że to jedyna droga, którą publiczność może się dopominać przynajmniej w kwestyach zarządu miejskiego praw swoich i sprawiedliwości.

Znał Buturlin doskonale Warszawę i umiał z ludem jej mówić. Dość było, ażeby podczas pożaru, zbiegowiska jakiego lub ulicznych tumultów ukazał się na mieście, a wnet bez potrzeby nahajek kozackich i siły zbrojnej zapanowywał wzorowy porządek. Kiedy w r. 1881 wybuchły antisemickie zaburzenia, Buturlina nie było w Warszawie, siedział dla interesów w Petersburgu. Policya zachowywała się nadzwyczaj niedołężnie, na Ratuszu stracono formalnie głowę, a p. Matiuszkin tak postępował, jakby mu nie o przytłumienie, lecz raczej o rozniecenie tych zaburzeń chodziło. Wydano jakąś niemądrą proklamacyę, suchą, niewyraźną, mdłą, która też żadnego wrażenia nie zrobiła i skutku nie osiągnęła. Zawezwany telegrafem Buturlin przybiegł natychmiast w drugim czy trzecim dniu zamieszek i wystarczyła jedna tylko jego odezwa, napisana bardzo zręcznie a odwołująca się do dobrej sławy tej spokojnej ludności warszawskiej, która nie powinna ścierpieć, aby garstka urwiszów i łobuzów plamiła jej honor, szarpała reputacyę. W tym to trochę

nawet pochlebnym tonie napisana odezwa poskutkowała natychmiast, nieporządki zaraz ustały, bo ekscedenci zrozumieli odrazu, że Buturlin nie myśli z nimi fraternizować, lecz szczerze podaje rękę obywatelom miasta, chcącym jak najprędzej hańbiącym rozruchom kres położyć. Pod tym względem miał Buturlin rzadki talent, umiał przemówić do Warszawy, umiał do niej trafić. Na oberpolicmajstra kwalifikacya to niemała, a jego umiejętność obchodzenia się z publicznością stała się jeszcze cenniejszą — skoro na pomocnika narzucono mu pułkownika Własowskiego *), figurę arcyniesympatyczną, zwyczajnego jak to u was nazywają *spitzla*, a u nas „stupajki" policyjnego, który odrazu potrafił narazić się wszystkim. Ten pan Własowski miał sobie powierzone czuwanie nad porządkiem na ulicach miasta. Otóż tak on się kwalifikuje do tej roboty, jak wół do karety.

Dziwny miał ten człowiek talent nie utrzymywania porządku, ale przeciwnie robienia zamieszania. Jak zaczął swoich „stójkowych" poganiać, żandarmami konnymi przechodzących najeżdżać, publiczność i dorożki musztrować — każdego ruszać, przestawiać, kręcić — tak z pewnością z najmniejszej bagateli zrobił zaraz tumult i chaos bez wyjścia. Krzyczał, latał, kręcił się na wszystkie strony, jak strzała pędził co chwila w swej *prelotce* po ulicach miasta, zdawałoby się, że ten człowiek upada pod

*) Przeniesiony już dziś do Rygi.

brzemieniem pracy, a tymczasem on nic właściwie nie robił i więcej przeszkadzał niż pomagał. Własowskiemu powierzyć utrzymanie porządku gdzieś na wyścigach, wystawie lub przy wjeździe do teatru, a z pewnością wszystko pójdzie jak najgorzej. Powozy będą się cisnąć, konie pieszych najeżdżać, powstanie hałas, zamieszanie, gwar, istna Franciszkańska ulica.... Awanturował się np. systematycznie na wystawach tak, że musiano go aż z góry mitygować. To litery rosyjskie na szyldach były mu mniejsze od polskich, to czerwony kolor chorągwi zanadto jaskrawy, to znów mieszanina barw sztandarów zbyt patryotyczna itd., słowem, szukał jak to mówią, na każdym kroku zaczepki i szykanował, jakby z umysłu.

Buturlin starał się zawsze tego Własowskiego o ile możności w karbach trzymać, nietaktowne jego postępowanie naprawiać, szykany łagodzić, miał z nim bardzo wiele przykrości i wiele z jego powodu kłopotów. Nie umiał jednak a właściwie i nie mógł, paraliżowany ciągle rozmaitemi względami, zabrać się do energicznej „puryfikacyi“ warszawskich policyjnych urzędów, nie umiał poskramiać rozmaitych nadużyć komisarzy cyrkułowych i ich pomocników i dać uczuć całej tej czeredzie swoją silną rękę. A nie umiał właśnie dla tego, że tej „silnej ręki“ mu brakło. Chcąc zreformować warszawską policyę i do europejskiego doprowadzić ją stanu, trzebaby przedewszystkiem mieć możność wyrzucenia co najmniej większej połowy jej urzędników,

swobodę wybierania nietylko między najstarszymi i prawosławnymi, a przedewszystkiem nadzwyczajną energię i siłę, budzącą postrach. Tego postrachu Buturlin nie wzniecał wcale. Wiedziano o nim, że jeśli ktoś z publiczności pójdzie do jenerała na skargę, to sprawę wygrać może; wiedziano, że brutalstwo, niegrzeczność, wyzywającą zaczepkę nie pozwoli, ale wiedziano dobrze, że wszystkie ciche niebijące w oczy nadużycia, potajemne szacherki, spółki ze złodziejami i „passerami,“ codzienne łapówki, itp. ujdą płazem, nie dla tego, aby je oberpolicmajster z zasady tolerował, lecz dla tej prostej przyczyny, że podobna kontrola była dla niego i za trudną, i wymagała nadzwyczajnej energii i pewnego *sui generis* sprytu. Buturlin traktował swoją pozycyę zbyt lekko, nie jako wytrawny kot policyjny, lecz raczej jak wielki pan, któremu podobało się tak dla zabicia czasu zostać oberpolicmajstrem. Wszystko brał po wierzchu, do gruntu sprawy nie dochodził, więcej się bawił, niż rządził. Znajomość ludzi żadna, na największym nicponiu (*vide* Matiuszkin) poznać się nie umiał, lada chłystkowi wierzył i z łatwością dał się podejść — z podwładnymi rządził się więcej dobrem sercem, aniżeli bezstronną surowością. W takich warunkach maszyna nie mogła iść dobrze i rozprzężenie musiało być ogólnem.

Nie dlatego jednak upadł i nie względy służbowe stały się przyczyną jego dymisyi, która spadła nań odrazu jak dachówka w chwili, kiedy on

i wszyscy najmniej się tego spodziewali. Nie mogę nawet powiedzieć, aby dobre strony Buturlina były powodem jego usunięcia.... Kto inny miałby z pewnością wielką *malam notam* u sfer wyższych za tę pewnego rodzaju popularność, jakiej zażywał w Warszawie, i stygmat „opolaczenja“ zgubiłby go niezawodnie — ale Buturlin posiadał wielkie w stolicy stosunki, nieboszczyk cesarz lubił go bardzo, sfery dworskie sprzyjały, a chociaż zawziętego miał wroga, nietylko politycznego, lecz i osobistego w jen. Orżewskim, to jednak pozycya jego była tak w Petersburgu silna, że zdawało się, iż nic i nikt zachwiać jej nie potrafi. Więc gdzieindziej szukać należy przyczyny takiej nagłej łask odmiany, a mianowicie w osobistem zajściu między nim a jen. Hurko, zajściu, o którem bardzo wiele mówiono, ale przemilczeć je muszę, gdyż nie miałam dotąd sposobności sprawdzić, o ile i te dotyczące Buturlina wieści są uzasadnione.... — Faktem jest, że otrzymał dymisyę w brutalny sposób. Jen. Hurko oświadczył mu po prostu: „Nie chcę z panem służyć“; nie dano mu żadnego innego stanowiska, zostawiono na lodzie bez pensyi i emerytury i dziś mieszka w Petersburgu w skromnym podobno pokoiku hotelu Demouta, bez zajęcia i posady, czekając lepszej losu odmiany. W każdym razie żal mi bardzo tego człowieka; zmarnował się nie przeczę w wielkiej części z własnej winy, ale ostatecznie miał bardzo dużo dobrych stron i chęci, serce nieocenione, usłużność wielką i prawdziwą dla Warszawy i społe-

czeństwa naszego życzliwość.... To specyalny nasz „pech“ zaprawdę, aby taki właśnie człowiek tak smutnie zakończył.

Drugim pomocnikiem oberpolicmajstra był za Buturlina i jest jeszcze obecnie jenerał Palenow. Nie znam go osobiście, a widuję tylko w teatrze, więc nie wiem właściwie, jaki to w gruncie człowiek.... Zdaje mi się jednak, że niezły, a przedewszystkiem spokojny.... Przynajmniej nie słychać o nim nic jaskrawego....

Miejsce oberpolicmajstra zajął po Buturlinie sprowadzony przez jen. Hurkę z Płocka gubernator tamtejszy jenerał-major Tołstoj. Skończył on już swoją karyerę w Warszawie, swieżo właśnie otrzymał dymisyę, więc mogę o nim pomówić otwarciej i pełniej, aniżeli w pierwszem wydaniu tych listów. Przyszedł tu z reputacyą człowieka spokojnego i sprawiedliwego, a żonę jego ceniono głównie w Płocku dla jej filantropijnej gorliwości, nieograniczającej się bynajmniej na specyalnej protekcyi „Czerwonego Krzyża“ lecz prawdziwie humanitarnej i dobroczynnej. Reputacya pani Tołstoj pozostała w Warszawie taką, jaką była w Płocku, ale co do pana to nie jeden spotkał nas zawód i niejedno rozczarowanie. Jak powierzchowność tak i zalety administracyjne, zdolności i charakter jen. Tołstoja są wątłe, nikłe, wypłowiałe niejako. Ani pojmował, ani miał możność pojmowania właściwie i odpowiednio swego stanowiska. Zbłądził najpierw tem, że przyjął je z rąk warszawskiego „Zamku“ z benefisem inwentarza.

Odrazu, zaraz w pierwszym roku nie umiał się postawić odpowiednio względem jenerał-gubernatora, a zwłaszcza względem Maryi Andrejewny. Uległ i ulegał później bardzo często naciskowi z góry, nie mając sam ani dosyć energii, ani dosyć odwagi, aby wykazać, że to co od niego żądają jest złem, niekonsekwentnem i przekracza atrybucyę zwierzchnika. Później kilkakrotnie opierał się wprawdzie arbitralnym wymaganiom naszej wielkorządczyni, ale uczynił to zapóźno i bez należytej umiejętności postawienia się. Ztąd też w sprawach policyjnych osobistość jego zaczęła coraz bardziej schodzić na drugi plan, a na pierwszy wysuwała się kamarylla i jej hałaśliwa prowodyrka. Policeman żaden, nie miał ani odpowiedniej wprawy, ani doświadczenia, ani sprytu, a tembardziej znajomości tego fachu. Zrazu zaczął się rzucać i przedsiębrać coś w rodzaju oczyszczenia personalu policyjnego, czynił to jednak dorywczo, bez żadnego systemu, bez zaznaczenia wyraźnej w tym kierunku woli i chęci. Znajomość ludzi żadna, srogość względem nadużyć pozorna i jakby tylko na pokaz obliczona. Za rządów jego powychodziły na jaw różne okropności w biurach oberpolicmajstra, kilku urzędników oddano pod sąd, kilku dymisyonowano, ale wszystko było tylko cząstkową reformą, zrywaniem się do lotu ale nie lotem. Na to miał jen. Tołstoj za mało charakteru i za mało zdolności. W ostatnich czasach stał się dla podwładnych zwierzchnikiem niemiłym i samo-

wolnym i urzędników rosyjskich z krzywdą dla Polaków protegował.

Przez cały czas jego urzędowania stosunki policyi do publiczności psuły się coraz bardziej. Rozpoczął się szereg szykan policyjnych, które wkrótce stały się systematycznemi. Zapewne, że główna tych szykan inicyatywa wychodziła z Zamku, ale jenerał Tołstoj winien, iż nie umiał tego nacisku hamować i do refleksyi nakłonić. Jeśli kto, to on właśnie powinien był tego podjąć się zadania, jeśli już nie w interesie miasta i jego porządku oraz spokoju, to przynajmniej w swoim własnym. Niebawem bowiem miał się przekonać, że system ulegania kaprysom kobiecym do niczego nie prowadzi, że i tak na miejscu się nie utrzyma, skoro Marya Andrejewna zagięła na niego parol.

O pani Tołstoj muszę przedewszystkiem powiedzieć, że odrazu z korzystnej strony przedstawiła się Warszawie. Poprzedziła ją wprawdzie dobra fama płocka, ale i ona sama wychowaniem, taktem, uprzejmością, a głównie szczerą chęcią zajęcia się sprawami ubogich miasta umiała sobie wyrobić życzliwe przyjęcie. Córka zamożnej rodziny kupieckiej, panna Safonow z domu, Rosyanka gorąca, wykształcona, pani Tołstoj pod wielu względami była antitezą pani Hurko. O ile Marya Andrejewna nieprzyjemna i źle wychowana, o tyle ta grzeczna i dobrego towarzystwa; tamta pozuje także na filantropkę, a jest właściwie lichego gatunku agitatorką, ta miała pewne w sprawach dobroczynnych doświad-

czenie, wielką gorliwość i dobrą wolę niemieszania polityki do miłosierdzia. Z jej inicyatywy powstały tu w zimie t. z. przytułki nocne, instytucya nader pożyteczna, bo dająca schronienie i strawę biedakom pozbawionym dachu. Potrafiła pani Tołstoj dobrze nią zarządzić, organizatorką okazała się zręczną i wprawną, a przytułki oddały istotne nędzy warszawskiej usługi. Kto wie, czy właśnie te zalety pani Tołstoj tak źle nie uprzedziły względem niej Zamku, iż ostatecznie postanowiono usunąć ją i jej męża. O powodach dymisyi jen. Tołstoja dużo bardzo mówiono. Zdaje się ze wszystkiego, iż spowodowała ją nietyko niechęć i brak powolności dla Zamku, ale i w wielkiej mierze niedołęztwo administracyjne i policyjne b. gubernatora płockiego.

Starałam się scharakteryzować Ci tu głównie tych dygnitarzy rosyjskich, którzy postawieni na stanowiskach, najczęstszą z publicznością styczność mają i najbardziej są z tego powodu znani. Nie sądź jednak, aby to był koniec galeryi uczciwych Rosyan. Jest ich tu jeszcze w Warszawie między wyższymi urzędnikami wielu, a było dawniej więcej. Weź naprzykład takiego Sergiusza Muchanowa. Typ to bardzo dodatni, chociaż niestety arcywyjątkowy. O jego urzędowej działalności jako prezesa teatrów pomówię trochę obszerniej w innym liście, jak również o jego żonie, bo jej w rocznikach salonów i rozwoju artystycznego w Warszawie należy się nie jedna, lecz kilkanaście kart. Tu tylko pragnę choć mimochodem zaznaczyć sympatyę, jakiej ten

człowiek w mieście naszem zażywa, i osobiste jego zalety.

Sergiusz Muchanow stanowi z wielu względów rzadki pomiędzy dygnitarzami rosyjskimi wyjątek. Byli w Rosyi ludzie, z natury i usposobienia należący do epoki Aleksandra I., której tradycya odnawiała się później w pierwszych latach panowania Aleksandra II. Dążyli oni w kraju naszym do asymilacyi przez dobre pożycie. Takim właśnie jednym z ostatnich niedobitków jest b. prezes warszawskich teatrów. W gruncie z uczuć Rosyanin szczery i gorący, a co rzadko się u nich zdarza, monarchista i konserwatysta liberalny, Muchanow nie zajmował nigdy ani w Rosyi, ani u nas politycznego stanowiska, ale wyjątkowo został wierny zasadom, dążeniom i programowi, jaki za W. Księcia i Margrabiego przeważał.

Dawniej służył w gwardyi i jako jej pułkownik był bardzo krótki czas, bo zaledwie parę miesięcy tylko, oberpolicmajstrem m. Warszawy. Polityki nie lubił, gdyż nie odpowiadała ona w gruncie trochę światowemu i lekkiemu usposobieniu, od ciężkich i poważnych spraw stronił, wielki sztuki miłośnik, przez żonę jeszcze bardziej w tem amatorstwie utwierdzony i podtrzymywany, wychowany wykwintnie, z formami francuskiemi, na których znać jednak pewien dworsko-petersburski połysk, inteligencyi żywej i błyskotliwej, bardzo oczytany, trochę w sądzie o ludziach pesymista (naturalna rządów teatralnych konsekwencya), w przyjaźni wierny

a w stosunkach bardzo lojalny, Muchanow tyle lat mieszkając w Warszawie, nietylko się z nią zżył, ale i do miasta naszego się przywiązał.

Powiem więcej, jego życzliwość dla społeczeństwa polskiego wchodzi nawet w sferę pewnej serdeczności. Nietylko ludzie w tym kraju mieszkający obchodzą go szczerze, ale i kraj sam, jego losy i stan polityczny. Zajmie go to, co nas zwykło zajmować; zmartwi, co nam dokuczy; obejdzie niekorzystna dla nas zmiana, każde nowe losu pogorszenie. Różnych cech czysto-rosyjskich nie pozbył się wcale, ale nabrał także wad i zalet polskich. Z usposobienia przypominający trochę Buturlina, jest o wiele od niego solidniejszym, bardziej seryo. W urzędowaniu swojem postępował zawsze prawą i prostą drogą, szlachetnych w nim motywów dużo i wart jest istotnie tego, że go nietylko lubią, ale i cenią. Na stanowisku intendanta pałaców cesarskich występował zawsze w obronie sztuki i jej zabytków, pewną amatorską opieką otaczał powierzone mu resztki, znał się na nich i dlatego tak sumiennie strzegł, a miał jeszcze i tę zasługę, że w jego zarządzie sami prawie służyli Polacy i że cała służba Zamku i Łazienek była krajową. Nie uszło to wymówki niektórych osób, bo i taka bagatela, jak polskie pochodzenie lokai, draźni dzisiejszych Zamku mieszkańców. Robiono z tego powodu Muchanowowi i jego podwładnym uwagę, ale intendant odpowiedział, że lepszej, uczciwszej służby wśród Rosyan nie znajdzie i że gotów jest na zmiany, lecz pod

warunkiem, iż każde złodziejstwo patryotycznych lokai, każde ich nadużycie p. jenerał-gubernator z własnej pokryje kieszeni. Od śmierci żony Muchanow mało się towarzystwu udziela, a wogóle z chwilą, w której musiał porzucić teatr, trochę od ludzi stroni. Karyera Muchanowa już dziś skończona. Jest on ochmistrzem dworu i teraz właśnie podał się do dymisyi, a chociaż posiada po żonie w Cesarstwie wcale piękne dobra, nie myśli bynajmniej z Warszawy się wynosić i do Rosyi wracać. Wątpię zresztą, czyby już potrafił tam wyżyć. Zanadto jest na to Europejczykiem i za wiele dawnych i nowych łączy go z Warszawą węzłów.

Czy przypominasz sobie z powieści Turgieniewa „Now“ (*Les terres vierges*) ową mistrzowsko skreśloną figurę dygnitarza z liberalnej epoki Aleksandra II. Nie pomnę w tej chwili, jak się ta postać nazywa, wiem tylko, że jest ona więcej liberalizującą, niż liberalną, manier układnych, postępowania na pozór arcyszlachetnego, w gruncie jednak karyerowicz pospolitej natury. Niektóre tej figury rysy przywodzą mi na pamięć gubernatora warszawskiego barona Medema. I ten miał epokę pewnej popularności, i on uchodził także za bardzo liberalnego, spokojnego i porządnego, za człowieka lepszych usposobień i asymilacyjnego systemu. Tymczasem nie we wszystkiem tak jest w istocie. Wykształcony, sprytny, giętki bardzo, a jeszcze bardziej zmienny, bar. Medem różne przechodził fazy. Za Berga kiedy sprawował urząd gubernatora w Płocku, twardy; za

Kotzebuego przeniesiony do Warszawy, okazywał się w wielu rzeczach wolniejszym, liberalizował dużo i na arcyżyczliwego dla kraju pozował. Był czas, że w kwestyi językowej nie dostrajał się do ogólnego chóru, lecz sądził wówczas, że podobne postępowanie nie będzie źle w Petersburgu widzianem, i że raczej przychylna tolerancya, aniżeli nagana go spotka. Kiedy jednak stało się inaczej, kiedy zrobiono mu z owych ulg *crimen* i prawowierność zakwestyonowano, przycichł odrazu i dawszy nurka, niebawem w innej wypłynął postaci. Dziś pokumał się z Maryą Andrejewną i na jej przygrywa dudach. Złym go nie nazwę, dobrym nie jest, neutralnym także nie, biernością się nie odznacza i pospolitym narzędziem nie był nigdy. Po nad strychulec zwyczajnych gubernatorów-czynowników wychodzi bardzo, ma węch wydelikacony i to wyborne poczucie, na co można liczyć, a co jak najprędzej odrzucić należy. Jak trzcina podda się w stronę, z której wiatr wieje, jak chorągiewka wykręci, ale nie uczyni tego brutalnie, jaskrawo, po chłopsku. W tych kilkakrotnych zmianach będzie pewien karyerowiczowski artyzm, dużo dobrego smaku, który nie pozwoli na gwałtowną zmianę kolorytu, lecz raczej wskaże przejście chromatycznej gamy tonów. Lubuje się w półcieniach i półśrodkach, zanadto przezorny, aby odrazu w jedną przerzucić się stronę; zanadto ostrożny, ażeby nie zostawić sobie choćby małej furteczki; zanadto wreszcie rozumny, aby nie liczyć się z opinią ludzką i z nią brawować. Wszystko, co

robi, pokrywa bardzo pięknemi formami towarzystwa dobrego, wychowania salonowego, nie odmówi ci niczego odrazu, lecz zachowując wszelkie pozory najlepszej woli i chęci, namyśli się dziesięć razy, czy mu to w czemkolwiek i gdziekolwiek nie zaszkodzi, i najczęściej nie zrobi. Drobnostkami jednać, formami ujmować, ani u góry, ani u dołu nikogo nie razić — oto jego zasada. Stanowisko gubernatora warszawskiego jest naturalnie o wiele wyższe i bardziej wpływowe, aniżeli innych gubernatorów prowincyonalnych. Od niego zależą wszystkie instytucye miłosierdzia, prezyduje bowiem w Radzie dobroczynności publicznej i tu właśnie coraz bardziej zaczyna Maryi Andrejewnie wtórować. Ta właśnie zgodność z prądem, któremu przekonaniami jest całkiem obcym, to nastrajanie się do chwilowego tonu i kierunku, najbardziej mnie do tego człowieka zraża i pierwotne korzystne o nim wyobrażenie podkopuje. Charakter to żaden, człowiek niepewny, zdolność w falach karyery poroniona, serce niezłe, a umysł wcale jasny w sekciarstwie niezasklepiony. Wogóle ma on tu w Warszawie reputacyę dość czystą i w razie pomyślniejszych dla nas zmian umiałby niezawodnie znowu na powierzchnię popularności wypłynąć. Szkoda tego człowieka, bo żeby nie karyerowiczostwo a może i chciwość jest w nim spory materyał inteligencyi, zachowawczości, umiarkowania, bezstronności i na lepszą miarę niż zwykli urzędnicy sposobny.

Pani Medem, z domu Kapherr, słynęła nie tak

dawno jeszcze z piękności. Ma ona wiele wdzięku, bardzo dobre wychowanie i dużo towarzyskich zalet. Byłaby niewątpliwie najprzyjemniejszą damą rosyjskiego towarzystwa gdyby nie giętkość jej wielka, dwulicowość i ambicya utrzymania siebie i męża na stanowisku. Ztąd też i ona przerzuciła się z niezmierną łatwością z atmosfery Albedyńskiego w Andrejewszczyznę.

Porządnym człowiekiem był niedawny prezes Izby sądowej, senator Gerard. Przyszedł w arcytrudnych i ciężkich warunkach, został pierwszym zwierzchnikiem sądownictwa w Królestwie po reformie i zniesieniu dawnych instytucyj. *Homo novus,* ani z przeszłością sądowniczą kraju, ani z jego tradycyami nieobeznany, Gerard znalazł się wobec nader delikatnego zadania i trzeba było rzeczywiście wiele taktu i wiele uczciwości, aby z tego położenia wybrnąć dodatnio i dobre po sobie zostawić imię. Główną jego cechą była sprawiedliwość, równa względem podwładnych, z którymi obchodził się nader życzliwie, nie robiąc wcale narodowych różnic, jak i względem społeczeństwa, na które zapatrywał się bez uprzedzeń i bez żadnej rusyfikacyjnej zajadłości. Polityka nic go nie obchodziła, był on przedewszystkiem prawnikiem i pragnął zawsze pozostawać w zakresie swego fachu. Tam, gdzie z konieczności narzucano mu polityczne względy, starał się je omijać i niepotrzebnemu drażnieniu zapobiegać. Tak np. wyszedł z Petersburga rozkaz, aby w okolicach zamieszkałych przez unitów, wszyscy sędziowie byli

bezwarunkowo Rosyanami i prawosławnymi. Zapobiedz temu Gerard nie mógł, ale wiem z pewnego źródła, że zawsze przy nominacyach starał się wybierać w Chełmskie i Siedleckie ludzi spokojnych i nie fanatyków. Nad takim wyborem zastanawiał się dziesięć razy, zasięgał informacyi, szperał w papierach, przewlekał i namyślał się, aby tylko o ile możności nie dać użyć sądownictwa do celów politycznych. Już to samo dowodzi, że nie był człowiekiem stronnictwa, misyonarzem rusyfikacyjnym, lecz prawnikiem i człowiekiem prawym. Z urzędnikami polskimi zachowywał się przyzwoicie, dla Rosyan żadnej specyalnie predylekcyi nie okazywał, lecz przeciwnie rozumiał ciężkie położenie dawnych spadłych z etatu sądowników i tych, co reformę przetrwać zdołali, i o ile możności starał się los ich złagodzić. Dosyć wykształcony, choć nie nadmiernych zdolności, uprzejmy, dobrze wychowany, miał trochę stosunków w sferach polskich, a zwłaszcza wśród obywateli z Litwy, tam bowiem ma swój majątek i często w nim przesiaduje. — Poznałam go kiedyś na wieczorze u Kossakowskich, danym z powodu jubileuszu Odyńca, z którym łączyła go dawna sąsiedzka podobno zażyłość.

Za jego urzędowania, w epoce Loris-Melikowa, rozgrywała się w Petersburgu nader ważna dla Królestwa Polskiego sprawa. Szło mianowicie o zaprowadzenie istniejących już nawet na Litwie, w prowincyach południowo-zachodnich, sądów przysięgłych. Zapytany o to przez ministeryum, Gerard odpowie-

dział w obszernym memoryale, dowodzącym, że 1° społeczeństwo tutejsze jest zupełnie dla takiej instytucyi dojrzałem, że funkcyonowałaby ona w Królestwie bez porównania lepiej i prawidłowiej, aniżeli w Cesarstwie, bo ogół jest bardziej w swoich pojęciach moralnych wyrobionym i wytrawnym, że więc pod tym względem kraj nasz jest całkiem gotów na przyjęcie tak ważnej, a tak jednak obosiecznej instytucyi, jaką są sądy przysięgłych; 2° że politycznych obaw nie można już mieć żadnych i nie należy przypuszczać, aby sądy przysięgłych kierowały się w ocenianiu winy jakiemiś narodowościowemi względami. Na te dwa punkta kładł Gerard w swoim raporcie wielki nacisk, podnosząc wyrobienie i dojrzałość prawną polskiego społeczeństwa i wywodząc, że oba te względy przemawiałyby jak najenergiczniej za wprowadzeniem *jury*. Natomiast był w owym raporcie punkt trzeci, o który cała sprawa ostatecznie się rozbiła. Ten mianowicie, że jeśli i w sądach przysięgłych język rosyjski ma być wyłącznie używanym, wówczas nie może on brać na swoją odpowiedzialność prawidłowego ich funkcyonowania, ludność bowiem miejscowa nie jest jeszcze do tego stopnia obeznana z językiem urzędowym, aby mogła w nim słuchać rozpraw i wydawać wyroki. Powiedzianem to było bardzo stanowczo, a chociaż ostateczna konkluzya nie była wyraźnie określoną, to jednak wynikało z niej, że pan Gerard zgadza się na zaprowadzenie sądów przysięgłych w Królestwie, ale pod warunkiem, aby rozprawy sądowe odbywały

się po polsku. Inaczéj nie widzi żadnego z tej instytucyi pożytku i nie uznaje bynajmniej jej racyi bytu. Logicznem to było bardzo i dodajmy — sumiennem. Naturalnie w Petersburgu nawet za Loris-Melikowa o ten szkopuł wszystko się musiało rozbić; w najbardziej sprzyjających dla nas okolicznościach zawahano się przed zrobieniem językowi polskiemu tego przynajmniej ustępstwa i wyłomu. To też cała sprawa poszła *ad acta.*

Rezultat jej przypomina mi rozmowę, jaką jedna z moich znajomych miała kiedyś z Piotrem Szuwałowem. Zgadało się o możliwych dla Królestwa ulgach. Szuwałow robił różne nadzieje na wypadek pomyślnych w Petersburgu zmian, ale zapytany o szkoły i sądy, odpowiedział: *Quand à ça, madame, soyez sure, que jamais.* Widzisz więc z tego, że omnipotencya języka rosyjskiego wchodzi w program nietylko pewnej koteryi, ale każdego przeciętnego Rosyanina, mniej lub więcej zasługującego na przymiotnik: „porządny“. To już nie system lecz zasada, tkwiąca w ich krwi, wyssana z mlekiem matki, pojmujesz więc moja droga, dlaczego kreśląc te dodatnie sylwetki uczciwych Rosyan w Warszawie — tylokrotnie zastrzegam się co do samego pojęcia owej uczciwości i zawsze powtarzam, że nie jest, nie może być ona bezwzględną, lecz względną, w porównaniu do innych i ich wobec nas postępowania braną.

Zalety osobiste i służbowe senatora Gerarda, który obecnie jest w Petersburgu towarzyszem za-

rządzającego instytucyami dobroczynnemi imienia Cesarzowej Maryi, a kiedyś kandydatem na pomocnika ministra sprawiedliwości — odbiły się niekorzystnie, skoro następcą jego został jako prezes Izby sądowej, p. Trachimowskij. Znanym on już był poprzednio w Warszawie, piastował bowiem za Gerarda urząd naczelnego prokuratora. Człowiek ze szkoły eksliberałów epoki Aleksandra II, niegdyś za młodych lat swoich w Dorpacie był wielkim polakofilem i w ścisłych z młodzieżą naszą żył stosunkach. I dziś zawziętym nie jest z przekonania, ale dla służby, bo inne wieje powietrze, bo cała przyroda jego nie jest wcale wyższą ani z umysłu, ani z charakteru, ani z wychowania, ani z obejścia a nawet i z powierzchowności. Trochę kryminalista, cywilistą nie jest, wykształcenie ogólne drugorzędne, formy niepociągające, gromki, zamaszysty w ruchach i swadzie, reszta wątpliwa. — Karyerowicz to skończony, co tem przykrzej razi, że z pochodzenia trochę polskiego, bo matka jego jest dotychczas nawet wcale gorliwą katoliczką. Ma też p. Trachimowskij różne swoje słabostki finansowej natury. Za Gerarda rozdawano corocznie biednym dyetaryuszom skromną gratyfikacyę. Zwyczaj ten obecnie ustał, a sumy oddane do osobistego rozporządzenia starszemu prezesowi Izby, giną gdzieś w pomroku. Prawdopodobnie obracane są one na gratyfikacyę, ale dla kogo — niewiadomo... Wogóle p. prezes podobno... nieprzystępnym nie był. — Ciągle w długach żydowskich, żyć przecież musi, a więc *rece-*

voir, prendre et demander... Protekcye ma możne, stosunki familijne wygodnie spożytkować się dające, u Apuchtina respekt i wzięcie. Wszystko to warunki wybiciu się nader sprzyjające... został też niedawno powołanym do senatu.

Następca jego p. Butowskij pracowitszy, zdolniejszy, gruntowniej jako prawnik-kryminalista wykształcony, ale bez szerszego poglądu i usposobienia, całą gębą ruski, bo to u nas idzie *crescendo*.

Kiedy mowa o prezesie Izby sądowej warszawskiej, nie od rzeczy będzie powiedzieć kilka słów o Rosyanach, służących tu w instytucyach, podległych ministrowi sprawiedliwości.

Jest ich wielu, gdyż po reformie r. 1876, Polaków została w sądach mała garstka, ci przeważnie, co kończyli uniwersytety w cesarstwie i język urzędowy znali dobrze, natomiast z Rosyi napłynęła cała kawalkada ludzi różnego gatunku i autoramentu, począwszy od najporządniejszych, aż do prostych defraudatorów, jak np. p. Koni, sędzia pokoju, złapany przed paru laty na kradzieży znacznej sumy z depozytów sierocińskich. Trzeba jednak przyznać, że podobne wypadki, jak z p. Konim, jak z Bardowskim, z Danielewskim (wydalonym sądownie ze służby za nadużycia i przekupstwo), są dosyć rzadkie i na wyjątkach ogólnej nie należy stanowić reguły. — Stosunkowo biorąc, sądownicy rosyjscy, są wiele porządniejsi od urzędników innych wydziałów. — *Ce n'est pas beaucoup dire,* to prawda, ale zawsze to już coś. Zrazu

w Petersburgu robiono dla sądownictwa w Królestwie Polskiem staranniejszy wybór. Przybyli też oni do nas z miną nieposzlakowanych Katonów, niedających się niczem zjednać, i rzeczywiście w początkach zachowywali wszelkie pozory i dobrą sławę. Później jednak owa surowość wyboru zaczęła słabnąć, do kadrów porządniejszych sądowników Rosyan wkradli się i mniej niezłomni i dzisiaj dobra reputacya pozostała niemal wyłącznie przy wydziałach cywilnych, choć i te psuć się zaczynają tak w Warszawie jak i na prowincyi; na kryminalne zaś niejedno pada już podejrzenie i niejeden dowód wpływu i zabiegów żydowskich. Wogóle jednak, powtarzam, sądownictwo wyższe w tym kraju trzymało się dotychczas jakoś lepiej, w formach przynajmniej jest bardziej cywilizowane, a pochodzi to z pewnej niezależności, jaką urząd sędziowski w Rosyi daje, i z lepszego wykształcenia. Sądownik Rosyanin już przez to samo, że do niedawna był *inamovible* (zasada ta ma być obecnie w Radzie państwa zniesioną), z pewną dumą spogląda na innych czynowników, zwłaszcza administracyjnych, a im wyżej stoi w hierarchii, tem stara się pozować na bardziej *honorable,* cywilizowanego i przystępnego. Od czasów ministerstwa Manaseyna wszystko się radykalnie w Cesarstwie i u nas psuje. I tu wre już polityczna zaciekłość, rusyfikacya i prawosławie. W prowincyach Bałtyckich p. Manaseyne zdobył sobie w tym kierunku bardzo smutną sławę.

Jak ów wspomniany przy Medemie dygnitarz

z powieści Turgeniewa, większość ich jeśli nie jest w gruncie liberalną, to usiłuje przynajmniej liberalizować. Taki sądownik (zawsze powtarzam wyższy) będzie nieraz z tobą mówił bardzo swobodnie, odważy się na krytykę rządu, wyśmieje nawet niejednego z miejscowych satrapów, oburzy na Apuchtina i Maryę Andrejewnę. Zaafektuje on nawet pewną dla społeczeństwa życzliwość — powie, że każdy uczciwy Rosyanin pragnie w gruncie poprawy naszego położenia, ale temu p. Pobiedonoscew i popi stoją na przeszkodzie; z zawziętością napadnie na Katkowa i uczyni to szczerze i w dobrej wierze, nie przez sympatyę dla nas, lecz dlatego, że *Moskiewskie Wiedomosti* i ich partya, są dziś najzawziętszymi nowego sądownictwa wrogami; o koryfeuszach „Ruskiego Klubu“ i „djejatielach“ odezwie się z przekąsem — ale to wszystko może z tej racyi, że ostatecznie dochrapawszy się posady członka Sądu okręgowego lub Izby Sądowej, o los swój jest do pewnego stopnia spokojnym. Lada kaprys prezesa lub donos żandarmów nie pozbawi go miejsca, a przynajmniej nie tak łatwo. Więc są oni wszyscy w mowie i zachowaniu się swojem swobodniejsi, bardziej przystępni i Europejczycy. Z konieczności każdy z nich musiał się choć trochę po polsku nauczyć, fanatyków między nimi mało, a wogóle jak w całej Rosyi, tak i u nas istnieje pewna między władzami sądowemi a administracyjnemi rywalizacya, pewna chęć dowiedzenia, że na wymiar sprawiedliwości względy

polityczne nie wpływają wcale i że nikt sądom nie ma prawa i nie może zdania swego narzucić.

Bywają czasem wśród sądowników rosyjskich tacy, którzy „liberalizują“ nietylko prywatnie, ale i publicznie. Dzisiejszy znany adwokat petersburski, a przedtem prokurator warszawskiego sądu, ks. Urusow, kiedy oskarżał mordercę prof. Girsztowta, nie wahał się zakończyć swej mowy patetycznym ustępem: „Nie dla ciebie jasne i pogodne niebo Polski, ty idź w zimne, ponure śniegi Sybiru, tam, gdzie zbrodniarzy męka i nieszczęśliwych Golgota, idź tam, boś wyrodnym synem polskiego społeczeństwa, bo mu zabrałeś jego ozdobę, boś go pozbawił męża nauki, narodu swego chluby....“ Takie frazesy naturalnie dodatnio działają na audytoryum i jednają sympatyę, ale dowodzą one raczej pewnej chęci zaskarbiania sobie popularności, aniżeli zasadniczego przekonania.

Wszystko jednak, co tu powiedziałam, odnosi się prawie wyłącznie niemal do tych, co zajmują wyższe posady sądowe — za to niższe szczeble, a szczególnie t. z. sędziowie pokoju *mirowi* (czyli, jak ich ludek przez kpiny nazywa: *morowi*), bywają tu w Warszawie, a zwłaszcza na prowincyi, prawdziwą klęską ludności.

O ile członek sądu okręgowego lub Izby starać się będzie jakby z zasady być dla interesantów grzecznym i przystępnym, o tyle taki jegomość udaje często tureckiego baszę, przemawia z trójnoga i zadziera nosa, jakby ten łańcuch co go na piersi nosi,

czynił go conajmniej twoim panem lub zwierzchnikiem. Wogóle w ocenianiu urzędników rosyjskich radzę Ci się zawsze trzymać maksymy, że lepiej z panem przegrać, aniżeli z lokajem wygrać; jeśli masz jaki interes, unikaj o ile możności małych figur, a zaczynaj od najwyższych.

Niezawsze to niestety praktyczna droga, ale z pewnością przyjemniejsza i mniej Cię na niegrzeczność narażają. Są wprawdzie ludzie w Warszawie, dowodzący, że panem życia i spokoju każdego nie jest cesarz lub jego namiestnik — lecz — *rewirowy*)* — ale to dobra rada dla tych, co w robieniu interesów w Rosyi trzymają się starej zasady, że małe pieski zmogą nieraz największego brytana.

Nie przeczę, że bardzo często za parę rubli, zręcznie wsuniętych pomocnikowi ostatniego podpisarza, można więcej zrobić, aniżeli przez stosunki osobiste i protekcye najwyższych dygnitarzy, ale z drugiej znów strony nowicyusz, nieobeznany dokładnie z naszemi warunkami, może wpaść w pułapkę takiego wydrwigrosza, dać mu się na wszystkie strony wyzyskiwać i żadnego skutku nigdy się nie doczekać. Podobnych pijawek, czyhających tylko na twoją kieszeń, w każdym urzędzie tu pełno —

---

*) Każdy cyrkuł, na którego czele stoi komisarz policyjny, dzieli się na pewną ilość rewirów; naczelnik właśnie takiego „rewiru“ nazywa się w gwarze warszawskiej *rewirowym* a jest właściwie drugim po *stójkowym* (milicyancie) stopniem policyjnym.

a przed dwoma laty toczył się w tutejszych sądach skandaliczny proces naczelnika Wydziału śledczego policyi warszawskiej, p. Sikorskiego, który od jednego z lekarzy wyłudził parę set rubli pod pozorem, że jego czy jego brata (nie pamiętam już dobrze w tej chwili) uwolni od dozoru policyjnego. Sprawa skończyła się naturalnie wydaleniem i ukaraniem p. Sikorskiego, ale nie sądź bynajmniej, aby ten przykład zastraszyć miał innych.... Tamto swoją drogą, a to swoją. O kimś, który złapany na gorącym uczynku, pada ofiarą, mówią koledzy, że osieł, i wraz z innymi oburzać się będą na niego, ale ani im na myśl nie przyjdzie zaniechać podobnych praktyk.... Od czegoż przysłowie rosyjskie, które mówi, że wszystko można, tylko ostrożnie.... Wszakże w przysłowiach mądrość ludu spoczywa. Więc należy w nie wierzyć i według nich postępować.

I oto przychodzę do najdrażliwszej listu tego kwesyi, do przekupstwa, czyli, jak my to powszechnie nazywamy, łapownictwa urzędników rosyjskich, nietylko w tym kraju, ale w całem państwie. Charakterystyczna to ich cecha, czysto rodowe znamię, tajemnica publiczna, zwyczaj powszechny, który tak wszedł w życie, że mówi się o nim otwarcie, bez żadnych ogródek, jako o *malum necessarium,* na które żadnej już niema rady. Możnaby w samej beletrystyce rosyjskiej zebrać całą bibliotekę książek i szkiców, romansów i powieści na tle urzędniczego przekupstwa i nadużyć skreślonych, możnaby zestawić niezmiernie ciekawą galeryę różnego rodzaju „łapo-

wników“ przez samych Rosyan spisanych i w Rosyi drukowanych, począwszy od Gogolewskiego „Rewizora“, a skończywszy na tryskających życiem sylwetkach Szczedrina. Od tylu lat uczciwsza literatura rosyjska gnębi i prześladuje tę plagę, od tylu lat walczą z nią całe szeregi powieściopisarzy i publicystów, a wszystko napróżno. Choroba weszła w krew tego społeczeństwa i chyba wraz z niem zginie. Zatrutego organizmu nic już nie wyleczy, a koncept jakiegoś petersburskiego dowcipnisia, który zapytany, w jaki sposób możnaby uwolnić Rosyę od nihilistów, odpowiedział: „wsunąć im w łapę parę milionów rubli“, wygląda na pozór trochę może karykaturalnie, ale w istocie nie jest pozbawiony pewnej psychologicznej prawdy.

Nic mnie tak nie rozśmieszyło, jak okólnik, którym jenerał Ignatiew rozpoczął swe ministeryalne rządy.... Było to nazajutrz po upadku Loris-Melikowa, tego wyjątkowego w Rosyi człowieka choć miernego bardzo ministra, który całe życie czystym był jak łza, przekupstwo srodze ścigał i tępił, jak bocian żaby. I p. Ignatiew, obejmując spadek po tym człowieku, występuje z okólnikiem do gubernatorów, w którym w patetycznych wyrazach przedstawia, jako święta „matuszka Rasija“ dlatego w takiej pogrążona niedoli i smutku, że są słudzy cesarza, niepomni swego honoru i obowiązku, co dla hańbiącego zysku nie wahają się prawa obchodzić, nadużywać zaufania, złamać przysięgi i t. d. Żałuję, że nie mam tego okólnika w tej chwili pod ręką,

mogłabym bowiem humorystyczne porobić z niego cytaty. Podobnego *testimonium paupertatis,* świadectwa nędzy, dezorganizacyi i zgnilizny organizmu państwowego nie wystawił Rosyi żaden jeszcze z jej dygnitarzy.... Zdawało się, że po takiej zapowiedzi nastąpi jakaś powszechna na łapowników *razzia,* że tylko wzgląd ratowania zagrożonej już do ostateczności ojczyzny mógł zrodzić takie bohaterstwo *der Selbstkritik*.... Sądzono, że ten anti-złodziejski manifest poprzedza jakiś ogólny przewrot, gruntowną naprawę administracyjnej maszyny. Tymczasem był to najzwyczajniejszy tuzinkowy... fajerwerk. P. Ignatiew napisał go gwoli zaspokojenia osobistego instynktu nowego cesarza, ale napisawszy rzucił najspokojniej do kosza. Manifest ministra został manifestem, ale nikogo nie zastraszył, nic nie powstrzymał; sam zaś p. Ignatiew Arystydesem nie jest. Choć ogromny ma majątek nie brzydził się robić afer, korzystając z tego, że był u źródła politycznego informacyi tak jak to niegdyś praktykował Ks. Morny za drugiego Cesarstwa.

Rosya, jako kraj przeważnie rolniczy, ma przed sobą ogromne bogactwo. Dwadzieścia cztery tysiące mil kwadratowych najpiękniejszego czarnoziemu, kulturę ziemi niezmiernie zaniedbaną, ludność małą, powszechną abstencyę szlachty, w której rękach przeważnie ziemia ta spoczywa, przemysł czynny i coraz bardziej rozwijający się, ale obcy, przez cudzoziemców głównie prowadzony i wyzyskiwany, handel z niezmiernemi widokami na przyszłość, bo

cała Azya otwiera przed nim swe wrota, ale nieumiejący dotychczas wytworzyć nawet rosyjskiego kupca, bo to, co jest i na co się tak Rosyanie powołują, należy raczej „przekupniem“ niż kupcem nazwać; wszystko to olbrzymie pole dla rozwoju sił narodowych i narodowej produkcyi. Tymczasem ani w rolnictwie, ani w przemyśle, ani w handlu tej narodowej produkcyi niema. Intenzywność sił rosyjskich w inną bowiem zwróciła się stronę i na co innego całkowicie się zużywa. Jedyną czysto narodową produkcyą, na którą się Rosya zdobyła, jest właśnie produkcya czynowników. To jej grunt i podstawa obecnego narodowego rozwoju, to otchłań, która wszystkie żywotne siły pochłania — wszystko absorbuje, rozwój tamtych ubezwładnia i uniemożliwia. Nie z rolnictwa, nie z przemysłu, nie z handlu żyje dziś przeciętny Rosyanin, lecz z *kazny*. Na tę *kaznę* ogląda się dziś każdy, na nią liczy, na niej opiera swoje rachuby; nie „matka ziemia“, lecz ona ma być ich wszystkich żywicielką. Każdy zbankrutowany magnat poluje na miejsce gubernatora; lada szlachetka, który przetrwonił i przepił swoje dziedzictwo, idzie do skarbu i żąda od niego utrzymania; syn bogatego kupca w służbie wojskowej lub administracyjnej pragnie zdobyć sobie wyższą socyalną pozycyę; lada popowicz dąży w ten sposób do wybicia się z ciasnego labiryntu poniżanej i nienawidzonej kasty. Wielki pan, magnat, wypuszcza olbrzymie swe majątki żydom w dzierżawę, niszczy je i rujnuje, a sam dla tradycyi i karyery

wstępuje do służby i żyje z *kazny;* syn obdarzonego majoratami jenerała to samo, progenitura urzędnicza również i t. d.

A musi być tych czynowników nadmiar w każdem biórze, bo nic literalnie nie robią. Jenerał Trepow mawiał, że gdyby te czeredy tylko połowę tego robiły co powinny, Rosya byłaby wybornie administrowana. Słowem liczba czynowników i kandydatów na nich wzrasta z każdym dniem zatrważająco. Ci co są, wytwarzają wśród siebie ściśle solidarną kastę. Każdy z nich zawczasu przygotowuje swoich synów do służby i urzędów i z góry rezerwuje dla nich miejsca, więc wszystkie posady są formalnie rozgrabione, na najpodrzędniejszą czyhają tysiące amatorów, zgłodniałych i protegowanych przez swoich ojców, wyższych i niższych dygnitarzy. A przecież nie na tem koniec, przecież całe legiony nowych kandydatów czekają na miejsca; wszystkich dzieci kupców, synów średnio zamożnego szlachcica, wzbogaconego przemysłowca, popowiczów i t. d., armia pomieścić nie może. Więc i oni cisną się do *kazny* i oni chcieliby coś z niej zabrać. Ztąd hiperprodukcya czynowników, ztąd taki nawał aspirantów, że z konieczności trzeba dla nich wyszukiwać nowych miejsc i nowych posad. I to jest jedna z przyczyn koniecznej potrzeby rozszerzania granic Rosyi; ztąd ten wewnętrzny ferment, który ją ku temu ze wszystkich sił popycha i przeć będzie. Nieunikniona to konieczność fatalnej sytuacyi.

Nie przez współczucie dla Słowian bałkańskich i panslawizm popchnął naród rosyjski swego samowładcę do wojny z Turcyą; nie idea cywilizacyjna prze dziś Rosyę do Azyi, lecz prosta potrzeba wyszukania jakichś nowych posad dla wzmagającej się wciąż liczby czynowników. Oni rozsadzają to państwo, więc klapa bezpieczeństwa niezbędna, bo inaczej cała maszyna pęknie. Ztąd w chwili przekroczenia Dunaju znalazła się odrazu cała armia urzędników; wszystkie posady, od gubernatorów aż do najniższego sekretarzyny z góry już były obsadzone i nikt lepiej, aniżeli Rosyanin, p. Utin, nie odmalował owej zgłodniałej szarańczy, która całem stadem rzuciła się odrazu na biedną Bułgaryę. Dziś kwestya rusyfikacyi dlatego stała się u nas tak groźną, dlatego coraz ostrzejsze przybiera i przybierać będzie formy, iż zamieniła ona się dla tysięcy ludzi po prostu w kwestyę bytu i chleba. Czynownictwo stało się dla państwa groźnem, ono paraliżuje swobodę jego ruchów, ono uniemożliwia wszelką zmianę kierunku. Niech przypuszczam, stanie się jaki cud nadzwyczajny, niech system w Królestwie się zmieni, co zrobi rząd z całą tą zgłodniałą i wypasioną na dobrym chlebie tłuszczą urzędniczą, gdzie ich pośle, gdzie umieści, jakie im da zatrudnienie? Do niczego innego niezdolni, rolnictwem, handlem, przemysłem się nie zajmą, wisieć zawsze będą u tej *kazny,* którą wysysają na wszystkie strony i jak cytrynę duszą. Zostawić ich zaś na lodzie niepodobna, bo w Rosyi spadły z etatu

urzędnik, to najpodatniejszy na nihilistę materyał, to najdoskonalszy i najbardziej groźny ich adept, mścić bowiem będzie nietylko krzywdę ludzkości, lecz swoją osobistą. Niech ich liczba wzrośnie nagle w tysiące, a odrazu o tyle się zwiększą nihilistyczne kadry. Fatalna to sytuacya, z której wyjścia niema, zaklęte koło, co osaczyło całą Rosyę i popychać ją wciąż będzie do nowych zaborów i ustawicznego rozszerzania granic.

Dajmy już pokój tym ogólnym uwagom, a wróćmy raczej do czynowników rosyjskich u nas i przypatrzmy się, w jakich to fazach i formach importowane z Rosyi łapownictwo występuje na gruncie warszawskim.

Trzeba Ci najprzód wiedzieć, moja droga, że wszyscy Rosyanie siedzą w Warszawie po większej części po uszy w długach. Pochodzi to z bardzo prostej przyczyny, że żyją nad stan. Porównaj np. skalę życia, jaką prowadzi średni urzędnik lub wojskowy we Francyi, Austryi lub Niemczech z tem, jaki tego samego stopnia dygnitarz wiedzie w Warszawie, a zrozumiesz odrazu, zkąd to ciągłe kłopotliwe położenie finansowe, zkąd ta ustawiczna za groszem latanina. Zagranicą urzędnik mający parę tysięcy pensyi nie zna, co to obszerne mieszkanie, hulanki, powozy, konie; prowadzi dom w ścisłem kółku rodzinnem, przyjęć żadnych nie wydaje; jeśli kiedy pokaże się w handelku, to na to chyba, aby wypić skromny kufelek piwa. U nas lada oficerzyna nie może się obejść bez szampana, a lada wyższy nieco urzę-

dnik bez wspaniałego mieszkania, hulaszczych śniadań, hawańskich cygar i kolacyjek w gronie wesołych cór Koryntu. Te „córy Koryntu“ to także niemały powód finansowego stanu tych panów.... Większość ich utrzymuje nie jeden, lecz dwa domy naraz... a to wszystko w Warszawie, gdzie życie drogie, a stopa jego wogóle wygórowana, pochłania sumy niemałe.... Pensya, chociaż w porównaniu do innych krajów, a szczególnie w porównaniu uposażenia polskich urzędników wysoka, dać ich nie może, nie pokryją ich także t. z. „legalne“ dochody, mówiąc nawiasem, arcy-problematycznej natury; nie wystarcza nawet dodatek, jaki każdy urzędnik Rosyanin pobiera w tym kraju osobno nad etat, za to tylko, że raczył się „poświęcić“ i nad Wisłę przybyć...Prędzej czy później struna pęknąć musi; przychodzą długi, a za niemi konieczność powiększania dochodów, skoro „szerokaja natura“ wydatków zmniejszać nie pozwala.... I oto geneza „łapówki“. Były i są liczne wyjątki, są znowu tacy co zrazu, bardziej wstydliwi, od niej się bronili; byli tacy, którym ten sposób zarobkowania nie wydawał się pociągającym, ale ostatecznie natura zwyciężyła i szli wraz z innymi utartym gościńcem.... Wśród nich jednak są rozmaite odcienia i gatunki.

W sławnym monologu IV. aktu, Figaro opowiadając koleje swego życia mówi: *je commençais même á comprendre que pour gagner du bien, le savoir-faire vaut mieux que le savoir. Mais comme chacun pillait autour de moi, en exigeant que je*

fusse honnéte, il fallait bien périr.... W podobnem położeniu, jak sewilski cyrulik, znajduje się każdy *przeciętny* urzędnik rosyjski. I dla niego, nie *le savoir,* lecz *le savoir-faire* jest główną podstawą, głównym środkiem dojścia do celu i otrzymania wymarzonego miejsca, z tą tylko różnicą, że od Beaumarchowskiego Figara praktyczniejszy nie myśli bynajmniej ginąć dlatego, że wszyscy dokoła rabując, od niego jednego uczciwości żądają.

Widząc, co nad nim i pod nim się dzieje, wybiera najwygodniejszą drogę i na zasadzie przysłowia o wronie i krakaniu dostraja się do ogólnej normy. Tworzy się więc w ten sposób błędne kółeczko, *kleine aber honnete Gesellschaft,* nie spółka, lecz wzajemna tolerancya. Ty zrobisz dziś to dla mnie, ja jutro dla ciebie, pojutrze trzeci dla nas obydwóch i t. d. w nieskończoność. Od zwierzchnika aż do ostatniego woźnego każdy prowadzi jakiś interesik na własną rękę; każdy udaje, że się drugiego boi, ale w gruncie wie, że tamten taki sam jak on, tylko pozory wymagają pewnej wstydliwości. Masz więc pierwszy najpospolitszy rodzaj ł a p ó w k i, branej nie za to, aby zrobić coś przeciwnego prawu lub dopuścić się jakiegoś nadużycia, lecz dla ułatwienia jedynie biegu interesu, dla wyświadczenia grzeczności. Jakiś papier zalega u prezesa, od lada pomocnika sekretarza zależy zręczne podsunięcie do podpisu i przyspieszenie w ten sposób rezolucyi. Dajesz mu więc parę rubelków, i oto ów podpis, na który czekałeś całe miesiące,

jest już nazajutrz. To nie żadne nadużycie, to tylko „grzeczność“, według niektórych całkiem słusznie warta nagrody, bo niewchodząca w zakres obowiązku urzędnika. U nas bowiem skutkiem tyloletniej gospodarki rosyjskiej tak się pojęcie o tem co uczciwe a nieuczciwe spaczyło, że na mnóstwo rzeczy patrzy się z jakiegoś utylitarnego stanowiska, niemającego nic z bezwzględną moralnością wspólnego. Ten rodzaj łapówki jest najpospolitszym i mówię absolutnie niema bióra rządowego, nawet najporządniejszego, w któremby nie grasował powszechnie.

Drugi stopień jest już o szczebel wyższy. Nie bierze się za to, aby samą manipulacyę kancelaryjną przyspieszyć, lecz dlatego, aby żadnych przeszkód nie stawiać. Ku temu trzeba już trochę wyższego urzędnika. Podajesz się n. p. na wsi o paszport. — Od urzędu powiatowego zależy po części, jak prędko i czy go otrzymasz lub nie, zawsze bowiem naczelnik powiatu, jak i naczelnik straży ziemskiej wydać musi kwalifikacyę, czy bezpiecznie cię puszczać za granicę. Trzeba więc dać, aby ta kwalifikacya była dobra, a później trzeba dać raz jeszcze drugi w urzędzie gubernialnym, aby za dobrą uznaną została, i po raz trzeci w kancelaryi gubernatora, aby podpisania paszportu nie wstrzymano ci długo. Słowem paszport według taksy powinien kosztować 15 rs. kop. 60, a kosztuje zawsze w ten sposób dwadzieścia kilka. Oswojono się już w lat ciągu z tego rodzaju podatkiem i każdy jest nań z góry przygotowany.

Oba te stopnie wchodzą jeszcze w zakres „grzeczności“. W Warszawie grzeczność ta opłaca się skromną gotóweczką; na prowincyi często *in natura,* owsem dla koni, zbożem, owocami, warzywami, zającem i t. d. Karygodnego nic się w tem nie widzi, bo każdy powiada sobie, że przecież i taki biedny urzędniczyna żyć musi — pensya nie może mu wystarczyć na utrzymanie licznej rodziny i jakiego takiego domu.

Te dwie kategorye łapówek mają tysiące drobniejszych gatunków i odcieni, zależnych od osobistości, zajmowanego stanowiska, ważności interesu i t. d. Do nich właściwie zaliczyć należy i trzecią: obejście, lub pominięcie jakiegoś podpisu, lub czczej formalności, która właściwie niema żadnego waloru, a jest jednak potrzebną. Tak n. p. przedstawiasz jakiś papier, który powinien być podpisany przez prezesa, naczelnika kancelaryjnego i sekretarza, a legalizowany przez inną jeszcze władzę. Otóż spieszno ci, nie masz po prostu czasu legalizacyę tę wyrabiać; urzędnik, który ten papier od ciebie przyjmuje, wie doskonale, iż podpisy są autentyczne.... O nadużyciu więc nie może być mowy. Idzie tylko o jego „grzeczność“. Wsuń w łapę, a grzeczność ta wyświadczoną ci zostanie. Krzywda nikomu się tu nie stała, prawa nie złamano, pominięto — tylko formalność.

Ostrzejszym jest już stopień łapówki i grubszą musi być też suma, kiedy *a priori* jest ona obliczoną i z góry parol na ciebie zagięty. Wówczas

przechodzi we formę wyzysku i *chantage'u.* Dotychczas zależało to od twojej woli dać lub nie dać; jeśli ścisnąłeś kieszeń, interes pomimo tego się zrobił, tylko znacznie później. Tu wynik sam interesu zależy od tego, czy dasz lub niedasz. Masz n. p. syna w szkołach, wiedzą o nim, że pochodzi z rodziny zamożnej, z góry więc nakładają na ciebie haracz. Niech twój chłopak jaknajlepiej się uczy, niech będzie z całej klasy najpilniejszy, nic to nie pomoże i profesor rosyjskiego języka zadecyduje wkrótce, iż jak Michasiowi Sienkiewicza „brak mu akcentu“ i dlatego promocyi nie dostanie. Nie broń się wtenczas, bo najgorzej na tem wyjdziesz, daj a szybko, gdyż inaczej powiększysz zawziętość i sumę pożądaną podwoisz.

Ale to wszystko, jeszcze nie obejście prawa. Jak to przychodzi, wymagania wzrastają olbrzymio. Każdy urzędnik rosyjski zrobi ci wszystko, co chcesz, ale w myśl zasady Bazylego z *Cyrulika Sewilskiego,* że — *dans l'harmonie du bon ordre.... un jugement inique, un passe-droit evident, sont des dissonnances qu'on doit toujours préparer et sauver par l'accord parfait de l'or.* I to praktykuje się u nas i na wielką skalę. Niemasz rzeczy, w którejby w tym kraju w sprawach rządowych pieniądzmi nie można zrobić. Największe nieprawdopodobieństwo staje się rzeczywistością; najbardziej fantastyczne marzenie przyobleka się w ciało i nie dla konceptu, ale naprawdę zdaje mi się, że ów żyd hamburski, który przed kilkunastu

laty proponował, aby mu Polacy złożyli miliony, a on w Petersburgu kwestyę naszą stanowczo najpomyślniej rozwiąże — nie był chyba takim szaleńcem, za jakiego go mieli ci, wobec których z ową propozycyą wystąpił. Korupcya u nas pod tym względem zupełna, demoralizacya społeczeństwa wielka i dziś od prostego chłopa aż do najinteligentniejszego obywatela, każdy po części staje się współwinnym, szukając tą przynajmniej drogą ratunku i obrony. — Nie mówię już o wstrętnych nadużyciach gorzelanych, o sumach pochłanianych przez komisarzy włościańskich, ale czy znajdziesz gdzie w całej w Warszawie lub Królestwie choć jednę instytucyę, jednę fabrykę, którąby w budżet swój nie musiała wstawiać okrągłej co rok sumki na *faux frais.* Suma taka bywa wydawana czasem bezpośrednio a często także i pośrednio, bo jak łapówki są różnego rodzaju i gatunku, tak i łapownicy nie wszyscy w jednaki przyjmują je sposób. Jeden weźmie wprost z rączki do rączki, drugi zajrzy do papierów i zapyta, jak ów dygnitarz petersburski: *czy wy z Łamańskim pryszli?* czy przyszedłeś pan z Łamańskim? (podpis zarządzającego kasą na storublówkach), trzeci przyjmie datek za pośrednictwem wskazanej osoby, inny wreszcie wprost cynicznie oświadczy ci na pytanie:

— Czy panie radco da się coś w tej sprawie zrobić?

— Jak się *da,* to się zrobi.

Są także tacy, którzy nie wezmą pieniędzy, ale

musisz im wyświadczyć tysiące jeszcze kosztowniejszych grzeczności, lub obdarzać prezentami. Jest nareszcie najłagodniejszy rodzaj: śniadankowiczów. Tych trzeba fetować, żyć z nimi za pan brat, ugaszczać i przyjmować, a wówczas wszystko będzie dobrze i pójdzie na karb „przyjaźni“. Najgorsi jednak są pożyczkowicze. Najbardziej to zdradliwa forma łapówki i najniebezpieczniejszy rodzaj łapowników. Ten niby honor swój zachowuje nietykalny, do niczego się konkretnie nie zobowiązuje, nic nie przyrzeka, wyświadczasz mu grzeczność, pożyczasz, a więc masz nadzieję odebrania.... Ubliżyłabyś mu, przypuszczając inaczej. A jeśli ci nic nie zrobi, to co najwyżej nazwać go możesz „złym dłużnikiem“ i niczem więcej.... Strzeż się więc „pożyczkowiczów“....

Nie sądź jednak, aby ci wszyscy łapownicy nie mieli *sui generis* moralności. A jakże, mają ją i to nawet surową. Wziąć i zrobić, to rzecz uczciwa, ale wziąć i nic nie zrobić, to hańba i wstyd. Znam takich, którzy nic wskórać nie mogąc, zwracają najsumienniej pieniądze, tłómacząc, że im się nie należą i pomimo wszelkich perswazyj, że przecież koło interesu chodzili, czas marnowali, trud ponieśli, a jeśli się nie udało, to nie ich wina, honoraryum żadnego przyjąć nie chcą. Znam drugich, chlubiących się tem, że nigdy żadnych żądań nie stawiali, biorąc tylko to, co im dawano. „Bierz Michale, co Bóg daje“. Przyszło to jakoś samo, więc grzechu niema.... Są wreszcie tacy, którzy

swoje łapówki usprawiedliwiają dosyć racyonalnie: Chcąc mieć pokój, trzeba się także u góry zapewnić i dobry numer wyrobić, więc należy przyjmować zwierzchników, żyć z nimi, przegrywać w karty.... Wszystko to kosztuje, a pensya nie wystarcza. Więc *viribus unitis*. Jeśli jesteście ze mnie jako naczelnika powiatu kontenci, pomóżcie zatem, aby i gubernator był ze mnie zadowolony. Ręka rękę myje, ażeby ją myć, trzeba na to ręcznika i mydła, więc mi je dajcie. Tych do pewnego stopnia i ja nawet muszę usprawiedliwić. Trudna rada, taki to już system państwowy, więc ciężko z nim walczyć, ale trzeba się bronić, jak można. *Le savoir faire vaut mieux que le savoir*, my na to nic nie poradzimy.

Teraz, skoro już mniej więcej znasz różne pospolitsze typy urzędników rosyjskich w tym kraju, wróćmy znów do pojedynczych osobistości. Wpierw jednak muszę jedno jeszcze zrobić zastrzeżenie. Powiedziałam powyżej, że każdy przeciętny urzędnik rosyjski żyje ponad stan i dlatego ma długi. Są jednak tacy, którzy łapówki nie poświęcają na opędzenie codziennych potrzeb, lecz je kapitalizują. Ma to nawet w języku rosyjskim specyalną nazwę, niedającą się na żaden inny przetłómaczyć język, a kto w ten sposób doszedł do pieniędzy, o tym się mówi: *charoszyje diengi nażył*. Taki opuszcza później miasto i kraj, jedzie na Litwę lub do zabranych prowincyj, gdzie korzystając z ulg dla Rosyan nabywających od Polaków majątki i zapomóg

rządowych, zamienia się w obywatela. Znaczna liczba majątków rosyjskich w tych prowincyach nabywaną jest z podobnego źródła. Przyznasz, że dzielny to środek rusyfikacyjny. Podobne indywidua świetnie scharakteryzowała p. Łańska w swoim romansie „Obrusitieli“, który posłużył mi właśnie za wstęp do niniejszego listu. Jeszcze raz muszę się na tę książkę powołać, bo w niej znajdziesz praktycznie przeprowadzoną niektórych naszych „obrusitieli“ charakterystykę, przekonasz się przytem, że nie trzeba na to być Polką i katoliczką, aby widzieć rzeczy takiemi, jak one są, ale że i najgorliwsza Rosyanka, do tego wice-gubernatorowa, jeźli prawdy rzetelnie poszuka, do innego wniosku nie dojdzie i jaśniejszych barw nie użyje.

Nie myślę bynajmniej kusić się o nakreślenie dokładnej sylwetki p. Apuchtina. Wreszcie znacie go trochę lepiej od innych, bo osobistość to głośna i imię jego wciąż się po dziennikach powtarza, a sława nienawiści sięga daleko. Niski, przysadkowaty, o pulchnej czerwonej twarzy, krótko strzyżonych włosach i siwych wąsach, ma on twarz tak dobroduszną i poczciwą, że gotów jest rozczarować najzawziętszego nawet zwolennika fizyognomistycznej teoryi. To nie sukcesor wileńskiej Nowosilcowa sławy, to nie ten groźny i ponury satrapa, na jakiego z czynów swoich wygląda. Spojrz na niego, a będziesz przekonaną, że to jakiś potulny i poczciwy stary podstarości, zakonserwowany w dworku szlacheckim; ubierz go w kontusz, przypasz ka-

rabelę i włóż konfederatkę, a przypomni ci posła upickiego i będzie miał taką minę, jakby za chwilę miał porwać się do korda i krzyknąć „nie pozwalam“. O początkowej jego karyerze wiem tyle tylko, że już w latach najmłodszych jako niepoczesny oficerzyna odznaczał się wielką ku wszystkiemu co polskie nienawiścią. Pod tym względem jest on konsekwentniejszym aniżeli jego prototyp i protektor p. Pobiedonoscew. O prokuratorze Najśw. Synodu dowiedziałam się bowiem od jednego z towarzyszów jego lat młodych, iż służąc jako oficer w Królestwie, mówił nie źle po polsku i udawał wcale nam życzliwego. Później w Petersburgu zaczął szukać karyery, lecz nie przez popów, tylko jako liberał czystej wody, „niewierzący ani w Boga, ani w djabła“. Ze skrajnego ateuszostwa przeszedł później na bigoteryę prawosławną i dziś głównie tem stoi. Takie się to czasem trafiają w Rosyi przemiany. Pan Apuchtin przeciwnie. Takim, jak jest, zaznaczył się odrazu. Pod tym względem rusyfikator to w każdym calu, jak w każdym calu był Lear królem. Tylko rusyfikator arcypospolity, gatunku bardzo powszedniego, nietylko bez zdolności, ale i bez wprawy. Robi on na mnie wrażenie nie wytrawnego i doświadczonego operatora, ale małomiasteczkowego felczera, który rżnie, kraje, nie pytając gdzie i jak, aby tylko jak najwięcej krwi upuścić i jak najdrożej za bandaże policzyć. Nienawidzi nas zawzięcie, radby wszystkich wytopić i w łonie matek zgnębić, ale za co, jaki powód tej

nienawiści, gdzie jej źródło, i czyżby niem miała być przyjaźń i wiara w Katkowa? Wątpię. Nie znam dokładnie historyi p. Apuchtina, ale przypuszczam, że pierwszy zarodek tej nienawiści musiał mieć jakiś czysto osobisty powód, a przyznam Ci szczerze, że nie wierzę, aby na wyrobienie dzisiejszego fanatyzmu miały się składać same polityczne względy i przekonania. Nie, tu nietylko o nawracanie na prawosławie i rusyfikacyę chodzi, tu bodaj czy nie przeważną gra rolę pospolita chętka odznaczenia się i popularności, rachuba na karyerę i awanse, względy nie tak wysoko państwowe i platoniczne. Przekonanie ustępuje tu na drugi plan; gdyby wiatr się zmienił, on byłby niezawodnie innym i jeszczeby konfederatkę włożył na głowę i pobrząkiwał karabelą. Nie wiem napewno, ale ręczyłabym za to, że w drugiem lub trzeciem pokoleniu musi być popowiczem i że może za młodu przeznaczony był do czerńców. Są w nim bowiem charakterystyczne cechy tej kasty, jest jakaś zasklepiałość i ciasnota wyobrażeń, niepozwalających dalej się rozejrzeć; jest ślepe przywiązanie nie do ducha, lecz do litery księgi, cechujące djaczków, którzy śpiewają po cerkwiach psalmy, nie rozumiejąc nawet słów przez siebie wymawianych. Tylko w takiej ciasnej bizantyjskiej głowie mogło powstać zuchwałe przekonanie, że w przeciągu lat dziesięciu żadna matka nie będzie w tym kraju inaczej do dzieci przemawiać, jak po rosyjsku.

Słowa te, przypisywane Apuchtinowi, są nb.

całkiem autentyczne a wyjść one mogły z ust chyba Azyaty, a nie Europejczyka. Człowiek bowiem cywilizowany nie mógłby takiego nonsensu powiedzieć i w tak ryzykowne wdać się horoskopy. Do dziesięciolecia Apuchtinowskich rządów nie tak już daleko, a ostatecznie jakiż rezultat jego tak wychwalanej przez „samobytników“ działalności? Weźmy tak bezstronnie, jakby tu nie o nas i o naszą skórę chodziło, ale gdyby nam kazano sądzić ludzi całkiem obcych i to z wyłącznego stanowiska „idei państwowej“ — i zapytajmy, co pan Apuchtin dla „obrusienja“ dzieci polskich zrobił i gdzie jego praktyczne korzyści? Czy poczucie polskości choć w czemkolwiek w młodszych generacyach naszych osłabło? Czy te dzieciaki, chociaż po rosyjsku tak doskonale umieją, po polsku zapomniały zupełnie? Czy ich naturę p. kurator przetworzył, uczucia zgnębił, wyobrażenia przemienił, serca wyziębił? Nie. Ale za to swojem postępowaniem idei państwowej jako takiej najgorsze oddał usługi, bo w tych młodych sercach zaszczepił nienawiść nawet tam, gdzie już jej prawie nie było; bo smarkaczy wysforował kilkakrotnie na bohaterów; bo tym, których prześladuje, dał przedsmak popularności i rangę narodowych ofiar; bo wszystkie tlejące już zaledwie uczucia na nowo rozżarzył, zaprawił młodzież do solidarności, koleżeństwo rozwinął, przywiązanie do mowy i rzeczy ojczystych w dwójnasób powiększył. Jak niema to dziecko rosyjskiego języka z duszy nienawidzieć i wstrętu do niego uczuwać, jeśli od

dziesiątego roku życia nauka jego jest dla niego istotną męczarnią, źródłem ustawicznych kar i zmartwień, jak ma ono literaturę rosyjską polubić, jeśli w niej widzi tylko narzędzie prześladowania, synonim szykany! Jakimi to ludźmi p. Apuchtin posługuje się w swych szkołach, czy wielu z nich ma jakiekolwiek pedagogiczne zasady i wyobrażenia, czy wielu z nich jest uczciwych i prawych? Niech p. Apuchtin nie udaje, że nie wie, iż w szkołach naszych stopnie zdobywają się pieniędzmi, że są dyrektorowie, którzy pod tym względem przodują nauczycielom i niech tego na „polskie intrygi“ nie składa.

Wie on o tem lepiej od nas wszystkich, a jednak te wołające o pomstę do Boga nadużycia toleruje i sam do nich czynną przykłada rękę, protegując największych „wziąteczników“, palcami wskazywanych po mieście nieuków i najlichszych z wykształcenia i charakteru profesorów, dla tego tylko że się łaszą i do jego nuty nastrajają. A proteguje dlatego, że prawosławni, że po cerkwiach biją pokłony i mądrość jego i patryotyzm podziwiają, że brutalstwo swego zwierzchnika naśladują, że biednych malców prawdziwie po rosyjsku „rugają“, że polskie rozmowy dotkliwie karzą. Taka szkoła jest w stanie wychować bohaterów albo kretynów, a trzeba rzeczywiście podziwiać odporność żywiołu polskiego przeciw destrukcyjnym zasadom, skoro się widzi, jak pomimo wszelkich ku temu danych i licznych ze strony pana Apuchtina ułatwień młodzież

nasza tak dzielnie się broni od nihilistycznych sieci. P. Apuchtin bowiem jest pierwszym u nas nihilistą. Nie mówię tego bynajmniej przez ironię i dla konceptu i nie używam tego wyrazu nawet w znaczeniu anihilacyi wszystkiego, co polskie i nasze. Biorę nawet nazwę *à la lettre* i powtarzam raz jeszcze, iż głównym propagatorem w Królestwie antipaństwowych zasad wywrotu jest właśnie p. Kurator okręgu naukowego i reprezentowany przez niego system.

Jeźli się sprowadza na uniwersytet tutejszy dla dowiedzenia, że ma on młodzież rosyjską, popowiczów i studentów, powydalanych ze wszystkich innych akademij, byle tylko prawosławnych; jeśli nadaje się im przywileje, uposaża stypendyami nb. z polskich powstałemi zapisów; jeśli się ich proteguje na każdym kroku i w ten sposób ściąga całą czeredę, która później staje się rozsadnikiem nihilizmu i stara się, jak Żukowicz polską do swych robót wciągać młodzież — to pytam — czyja w tem wina i czyja zasługa? Jeśli na nauczycieli ludowych nasyła się jakieś podejrzane z głębi Rosyi indywidua, które zamiast chłopa uczyć, zasiewają w nim nieznaną mu poprzednio nienawiść i judzą przeciw majętniejszym, jątrząc jedną warstwę społeczną przeciw drugiej, to jeśli z czasem z tego posiewu zejdą zboża, kto będzie za to odpowiedzialnym?

To nie sofizmaty, ale szczera prawda; to nie nakręcanie wywodów, lecz fakt istotny. — Niech znowu p. Apuchtin nie udaje; wie on doskonale,

co robi, i znane mu były wybornie żywioły, które naprowadza, a które później taką wybitną odgrywały rolę w spisku Bardowskiego i w innych nihilistycznych zawiązkach. Byli tam pewni jego protegowani stypendziści, byli tacy, co oddarty od ust biednego studenta polskiego chleb zjadali; tych się gdzieś aż z nad Amuru sprowadzało, a później się tłomaczyło nieszczęściem i niemożnością sprawdzenia przekonań każdego przybywającego do Warszawy Rosyanina, względami politycznemi i t. p. wykrętami. Niech p. Apuchtin przysłucha się, co jego protegowani wykładają czasem po szkołach i w uniwersytecie, niech dokładnie zbada tę podjazdową robotę, krytą w fałdach wielko-państwowej polityki, a tak nieraz socyalistyczną, że nie Aleksandra Newskiego, lecz podziękowanie od komitetu wykonawczego powinien on dostać. Ale zacietrzewiony w swojej prześladowczej robocie tego wszystkiego nie widzi i jeśli łamie sobie głowę, to nad tem tylko, aby jakie nowe dręczenia dla młodzieży wymyśleć, aby zaprodukować coś, coby wszystkich rozdrażnić i ferment nienawiści podsycić mogło.

Tu nie idzie już o antypatyę narodową, ale o porządek społeczny, o jego interesa i byt. Stwórz prawdziwe łączniki interesów, celów i dążeń między podbitym a panującym żywiołem, a będą bez gwałtu i nacisku uczyć się po rosyjsku. Wszakże ks. Sapieha sam wniósł potrzebę większego udziału w szkołach galicyjskich nauki języka niemieckiego. Wszakże w parlamencie wiedeńskim Polacy mówią lepiej

po niemiecku niż w Berlinie, choć szkoła Galicyi jest na wskróś polską. Alzacya i Lotaryngia mówi po francuzku i jest patryotyczną, bo należycie się z nią obchodzono. Przyznać to musi każdy najbezstronniejszy znawca Rosyi, że element urzędnika i profesora rosyjskiego w Królestwie Polskiem jest na wskróś rewolucyjnym i nihilistycznym. Społeczeństwo polskie jest w gruncie bardziej konserwatywnem i monarchicznem, aniżeli rosyjskie. Myśmy chorowali na anarchię, ale mieliśmy zawsze uszanowanie dla zasad i porządku społecznego, wierność dla tronu. W Rosyi tego wszystkiego niema, w Rosyi nie znajdziesz nawet tej osławionej i tak przez niektórych uwielbianej wierności tronowi. Jest tam tylko coś, cobym nazwał „kornością wobec władzy", nie jej szacunek, ale obawę przed nią. Niech ta władza będzie inną, a taksamo wszyscy się przed nią ukorzą; na rozkaz dany z góry opinia zmieni swój prąd; ci, co staną u szczytu, znajdą zawsze posłuch i powolność. Kiedy Loris-Melikow opuszczał władzę, dziesięć tysięcy biletów wizytowych rzucono mu w dzień jego dymisyi; demonstracya ta stała się nawet zatrważającą, ale w parę dni potem najgorliwsi wielbiciele zaczęli od niego stronić w obawie, ażeby ich nie posądzono o solidarność z dawnym kierunkiem. Za liberalnych rządów *Mosk. Wiedomosti* ledwie dyszały i liczba ich prenumeratorów spadła ogromnie; później dziennik Katkowa miał ich kilkadziesiąt tysięcy i wzrastał ustawicznie dlatego, że był wyrazem nowego kierunku

rządu. Wszystko to nie poszanowanie, ale właśnie ta „korność“, czy jeśli wolisz pokora dla władzy. Rosya zaś przechodzi obecnie sama przez stan gorączkowego wewnętrznego przerabiania się, ztąd to wszystko, co z niej tutaj napływa, ma fałszywe pojęcia ekonomiczne, polityczne, społeczne i staje się propagatorami przewrotu. Odnosi się to do nich wszystkich, ale stan nauczycielski jest specyalnie gorszym jeszcze i bardziej niebezpiecznym od innych, bo już za Mikołaja brutalna materyalistyczna filozofia, Büchnerowska *Kraft und Stoff*, była katechizmem rosyjskich uniwersytetów. Doskonale to oddał Turgieniew w powieści „Ojcowie i dzieci“ i do niej Cię odsyłam, moja droga. jeźli chcesz poznać z niezmiernym artyzmem i głębokością prawdziwego obserwatora odwzorowany typ przeciętnego uniwersytetów tych wychowańca.

W takich warunkach wychowani, wpośród takiego społeczeństwa wzrośli nauczyciele, muszą na ustrój umysłowy dziecka najfatalniej oddziaływać, zwłaszcza jeśli ten brutalny materyalizm łączy się z prawdziwie azyatyckim cynizmem. — Pod tym względem formalna też na młodzież naszą odbywa się *razzia*, pojmujesz więc, dlaczego już nie z punktu czysto narodowego ale społecznego i konserwatywnego prawdziwa nas przed skutkami takiego systemu ogarnia trwoga, dlaczego każdy oddając swe dzieci do szkół tutejszych nie o polskość jego, ale o zdrowie moralne, o zasady społeczne, o kierunek, jaki tym dziewiczym umysłom nadają, drży

i truchleje i woli raczej do wszelkich w kraju karyer zamknąć mu drogę, aniżeli wydawać dobrowolnie na łup i moralne zniszczenie.

Sprawa Żukowicza jest dotychczas jeszcze pokryta tajemniczą zasłoną; nie zdarły jej listy biednego samobójcy, ogłoszone w dziennikach lwowskich. Zagadka pozostała między nim a p. Apuchtinem. Co to była za „sprawa osobista“, której ofiarą padła tak nieszczęśliwie młodzież nasza, wie o tem p. kurator okręgu naukowego i on jeden mógłby to wszystko wyjaśnić. Ale czy nie jest uderzającem to osobiste zetknięcie się i stosunki młodzieńca, o którym wiadomo już dzisiaj, z czyjego działał ramienia, wprost z p. Apuchtinem? czy to nie nasuwa różnych przypuszczeń i domysłów? Nie posądzam bynajmniej, aby p. kurator wchodził w bezpośrednie stosunki z nasłanymi tu z Rosyi krzewicielami przewrotu, ale jestem najmocniej przekonana, że wszystkie późniejsze wykrycia nie były dla niego żadną tajemnicą. Jemu jak wszystkim pokrewnym mu duchom, zależało niezmiernie, aby kraj nasz pozbawić jego nihilistycznej niepokalaności; im stało solą w oku to zasklepienie się naszej młodzieży, która dzięki tylko instynktownemu stronieniu od rosyjskich kolegów, uniknęła dotychczas ogólnego przynajmniej zakażenia; ich korciło to niezmiernie, że uniwersytet warszawski do czasu wyróżniał się od innych rosyjskich swojem zachowaniem się i biernością. I cel upragniony osiągnięty został. Dzięki tajemniczemu zajściu z Żukowiczem,

który jak wiesz był Rosyaninem czystej krwi i prawosławnym, młodzież polska, uniesiona szlachetną solidarnością i koleżeństwem, dała się nierozsądnie i bez zastanowienia porwać. Nie dyskutowano nad tem, jaka to sprawa, czy czysta i godziwa, lecz widziano w niej tylko sposobność dziecinnego na p. Apuchtinie odwetu. Kto wiatr sieje, ten zbiera burzę. P. kurator zanadto gorliwie szczepił od lat kilku nienawiść w sercach młodzieży, gnębił ją i nękał, aby rozdrażnienie nie miało wybuchnąć przy lada sposobności. Od młodzieży szkolnej trudno żądać dojrzałości politycznej i przezorności mężów stanu. Ciągle podsycana gorączka musi dojść raz do *delirium.* Nieporządki wybuchły, p. Apuchtin zachował się po tchórzowsku, krył się po kątach, zwalał odpowiedzialność na rektora, udawał męczennika, a był właściwie inicyatorem i instygatorem. Wyruszyło wojsko na ulice, studentów oblegano, założono na Krakowskiem Przedmieściu formalne obozy, i Bóg wie jak długo trwałaby ta zbrojna komedya, gdyby nie zręczne i uczciwe zachowanie się jen. Strukowa, który dowcipnem przemówieniem do studentów osiągnął więcej, aniżeli wszystkie ułańskie konwoje i szarże dragonów.

— Wiecie co panowie — rzekł on do gromady studentów, zamkniętej wojskiem na ulicy Berga i niechcącej się rozprószyć — i nam, i wam chce się już jeść. Pójdźmy wszyscy na obiad, a później, jeźli wasza wola, zejdziemy się tu znowu i będziemy patrzeć jedni na drugich.

Studenci śmiechem przyjęli tę propozycyę i w parę minut zbiegowiska nie było. Masz w tem najlepszy dowód, że nie wielkiej potrzeba na to filozofii, aby porządek uliczny w Warszawie utrzymać.

Zapytuję zawsze, zkąd to potężne stanowisko, jakie w Petersburgu p. Apuchtin posiada; zkąd wysokie wpływy, jakiemi bezwarunkowo rozporządza? Zapewne w wielkiej części dlatego, że postępowanie jego tak jest zgodnem i odpowiedniem systemowi eksterminacyjnemu polakożerstwa i nienawiści. Ale z drugiej strony musi on mieć i bardzo silne relacye osobiste, musi mieć u dworu i sfer rządzących *des petites entrées*, przez które wszystko robi, skoro zdołał się utrzymać w lepszych czasach za Loris-Melikowa i Saburowa, pomimo jawnej dysharmonii z tutejszymi jenerał-gubernatorami hr. Kotzebue i Albedyńskim. W tej jego pozycyi i potędze tkwi jakaś tajemnica, coś, co zachęca i zachęcało zawsze do rzadkiej względem zwierzchników zuchwałości. Z hr. Kotzebue zwłaszcza stał on na stopie więcej niż nieprzyjaznej.

Stary Estlandczyk nie lubił, aby się mu pod nosem zanadto rozbijano, a p. Apuchtin zaczął właśnie od tego swoją w Królestwie karyerę; nie lubił żadnych jaskrawości, a ten mu przecież czerwono wszystko farbował; nie lubił krzyków, hałasów i drażnienia, a on urzędowanie swoje zainaugurował samobójstwem Neufelda z powodu marnego wieńca dla Modrzejewskiej i wywołał demonstracyjny tego malca pogrzeb. Nie znosił wreszcie u podwładnych

żadnych krytyk swego postępowania, a p. Apuchtin pozwalał ich sobie głośno i publicznie. Kiedy w Ratuszu obywatele miasta dawali pożegnalny dla hr. Kotzebue obiad i hr. Tomasz Zamoyski wzniósł w ich imieniu toast francuski na cześć odchodzącego jenerał-gubernatora, p. Apuchtin publicznie wyraził swe oburzenie, że poddany rosyjski śmie przemawiać do reprezentanta swego cesarza w innym, niż urzędowym języku, i że ten reprezentant w odpowiedzi swojej użył także francuskiej mowy. Stary jenerał dowiedział się o tem i był zuchwałością p. Apuchtina oburzony, zuchwałością tem większą, że niedawno sam cesarz zgromił go ostro za to, że ze *„starikom"* nie żyje w zgodzie. Hr. Kotzebue mściwym był i uraz nie darowywał, Muchanowowi nie przebaczył obiadu danego dla ks. Imieretyńskiego, więc z pewnością nie oszczędził też trudów, aby Apuchtinowi porządnego przystawić stołka.

P. kurator ocalał jednak szczęśliwie. Dlaczego? To tajemnica *des petits entrées*. Za Albedyńskiego już o mało nie wyleciał, tylko znowu jakieś djabelskie zabłysło mu szczęście. Dziś zaś jest on wszechwładnym panem położenia, według Maryi Andrejewny wzorem rosyjskiego *diejatiela,* szczytem obywatelskiego poświęcenia. Więc pozostanie niechybnie tak długo, jak mu się żywnie spodoba.

Pracowitym jest ten zajadły człowiek i tak swemu przecież *„karennie russkamu"* otoczeniu nieufny, że sam każdy papier przegląda, sam każdy referat załatwia, wszystko wie i wszystko czyta, ale

jak już powiedziałam, nie przeszkadza to bynajmniej, że w kuratoryi i w szkołach tutejszych dzieją się najokropniejsze nadużycia, przekupstwa i wyzyskiwania. Nie powiem, aby p. Apuchtin osobiście w tem zawinił, karze je, gdy o nich wie, pod względem finansowym jest on osobiście czystym zupełnie, to przyznaję chętnie, lecz je toleruje, patrząc przez szpary, na postępowanie swoich podwładnych, od których jednej tylko wymaga kwalifikacyi: pokłonu w cerkwi i gruntownej do Polaków nienawiści. Jeśli to jest, mniejsza o wszystko inne. Niech nauczyciel nic nie umie, niech będzie najgorszego pod względem moralnym prowadzenia, niech najbrutalniej obchodzi się z uczniami — wszystko mu ujdzie, aby tylko „obrusjał“ i po *matiuszkie* malców *rugał*. Demoralizacya w szkołach do tego dochodzi stopnia, że sama słyszałam raz, jak jeden malec przechwalał się przed drugim, że spotkawszy ogródkową *bellę* swego profesora, ukłonił się jej bardzo grzecznie.

— E! co tam! odpowiedział mu dwunastoletni kolega — ja jej już parę razy cukierków zaniosłem i różę wczoraj kupiłem, i zobaczysz, że będę miał piątkę z russkiego.

System padagogiczny nieprawda, że świetny? Żaki we wszystkich szkołach wiedzą doskonale, gdzie który z pp. profesorów lub inspektorów wieczorami zachodzi, jakie bóstwa jego miano i stan. I zaprawiają się wreszcie w zwyczajną w Rosyi drogę, robienia interesów za pośrednictwem ulicznych kurtyzanek.... Jeśli pod tym względem p. Apuchtin

chciał „obrusit“ naszą młodzież, to bliskim już jest celu.... Wszakże przed dwoma laty wykryto prostą szajkę złodziejską w jednem z gimnazyów na Krakowskiem przedmieściu, która kradła po sklepach, aby tylko zaspokoić żądania *„belli“*.... Byli to malce z czysto rosyjskich domów, synowie jenerała, prokuratora i rewirowego, prawosławni, zawczasu zaprawiający się na przyszłych „djejatieli“..., Ładne koleżeństwo i ładny przykład — nieprawda?

Ani nauki, ani wykształcenia lub jakiejkolwiek znajomości pedagogicznej p. Apuchtin nie posiada wcale. Powtarzam Ci raz jeszcze, to żaden pedagog, to nie zręczny operator, nie artysta rusyfikacyi, ale najpospolitszy felczer. Co za porównania z poprzednikiem jego Wittem! — Tamten miał stokroć więcej rozumu i doświadczenia i dla tego był od Apuchtina daleko bardziej niebezpiecznym i więcej dla młodzieży naszej szkodliwym. Przebiegły Niemiec umiał systematycznie, wytrwale. bez jaskrawości, lecz z wielkiem sprytem i finezyą swoją misyę rusyfikacyjną prowadzić i szkoły nasze dezorganizować, niszcząc za jednym zamachem wszystko, co po świetnych Wielopolskiego czasach pozostało. On nie pozornie, lecz gruntownie młodzież rusyfikował, on jej ducha zatruwał, wszelkie narodowe poczucie przygłuszał, on znał wszelkie polskiego studenta słabe strony, więc umiał w nie uderzyć, ran nie rozjątrzał, lecz wypalał. Co tamten przytłumił, Apuchtin na nowo rozżarzył, pod względem narodowym uczucia polskie podniósł, serca zgalwa-

nizował, drażliwość wydelikacił; sądzi, że „obrusił“, a tymczasem do wprost przeciwnych doszedł rezultatów. I to jedyna dobra rządów jego strona. Złą zaś, zniweczenie wszelkich zasad porządku, demoralizacya nie narodowa, lecz społeczna, prowadzona nie z umysłu, lecz z ciasnoty. P. Apuchtinowi zdaje się, że jest on sprężystym i że o wszystkiem wie, i na wszystko baczne zwraca oko. Że jednak tak nie jest — dowodem głośna sprawa panny Jentys i wykrycie ogniska spisku Bardowskiego w instytucie Maryjskim Panien.

Instytut ten przeniesiony z Puław na miejsce dawnego szlacheckiego, pozostaje obecnie pod zarządem pani Mezencow. Inspektorem jego był pan Szuchow, figura arcylicha, która pedagogię pojmuje ze strony romantycznej, a różne sprawki jego kwalifikowałyby się raczej nie tu, lecz do rewelacyj w rodzaju *Pall Mall Gazette*. Pan Szuchow z Instytutu Panien zrobił też istny Babilon. Każda młodsza i przystojniejsza dama klasowa mogła być pewną jego łask i protekcyi, ale pod warunkiem.... zupełnej uległości. Praktykowało się to lata całe i wszyscy udawali, że o tej eksploatacyi p. Szuchowa nic nie wiedzą. Raz przybyła do Instytutu z Petersburga panna Kowalska, opatrzona wszelkiemi możliwemi patentami i dyplomami, a że była młodziutką i bardzo ponętną, więc z kolei zwrócił p. Inspektor swoje miłosne zapały. Dla panny Kowalskiej zawieszono cały regulamin zakładu.... Jest przepis, że każdy, kto do Instytutu wchodzi, musi

się wpierw u portyera zapisać i zameldować albo Inspektorowi, albo samej przełożonej. Goście panny Kowalskiej wyjęci zostali odrazu z pod tego rygoru. Wolno im było chodzić o każdej porze dnia i nocy i nikt się nie pytał, co za jedni i po co przychodzą. Panna Kowalska mieszkała razem z panną Jentys, więc i ta z zalotów inspektorskich korzystała także. Odbywały się więc w pokojach tych pań bardzo często zebrania i wieczorynki, na których p. Szuchow nieraz bywał i bardzo wesoło się bawił, nie wiedząc, że owi goście to właśnie najczynniejsi spisku Bardowskiego członkowie. Cóż dziwnego, miłość zaślepia, a niedarmo Carmen nazwała ją „cygańskiem dziecięciem“, któremu „ani ufaj, ani wierz“. — Pan Szuchow zaufał i uwierzył i oto w jaki sposób spisek ten znalazł najbezpieczniejsze schronienie i najwygodniejsze przytulisko pod opiekuńczemi skrzydłami p. Apuchtina i w zakładzie imienia samej cesarzowej. Spisek odkryto, panna Kowalska i panna Jentys padły ofiarą i p. Szuchow otrzymał dymisyę, z Petersburga przybyła umyślnie z ramienia cesarzowej p. Raden na rewizyę i reformę Instytutu, ale znowu czy głównym winowajcą nie jest ten, kto takich mianuje inspektorów i na takie pozwala mu postępowanie, czy odpowiedzialność nie spada na p. kuratora tak zacietrzewionego w swojej rusyfikacyi, że „jak głuszec, gdy tokuje, nic nie widzi, nic nie czuje“.

Adjutantów i kamarylli p. kuratora określać Ci nie będę. Są to figury podrzędne, różne wywłoki,

dymisyonowani oficerowie, wypędzeni za łapówki komisarze, popowicze, którzy pokończyli uniwersytet tutejszy. Pospolita to czereda, niewarta, aby się nad nią zastanawiać. Gdzieniegdzie w jakiemś gimnazyum znajduje się uczciwsze indywiduum, gdzieniegdzie spotkasz wśród tego sztabu pedagogicznego człowieka o szlachetniejszych trochę instynktach i czystszych rękach, ale będzie to wyjątek rzadki, ptak ukryty w cieniu, siedzący jak mysz pod miotłą w ciągłej obawie i trwodze, że lada chwilę wygryzą go za to, że wszedłszy między wrony, nie kraka jak i one.

Los takich ludzi pożałowania godny, a sprawiedliwość każe mi przyznać, że są i między nimi Rosyanie....

P. Apuchtin ma ten szczególny talent, że nienawidzą go nietylko Polacy, ale i właśni jego rodacy i to bardzo pokrewnego mu zakroju. *Exemplum* zachowanie się „Russkiego klubu“ w sprawie p. Koczetowa, korrespondenta *Nowoje Wremia,* znanego z pseudonimu „Russkij strannik“.

„Russkij klub“ powstał tu po wypadkach w celach bynajmniej nie towarzyskich, lecz czysto politycznych. Miało to być centrum rosyjskiego życia w Warszawie, ognisko rusyfikacyi, główna kwatera najezdniczej hordy. Powołany do życia za hr. Berga, który bardzo niechętnie zgodził się na jego otworzenie i krzywem nań zawsze patrzał okiem, ulokowany w dawnym pałacu Andrzeja Zamoyskiego przy Nowym Świecie, „Klub Russki“ odegrał główną

swą rolę podczas Komitetu Urządzającego za czasów Czerkawskiego, Milutyna i Samaryna. Tam odbywały się poufne naszych organizatorów narady, tam w przyjacielskiej gawędce snuły się wielkie eksterminacyjne plany, ztamtąd wreszcie wychodziły hasła i padały najhałaśliwsze bomby. W „Klubie“ tym przyjmowano w r. 1867 jadących do Moskwy Czechów, w nim odbył się bal dla cesarza Aleksandra II. wracającego z Paryża po zamachu Berezowskiego, w nim urządzono szumne obiady i wypowiadano wszystkie te głośne mowy, pożegnania i toasty na cześć odjeżdżających z Królestwa Polskiego organizatorów. W ciągu lat „Klub“ zaczął tracić swoją misyjną cechę, a zamienił się w prosty dom gry i miejsce schadzek.

Restaurator kredytował, wina były nie złe, wódka doskonała, zaleganie w długach karcianych nie tak ostro jak w innych klubach karane, więc spieszyli tam czynowniki i czynowniczęta, by raczej pohulać, aniżeli o polityce rozprawiać. Oficerowie przenieśli się przeważnie do swoich klubów pułkowych, gdzie i swoboda była większa i kontroli żadnej, więc woleli wieczorami tam przesiadywać, pewni, że nikt się tam nie zgorszy, jeżli po pijanemu potłuką jakich parę tuzinów talerzy i nikt im nie będzie kołatać głowy misyjnemi celami. Kwiat zaś armii, synowie porządniejszych rodzin, zamożniejsi i lepiej wychowani, zapisali się do „Klubu myśliwskiego“ na Saskim placu, przekładając polskie towarzystwo nad czysto narodowe *gulanje.*

W klubie więc zostały same mniejsze ryby, płotki, bo urzędnicy, wyżsi dygnitarze, uczęszczają tam bardzo rzadko, Rosyanin niechętnie bowiem lubi się spotykać z swoim podwładnym gdzieindziej niż w biurze i nie pozwala mu się za „pan brat“ traktować. Klub stracił więc całkiem swoją pierwotną cechę. Od czasu do czasu dawano w nim jakieś rosyjskie teatra amatorskie, „słowiańskie“ koncerta, parę razy do roku oficyalnie obiady i na tem koniec. Zresztą przez cały rok Boży, karty, karty i karty....

P. Apuchtin postanowił i to zreformować i klub na nowo „obrusit“. W tym celu dał się wybrać z kilku przyjaciołmi na „starszynę“ (członka komitetu) i rozpoczął misyonarstwo.... A więc odczyty i „familijne wieczorki“, więc ciągłe jakieś patryotyczne obchody, przedstawienia, koncerty, mowy.... Zupełnie tak, jak Marya Andrejewna, która na cześć św. Cyrylla i Metodego urządziła w Zamku raut bez herbaty, ale z jeneralskiem kazaniem.

W misyi tej pani jenerał-gubernatorowa poparła go bardzo. *Dniewnik Warszawski* zaczął występować z artykułami, dowodzącemi konieczności reformy „Klubu“, Marya Andrejewna zaszczyciła kilkakrotnie patryotyczne zebranie „Klubu“ i jak mówią złe języki chcąc im nadać czysto narodową barwę, sama zasiadła do kart z papierosem w ustach.... Dziwne nieprawda maniery, jak na wielkiego Augura, ale za to czysto „samobytnicze“. Za jej inicyatywą zawiązane przez jen. Paniutina „Towarzy-

stwo amatorów rosyjskiego teatru", dało kilka przedstawień, odśpiewano parę aktów „Żiźni za Carja". Z początku to patryotyczne ożywienie Klubu podobało się trochę, ale później, kiedy przyszły odczyty i kazania, kiedy zaczęło się nawracanie na „patryotyzm", odezwało się wiele niechętnych tej reformie głosów. Agitacya jest rzeczą bardzo piękną, „djejatielstwo" jeszcze piękniejszą, skoro zwłaszcza połączone z pieniężnemi korzyściami, ale w swojem kółku, przed samymi sobą udawać wciąż Augurów i siedzieć na trójnogu, to może w końcu znudzić wszystkich, nawet najwytrwalszych.... I po co? Dla „podtrzymywania wśród siebie rosyjskiego ducha". Ależ oni tego ducha mają dosyć i podniecać go nie potrzeba, bo nie wygasł wcale.... Oni chcą tu przynajmniej grać swobodnie w karty i zapijać wódkę, a nie słuchać prawowiernych kazań i jakichś odczytów. Myśl więc p. Apuchtina nie znalazła, ku wielkiemu zgorszeniu Zamku, poklasku, a niechęć dla p. kuratora miała niebawem w ostrej objawić się formie. P. Koczetow pisząc do *Nowoje Wremia* swoje sławne listy z Warszawy, zadrasnął także i „Klub Russki", utyskując, że nie w nim, ale gdzieś aż w *Château des fleurs* na Długiej ulicy szukać musiał rosyjskich szansonistek i rosyjskiego życia, a że przytem miał na sobie różne kondemnatki z odeskich czasów, więc kiedy go p. Apuchtin na członka Klubu przedstawił, liczba czarnych przy balotowaniu gałek okazała się przeważającą. Wprowadziło to p. kuratora we wściekłość.

Jakto! jego kandydat, taki prawowierny, taki polakożerca przepada i to gdzie? w „Russkim Klubie“ w Warszawie! Podał się więc wraz ze swymi przyjaciołmi do dymisyi i z Klubu wystąpił.

Chcąc załagodzić sprawę, zarządzono drugie nad p. Koczetowem balotowanie. Tym razem liczba czarnych gałek wzrosła olbrzymio, było ich sto kilkadziesiąt, a białych zaledwie kilkanaście. Cała sprawa nabrała wielkiego rozgłosu. *Dniewnik* poświęcił jej szereg namiętnych artykułów, atakujących Klub otwarcie; krzyknięto, że Rosyanie sami dają zgorszenie, buntując się przeciw Apuchtinowi. Jak się to wszystko skończyło, nie wiem; wiadomo mi tylko, że ucztę dla pp. Naumowicza, Płoszczańskiego i Markowa urządził p. Apuchtin już nie w „Klubie Russkim“, lecz w hotelu Rzymskim.... Lokal w pałacu Zamoyskich uznano za niegodny przyjęcia takich, jak ci panowie „narodowych świętości“....

Jeśli chcesz wiedzieć, czy który z Rosyan warszawskich jest względnie przyzwoitszym, a przynajmniej z jaką taką ogładą towarzyską, pytaj zawsze czy należy do „Klubu myśliwskiego“? Nie będzie to wielką rekomendacyą, ale przynajmniej wskazówką, że z lepszej pochodzi rodziny i grając w karty przegraną płaci. Klub ten właśnie założony został umyślnie celem wytworzenia jakiegoś neutralnego gruntu, na którym i porządniejsi Rosyanie mogliby się spotykać z Polakami. Misyi politycznej nie ma on żadnej, lecz tylko zadanie czysto towarzyskie; prezesem był nominalnie hr. Tomasz Zamoyski,

który tam zresztą bardzo rzadko bywa, a członkami ci z wyższego towarzystwa polskiego, co lubią grę grubą i znaczniejszą. Bywają w tym Klubie i Naczelnicy kraju, a Albedyński przychodził tam często na zwyczajną partyę „wista;“ bywają cywilizowani jenerałowie, utytułowani oficerowie gwardyi i dygnitarze rosyjscy pokroju Muchanowa. Ponieważ przyjętą jest zasada balotowania, więc lada kto tam się nie wciśnie i dlatego członkowie rosyjscy do pewnego stopnia dają przyzwoitości rękojmię. Gra tam idzie wysoko, a wogóle klub cały urządzony po europejsku i utrzymany na nader przyzwoitej stopie. W dwóch innych naszych resursach Rosyan wcale nie spotkasz, statuta bowiem Resursy Kupieckiej nie pozwalają przyjmować wojskowych, a Obywatelska trzyma się także w ściśle zamkniętem kółku.

Ten zakaz przyjmowania do resursy wojskowych pochodzi jeszcze, wyobraź sobie, z czasów przed r. 1831, a wydanym został przez W. Ks. Konstantego Pawłowicza, który obawiał się, aby oficerowie polscy w resursie nie dawali się wciągnąć w grę hazardową i nie kompromitowali w ten sposób swoich skromnych finansów. Przestrzega się go pilnie, bo oficer rosyjski nawet najporządniejszy nie jest bynajmniej w towarzystwach tutejszych pożądanym gościem, i jeśli nie przyjętem jest wogóle w Warszawie, aby panny chodziły na bale publiczne, to głównie ze względu nierobienia znajomości i tańczenia z nimi. Wogóle nie sądź tutejszych wojsko-

wych europejską miarą. Co przez myśl nie przejdzie oficerowi niemieckiemu, francuskiemu lub austryackiemu, to tutejsi praktykować gotowi w najlepsze. Przedewszystkiem wszędzie ich pełno i wszędzie ich widzisz, po teatrach, ulicach, koncertach, ogrodach, restauracyach, hotelach, handelkach, knajpach i t. d. Poszanowania dla munduru żadnego, do najgorszej dziury zalezie ci oficer tutejszy (mam tu zawsze na myśli głównie liniowych, z piechoty), i będzie się bił w lada ogródku z czeladnikami. Niema dnia, ażeby takiej bójki nie było, a jeśli w rządowych teatrach naszych zachowują się przyzwoiciej, to dzięki tylko wielkiej czujności policyi i placmajora pułkownika Modla, który takich awantur nie znosi i zaraz ekscedenta aresztować każe. Ale zapytaj którego z panów, niech ci opowiedzą o zachowaniu się tych „obrońców ojczyzny“ w innych, przez mniej przyzwoitą publiczność uczęszczanych miejscach....

Horrendum! na całym świecie z pułku wyrzuciliby i przegnali na cztery wiatry, a tu nikogo to nie razi, bywają zaś wypadki, że w podobnem starciu biedny oficerzyna dostanie — po fizyonomii, wówczas zawoła: „wot skandał“ — obróci się na pięcie i najspokojniej pójdzie dalej.... Poniewiera się ten mundur po najbardziej podejrzanych miejscach, a każde święto pułkowe zakończyć się musi na obmierzłej orgii, wśród ulicznic i rynsztokowego błota. Zkąd się na te wszystkie hulanki biorą pieniądze, zkąd taki oficerzyna, co ma 40 rs. pensyi miesięcznie, znajduje środki i na codzienne szam-

pańskie, i dla wesołych cór Koryntu, i na zapłacenie potłuczonego szkła i serwisu — to już ich tajemnica. Długów mają zawsze po uszy, ale jakoś to idzie. Specyalną manią oficerów rosyjskich jest tłuczenie serwisów. W restauracyjkach i zakładach, w których się odbywają orgie, kończące święta pułkowe, właściciele mają już specyalne serwisy fajansowe, przeznaczone na pastwę.... Oblicza się to już z góry i nieodmiennie na rachunku figurować musi. Inaczej niema żadnej zabawy i między sobą oceniają oni każdą taką orgię skalą stłuczonych talerzy.

— Ile u was wczoraj poszło tuzinów? pyta swego kolegi oficer innego pułku, nazajutrz po takiej zabawie.

— Aż dwanaście! W naszym pułku nigdy mniej nie idzie....

— *Wot prelest.... U nas tolko czetyry!...*

Bardziej już dbają o swój honor i reputacyę oficerowie gwardyi. Ci zwykle zamożniejsi, z lepszych pochodzą rodzin i są bohaterami warszawskiego baletu i *demi mondu.* To świat, w którym się obracają i są prawdziwymi lwami. Hulają też zawzięcie i rozrzucają pieniądze, dlatego mają *sui generis* popularność, którąbym nazwała dorożkarską. Nie masz pojęcia, jak taki g w a r d i j e c szasta zwykle pieniądzmi i jakie wydaje sumy. Przed paru laty n. p. przybył tu z Petersburga dziedzic jednego z świetniejszych imion Rosyi, syn bardzo wysoko postawionego dygnitarza dworskiego. Bawił tu parę

tygodni i codziennie wyprawiał w jednej z zamiejskich restauracyj lukulusowe uczty. Każdego wieczora przygrywała mu orkiestra, za którą płacił kilkaset rubli, najwykwintniejsze potrawy zastawiano na jego stole, szampan lał się strumieniami, a *pourboiry* nie były mniejsze, jak od 15 do 25 rubli. Codzień na dorożkarzy szło kilkanaście butelek szampańskiego, za paczkę papierosów rzucał dziesięciorublowy papierek, garsoni porobili na nim majątki, a półświatek wspominać go będzie długie lata. Wśród restauratorów i dorożkarzy wytworzyła się formalna legenda o nim. Przez kilka dni urósł na bohatera warszawskiego bruku i gdzie się kto ruszył, wszędzie o nim mówiono.... Tego właśnie rodzaju jest popularność gwardyi w Warszawie i to ci tłómaczy, dlaczego, kiedy po ostatniej wojnie pułki wołyński i litewski wracały do Warszawy, przyjmowano je tu kwiatami i wieńcami.... Tegoż dnia jeszcze wszystkie te kwiaty i wieńce wróciły *retour* do baletowych kulis....

Wśród nich bywają jednak czasem dziwne nieraz zamiłowania i charakterystyczne rysy. Od kilku lat przewodniczył birbantom gwardyjskim młody oficer ks. W., bogaty bardzo, a jeszcze bardziej hulaka. Otóż ten książę, ten dziedzic jednego z przedniejszych imion w Rosyi, ten wielki pan uczuł nagle dziwne powołanie, zgadnij do czego — do policyi! Sprawował jakiś czas z zamiłowaniem urząd jakiegoś nędznego subalterna, coś w rodzaju komisarza czy rewirowego. Oryginalne upodobanie —

nie prawdaż? a tak w naszych warunkach dziwne, że właśni księcia koledzy postawili mu do wyboru albo przeniesienie się z pułku, lub służbę policyjną. Mówiono o tem bardzo dużo w sferach oficerskich i ostatecznie ks. W. został adjutantem jenerał-gubernatora.

Jakiem jest w Warszawie czysto rosyjskie towarzystwo, tego ci określić nie potrafię. — Nikt z nas tam nie bywa, nikt go też nie zna, a doprawdy nie wiem, czy wszyscy ci panowie i panie spotykają się między sobą gdzieindziej, aniżeli na urzędowych przyjęciach w Zamku i na rzadkich wieczorach w „Klubie Russkim.“

Na tem kończę mój list o Rosyanach w Warszawie. I znowu jak przy pierwszym zastrzedz się muszę, że nie jest on zupełnym i całkowitego obrazu nie przedstawia. Starałam się głównie nakreślić ci tu sylwetki wybitniejszej osobistości, nietylko bardziej w mieście znanych, ale zajmujących znaczniejsze stanowiska i przez to na ogólne nasze położenie wpływ mających. Takie bowiem tylko mogą szerszy ogół polski obchodzić. Innych, cichych, bez stanowiska, a zatem i bez wpływu, spokojnych, często uczciwych, bardzo często łotrów skończonych, pominęłam wielu. Znaczna liczba utonąć musiała w ogólnych charakterystykach i typach. Zastrzegam sobie także że to, co mówiłam powyżej o urzędnikach, odnosi się specyalnie do Rosyan. Polacy wejdą w zakres jednego z następnych listów. A teraz kończę, bo mi już pilno zająć się naszem towarzy-

stwem polskiem w Warszawie i jemu przypatrzyć się trochę bliżej. Tylko z góry cię uprzedzam, że tu żadnych sylwetek się nie spodziewaj i osobistych szczegółów nie szukaj. W naszych stosunkach absolutnie to niemożebne. Naruszać nikogo nie myślę, nazwiska więc zostawiam do osobistego się z tobą widzenia, a jaknajściślej postaram się zamknąć w ogólnej charakterystyce i zbiorowych typach. — Wprzód jednak jeszcze trochę o naszem ciele dyplomatycznem.

LIST III.

Nasi Konsulowie.

TREŚĆ: Ciało dyplomatyczne w Warszawie. — Podział konsulatów. — Rzeczywiste i tytularne. — Baron Rechemberg. — Jego charakterystyka. — Wpływ za Berga. — *Agent provocateur.* — Przygoda nad Bugiem. — Baron Brenner von Felsach. — PP. Oliwa, Wysocki i Gietschke. — Baron Kraus. — P. Bayard i baron Finaud. — P. Mansfield i jego żona. — Raporta o Unitach. — Pułkownik Maude. — Konsulowie tytularni. — Mania finansistów. — Anegdoty. — Mowa....... — Żałoba dyplomatyczna. — Urzędnik Ministeryum spraw zagranicznych.

Kiedy już poznałaś nasz świat urzędowy, przypatrz się z kolei — ciału dyplomatycznemu Warszawy. Tak, my tu mamy naszą dyplomacyę i jak na cyfry nawet bardzo liczną. Warszawa podobnie jak Peszt posiada w swych murach jeneralne konsulaty, które bynajmniej nie czysto handlowe mają cele. Znaczenie ich może większe niż w Peszcie, bo bardziej polityczne, są to raczej legacye hierarchiczne, zależne od ambasadorów w Petersburgu, w ważnych jednak razach całkiem samoistne i korespondujące wprost z gabinetami. Wielu naszych dawnych konsulów wyszło już na posłów i ambasadorów i w karyerze młodych ludzi Warszawa

zajmuje miejsce bardzo wybitne, jest etapem przejściowym, z którego idzie się zwykle na Wschód lub dalej w głąb Rosyi. Pod względem reprezentacyi dyplomatycznej była kiedyś Warszawa daleko lepiej uposażona niż obecnie. Z wyjątkiem jedynie Prus, które taksamo dawniej, jak teraz bardzo inteligentnych miały tu konsulów, od 1836 roku począwszy, inne państwa widocznie daleko mniej dziś dbają o należyte obsadzenie tutejszego dyplomatycznego stanowiska. Ludzie, co pamiętają czasy dawniejsze, wspominają mianowicie Anglię i Francyę, które staranny czyniły wybór swoich reprezentantów w Warszawie. Jeszcze przed wypadkami 1863 r. i wśród nich, mieliśmy tu p. Valberaine'a, konsula francuskiego, bardzo inteligentnego człowieka, a w konsulacie angielskim mr. W. White, dziś ambasadora w Konstantynopolu. Za Mikołaja wybór był jeszcze staranniejszym. Później nastąpiło ogólne w tym kierunku obniżenie. Trzeba jednak odrazu odróżnić konsulaty poważne, rzeczywiste, od tytularnych tylko, sprawowanych przez miejscowych kupców i bankierów. Tych ostatnich liczba przeważająca i jeżeli chcesz wedle tytułów obliczać nasze ciało dyplomatyczne, to personal jego dojdzie do imponującej cyfry kilkudziesięciu osób. Do pierwszej kategoryi zaliczać tylko mogę reprezentantów czterech wielkich mocarstw: Niemiec, Austryi, Francyi i Anglii, do drugiej: Belgię, Włochy, Holandyę, Szwajcaryę, Hiszpanię, Szwecyę, Stany Zjednoczone, Persyę i Peru, bo i ten kraj posiada swego konsula w Warszawie.

Pierwsze cztery mocarstwa mają tu swoje jeneralne konsulaty, a na czele ich osoby, z któremi, jeżeli chcesz dobrze towarzystwo warszawskie poznać, muszę cię najprzód zaznajomić. Bez wpływu na nasze życie towarzyskie a nawet i sprawy oni nie są i niektóre z tych figur są i ciekawe, i pod każdym względem bliższej znajomości warte. Zaczniemy zaś od najwybitniejszej i najbardziej wpływowej.

Jeneralnym konsulem niemieckim jest baron Rechemberg. Osiadły w Warszawie od lat dwudziestu kilku, pan baron nietylko z wieku i stanowiska jest dziekanem naszego ciała dyplomatycznego. Panuje on nad swymi kolegami inteligencyą, sprytem i wpływem, jaki tu umiał sobie w wielu sferach wyrobić, używa też nietylko powagi, ale raczej przewagi. Za hr. Berga głosu jego słuchano w Zamku niejednokrotnie; powiadają, że on to właśnie podsunął Namiestnikowi myśl nakładania kontrybucyj i konfiskat, dowodząc, że w ten sposób ruch się da najszybciej stłumić i że ten środek teroryzowania będzie najpraktyczniejszym. Ważniejsze nominacye i rozporządzenia nie obchodziły się bez jego udziału. Była to zenitowa epoka jego znaczenia. Typu wybitnie pruskiego, stary ale rzeźwy, o wiecznie czerwonej twarzy i w kasztanowatej peruce, Rechemberg przypomina mi zawsze owego Van der Krafta z *Dory* Wiktora Sardou, dyplomaty-ajenta, coś w rodzaju więcej może policyjnego niż politycznego dygnitarza, który wszystko zrobi, aby tylko wiedzieć o wszystkiem i rząd swój dokładnie informować.

Pod tym względem muszę mu oddać sprawiedliwość — jest on doskonałym ajentem i stanowiska swego nie pojmuje jako synekury i bióra do załatwiania spraw handlowych, lecz zręcznie nadaje mu wyższą polityczną barwę i jest raczej rezydentem pruskim w Królestwie Polskiem, aniżeli zwyczajnym konsulem. Kraj nasz i jego ludzi zna doskonale, umie odrazu wybornie ocenić doniosłość każdego wypadku, rozróżnić najmniejsze odcienia, zaznaczyć każde szybsze uderzenie pulsu, każdy ruch bardziej przyspieszony. Na nikogo się nie ogląda i niczego się nie boi. Jemu nie idzie o to, aby się wyższym sferom tutejszym w czemkolwiek nie narażać, on ustępstw żadnych nie zrobi, a jeżeli się na nie zdecyduje, to tylko pozornie, na oko, bo w gruncie on zawsze na swojem postawi. I kiedy konsulat austryacki nigdy nie obchodzi uroczyście imienin lub urodzin swego cesarza, z obawy, aby mu tego nie wzięto w Zamku lub na Ratuszu za złe, kiedy bar. Brenner nie chciał się nawet w dzień jubileuszu cesarza Franciszka Józefa zgodzić na uroczyste nabożeństwo i wspólną ucztę, bar. Rechemberg corocznie przewodniczy wspaniałej biesiadzie niemieckiej w dzień urodzin Wilhelma, wznosi toasta i posyła telegramy do Berlina.

Poddanymi swego państwa opiekuje się dobrze, naturalnie o ile nie są Polakami, chociaż i wówczas nawet prędzejby się za nimi wstawił, aniżeli konsulat austryacki za swoimi. Znać w nim siłę i powagę nietylko tych, których reprezentuje, ale

i samego reprezentanta. Chytry, bardzo bystry, ma doskonały węch i potrafi się zmienić jak kameleon, stosownie do wiatru, jaki z Berlina zawieje. Były czasy, że po mowie Skobelewa p. Rechemberg jawnie dawał się słyszeć z pogróżkami i co więcej, występował otwarcie w roli *agent provocateur*. Słyszałam sama, jak na pewnym wieczorze do kilku ludzi poważnych odzywał się podczas pobytu Skobelewa, że teraz właśnie byłby czas, aby Polacy zmądrzeli i jawnie się do Prus przechylili, a nawet nie szkodziłoby *„qu'on fasse quelques bétises“*, bo to dałoby Niemcom asumpt do wystąpienia.

Rusofilem bynajmniej nie jest, chociaż za takiego u niektórych płytkich głów na Zamku i gdzieindziej jeszcze uchodzi. Jego rusofilstwo polega na tem, że o Polakach, gdy mu potrzeba, ozwie się z lekceważeniem i do wszelkich kroków represyjnych zachęci i popchnie. Na tem właśnie się łapią i naiwnie w przyjaźń jego i gorliwość służby wierzą. Chytry to jednak Prusak, który nienawidzi nas po krzyżacku — to prawda — ale i Rosyan w sercu bynajmniej nie chowa i jeden, jedyny ma tylko na względzie interes t. j. aby wszyscy pracowali dla króla pruskiego. Najwięksi też nasi germanofobi rosyjscy tańczą nieraz, jak on im zagra, i sami nawet nie wiedzą, jak często dali się nakłonić do czegoś, co tylko sprzyjać mogło jego interesom. Zręczny jest pod tym względem i sprytny, wszędzie ma swoich ludzi, o wszystkiem wie, o wszystkiem donosi. — Najmniejsza bagatelka nie ujdzie

jego bystrego wzroku. — Zwróć tylko uwagę, że ilekroć który z tutejszych dzienników z byle jakiej racyi odezwie się trochę, nie powiem życzliwiej, lecz mniej ostro o Bismarku lub Niemczech, wnet podobne wystąpienie zaznaczonem będzie w *Nord. Allg. Ztg.*, bo w konsulacie wszystko czytają i najdokładniejsze raporta z prasy ślą do Berlina. Pod tym względem ma on wydelikacony węch i doskonale wyrobione przez kilkunastoletnią obserwacyę poczucie. Kiedy podczas ostatniego pobytu cesarza toczyły się tak długie pertraktacye o to, czy Aleksander III. wstąpi do jakiego kościoła katolickiego, a w Zamku robiono wszystko, aby go od tego zamiaru odwieść, i kiedy sam cesarz z własnej inicyatywy zatrzymał się przed kościołem św. Aleksandra i wszedł tam na chwilę z żoną i następcą tronu — nie upłynęło minuty, a wnet poleciała depesza o tem do Berlina z dodatkiem, że przy tej jedynej okazyi lud powitał monarchę sympatycznym okrzykiem i że zresztą cały wjazd jego odbył się wśród grobowego milczenia prawdziwej publiczności.

Raporta Rechemberga będą z czasem jednym z najciekawszych dla nas materyałów z tajnego archiwum pruskiego, a jest ich tam chyba niejeden wolumin, bo żadne ministeryum w Petersburgu nie posiada tak dokładnych o wszystkiem, co się u nas dzieje, informacyj, jak ks. Bismark. — Jestem przekonaną, że każda z wybitniejszych osobistości tutejszych ma już oddawna swoją w nich charakterystykę i specyalne akta, ustawicznie uzupełnia-

ne i że gdyby kiedykolwiek, co nie daj Boże, do Królestwa weszli Prusacy, obracaliby się tu, jak we własnym kraju. Przed paru laty, kiedy stosunki między Rosyą a Niemcami były tak naprężone, pewien wyższy oficer sztabowy opowiadał mi, że w zamku widział mapę dowodzącą, że wszystkie ważniejsze punkta strategiczne po tej stronie Wisły są już oddawna w rękach pruskich. Tu most na rzece, a przy nim młyn, a kto tego młyna właścicielem? jakiś kolonista niemiecki. Tam znowu lasek, bardzo w danym razie ważny. Czyją on własnością? także pruskiego kolonisty. W tem znowu miejscu można przejść rzekę w bród, czyje grunta na jednym i drugim brzegu? Niemca-kolonisty. I tak we wszystkiem. Któryś ze Skobelewczyków zadał sobie dużo trudu i objechawszy cały kraj, wszystkie te punkta na mapie oznaczył. Mapie się w Zamku przypatrywano, ale kiedy Skobelewowska fantazya minęła, złożono ją *ad acta* i kolonizacya niemiecka postępuje w Królestwie nie bez pewnego systemu i militarnych widoków.*)

---

*) Pewien obywatel z Podlaskiego opowiadał mi, że przed paru laty do majątku jego przyjechało kilku sztabowców rosyjskich, by wyznaczyć bród na Bugu. Wzięli więc najwytrawniejszych rybaków, przeszli z nimi rzekę, bród na miejscu wyznaczyli, a gdy przewodnikom dali za fatygę po 3 rublowym papierku, ci niezadowoleni z tak małego datku, na pożegnanie poczęstowali ich następującą nowiną: — Łońskiego było tu trzech Niemców, sami doskonale wiedzieli, gdzie można przejść, ale sprawdzić to chcieli i dali nam za to nie jakieś tam papierki, ale takie złote sztuki, za któreśmy wzięli więcej niż po 8 rubli.

Nowa z tego próbka, że posada p. Rechemberga nie jest bynajmniej synekurą, i że konsul jeneralny Niemiec na darmo czasu nie traci. Pracowitym musiał być dawniej bardzo, dziś już stary, więc używa wczasu, ale swoje zawsze zrobi i dopilnuje; w towarzystwach mało bywa, chociaż zna prawie całe miasto; spotkać go możesz tylko w niektórych salonach arystokracyi finansowej. W Berlinie używa wielkiego zachowania i u ks. Bismarka jest doskonale notowany. On jeden w Skierniewicach przypuszczony był do narad i całemi dniami przesiadywał w apartamentach kanclerza. Najlepszy zaś dowód, jak jest swemu rządowi pożyteczny i w Warszawie niezbędny, w tem, że pomimo tyloletniej służby i wielkich zasług tak długo nie awansuje i na wyższą posadę przeniesionym nie zostaje. Hierarchicznie biorąc, dawno już powinien być posłem przy jakim drugorzędnym dworze, trzymają go jednak tutaj i jestem przekonana, że długo jeszcze będzie siedział na skromnej posadzie jeneralnego konsula w Warszawie, tak im jest potrzebny i pożyteczny. Osobiście figura charakterystyczna, w formach ciężka, przyzwoity, lecz w obejściu czasem zbyt poufały, rubaszny, to znów sztywny, Prusak czystej krwi i pod tym względem typ skończony. Wszakże po świecie obyły, ztąd nie bez pewnej światowej zaprawy, ożywienia i dowcipu w rozmowie, przy okrutnej dozie blagi i kłamstwa. Przyjaciół tu niema, ale też o nich nie dba, w kołach rosyjskich boją się go do pewnego stopnia,

bo wiedzą, gdzie jego stosunki sięgają, i że niebezpiecznie z nim zadzierać, tak bowiem jak on uszyć komu butów i nieznacznie skompromitować nikt nie potrafi.

W tem, co mówi, jest pewna brutalność siły; przy całym swoim sprycie nie dyplomatyzuje, lecz rąbie otwarcie i śmiało. W danej chwili krytykować będzie rząd tutejszy, wyśmiewać jego niedorzeczności, da do zrozumienia, że głupcy powinni się raz zdobyć na energię i „coś urządzić“, to znów przy zmianie prądu pochwali to wszystko, co dawniej ganił i powie *qu'avec vous on ne peut pas agir autrement* i skoro nie umieliśmy korzystać z chwili, słusznie teraz cierpimy i t. d. W gruncie nienawidzi nas a jeszcze bardziej lekceważy, germanizator, i *Drang nach Osten* ma w nim najgorliwszego poplecznika. Jak niegdyś jego poprzednik za Stanisława Augusta, Buchholz, przy interesach politycznych robi także państwowo-finansowe. Wychodząc z zasady, że skoro Rosya okłada poddanych niemieckich podatkiem paszportowym, więc i Niemcy nawzajem powinni ściągać z poddanych rosyjskich podobny haracz, zaprowadził wizy paszportowe, których dawniej nie było, i każdy jadący do Niemiec musi wprzód opłacić taksę w konsulacie, inaczej go bowiem na granicy pruskiej nie puszczą. Innowacya ta przynosi podobno konsulatowi tutejszemu poważną sumę, i w części przyczynia się do pokrycia kosztów utrzymania. Naturalnie, że i jemu nawzajem podniesiono za to pensyą i że, jak na

Warszawę i na stanowisko, jakie zajmuje, doskonale jest uposażony. Wogóle biorąc, człowiek to bardzo zręczny i ajent wytrawny i zobaczysz, że nie będę fałszywym prorokiem, przepowiadając mu w razie jakich ważnych zmian w Królestwie, okupacyi pruskiej np., bardzo wielką rolę i pierwszorzędne stanowisko, jeśli Bóg da mu życie, bo mimo czerstwej miny i rudawej peruki jest to człowiek bardzo stary. Konsulat niemiecki mieści się przy ulicy Niecałej, pod Nr. 8 i zajmuje lokal niezmiernie skromny, brudny i ciasny. Na pozór zdawałoby ci się, że to najpodrzędniejszy z konsulatów. Tymczasem to pierwsze skrzypce naszego ciała dyplomatycznego. W danym razie, jeżeli idzie o wspólny jaki krok w Zamku, *môt d'ordre* daje pan Rechemberg i on to zwykle przewodniczy wszystkim urzędowym audyencyom wszystkich konsulów u jenerał-gubernatora. Żona i dzieci jego mieszkają za granicą, więc domu u siebie nie prowadzi i żadnych przyjęć nie daje. Raz do roku obchodzi wraz z kolonią uroczystym składkowym obiadem w hotelu urodziny ces. Wilhelma i wówczas na tę ucztę zaprasza tych dygnitarzy tutejszych, którzy posiadają ordery pruskie. Nieuczynny do najwyższego stopnia, taką już sobie wyrobił tu reputacyę pod tym względem, że go nikt o nic nigdy nie prosi i stosunków oraz wpływów jego nie używa.

Reprezentantem Austro-Węgier był dawniej baron Brenner von Felsach, później poseł pełnomocny przy dworze portugalskim. Człowiek to uczciwy,

ale też nic więcej, typ skończony dyplomacyi austryackiej starego, *tranchons le mot* — niedołężnego autoramentu. Gatunek ten podobno niezupełnie jeszcze u was wymarł, ale rzeczywiście nie mogę naprawdę zrozumieć, dlaczego właśnie do Warszawy najprzedniejszy jego okaz przysłano i tyle go lat tutaj trzymano. Jeśli to był „wyższy system“, to go winszuję hr. Andrassemu i jego następcom, bo nie przypuszczam nawet, aby osobistość br. Brennera była w Wiedniu dla kogokolwiek tajemnicą, skoro p. Kallay, będąc jeszcze szefem w ministeryum spraw zagranicznych, zapytany raz o niego przez pewnego politycznego turystę, odrzekł całkiem otwarcie: *N'allez pas chez Brenner, il ne vaut-pas la peine.* Osobiście człowiek bardzo dobrze wychowany, dobry, nadzwyczaj uprzejmy i ugrzeczniony, w towarzystwie miły, przez damy niezmiernie lubiany; *Kurmacher,* pomimo wieku i siwych faworytów, pierwszej klasy, był on reprezentantem nie Austro-Węgier, lecz raczej dawnego, biurokratycznego *Schlendrianu,* co to zaśniedział w swych pojęciach, pomimo, że wszystko dokoła się zmieniło, pozostał zawsze sobą. Jedyną jego troską i zadaniem dyplomatycznem było, aby broń Boże nie posądził go kto o sprzyjanie Polakom. Bał się tego zarzutu, jak ognia, i na każdym kroku bronił się przed nim, jakby przed grzechem śmiertelnym. Ta myśl tak zaprzątała jego umysł, że po za nią nic innego nie widział i nieraz najprostszej nie mógł pojąć rzeczy. Kiedy szło o adres do cesarza

Franciszka Józefa w dzień jego jubileuszu od tutejszej kolonii austryackiej, upierał się koniecznie, aby tekst był cały po niemiecku, chociaż sami Czesi przyznali, że skoro olbrzymia większość poddanych austryackich w Królestwie jest polską, więc w ich języku należy adres zredagować, a tylko przekład niemiecki dołączyć. Innym znów razem, przy zaślubinach Arcyksięcia Rudolfa przeciwnym był bardzo, aby adres przez osobną posłać deputacyę, lecz chciał go zakomunikować zwyczajną drogą urzędową, naturalnie dlatego, aby po kilku miesiącach doszedł swego celu i żadnego wrażenia nie wywarł. Słowem, w podobnych wypadkach reprezentant Austro-Węgier zapoznawał iście konieczne stanowisko. Nietylko, że nie zachęcał swojej kolonii do wyrażania uczuć wierności i przywiązania do swego monarchy, lecz przeciwnie na każdym kroku okazywał wahanie się i lękliwość, sądząc naiwnie, że poczytanem to mu będzie za roztropność i wielką zręczność dyplomatyczną i że tem właśnie swemu cesarzowi dogodzi. Przykre go też opanowało zdziwienie, gdy jeden z członków kolonii austryackiej, nie zważając na fochy i „finezye“, zabrał adres do Wiednia, wręczył Arcyksięciu i był nader łaskawie przez Cesarza i Cesarzewicza na specyalnych audyencyach przyjęty. Przebudził się wówczas staruszek, przetarł oczy i dopiero zoryentował się, że po kilkunastu latach jednak stosunki się nieco zmieniły i że dawny *Schlendrian* niezawsze dobrej udziela rady.

Czego ten konsul właściwie się bał i na co się

oglądał, tego, przyznam ci się otwarcie, pojąć nigdy nie mogłam. Wszakże Niemcy obchodzą co roku urodziny cesarskie, wszakże nawet poddani francuscy urządzają bankiet w święta Rzeczypospolitej, naturalnie pod egidą swego konsula, dlaczegóżby jeden tylko Cesarz austryacki miał być pozbawiony honorów, oddawanych mu w tym dniu nawet w najodleglejszych krańcach świata? O swój rząd chyba mu nie szło, bo przecież tak dziecinnych instrukcyj żaden gabinet by nie dawał, więc zależało mu może na tutejszych figurach i na tem, aby nie posądzano go w kołach rosyjskich o chęć wywoływania demonstracyj. I ta obawa była zbyteczna.

Opowiadano mi, że w dzień jubileuszu Cesarza Franciszka Józefa, dygnitarze tutejsi, obdarzeni orderami austryackiemi, wyczekiwali tylko zaproszenia na uroczyste nabożeństwo i ucztę, aby je jak najskwapliwiej przyjąć, tak im podobny obchód wydawał się rzeczą prostą i naturalną. Z wielkiem zdziwieniem dowiedzieli się, iż w tym dniu właśnie bar. Brenner wyjechał umyślnie z Warszawy i że owa święcona na całym świecie przez kolonie austryackie data, minęła w jednej tylko Warszawie głucho i cicho. A więc była to chyba „wyższa polityka“, która ostatecznie na członków tutejszej kolonii austryackiej bardzo przykre zrobiła wrażenie i gdyby nie wstawiennictwo kilku poważniejszych ludzi, osobiście baronowi życzliwych, cała sprawa już wówczas dostałaby się do gazet, a kto wie, czy nie wysłanoby gremialnej do ministeryum skargi. —

W lękliwości swej był bar. Brenner konsekwentnym i zawsze, czy to z okazyi powitania przejeżdżającego arcyksięcia Karola Ludwika, lub przy innych jakichkolwiek sposobnościach występował z zastrzeżeniami. Przy konsulacie austryackim niema dotychczas np. żadnego *Hilfsvereinu,* chociaż egzystuje on przy konsulacie francuskim, a zagranicą przy wszystkich innych niemal austryacko-węgierskich, a stowarzyszenie takie byłoby niezmiernie pożyteczne, bo poddanych waszych jest w Królestwie około 30.000, i nieraz bieda i nędza wśród nich tak wielka, że nie mają za co do domu powrócić. Ale żądać od p. bar. Brennera jakiejś inicyatywy, byłoby to wymagać niepodobieństwa. On siedział tylko tutaj, aby załatwiać „kawałki“, legalizować podpisy. Wszelką inną energiczniejszą trochę działalność uważał już za niebezpieczną, więc drżał przed nią i uchylał się. Nietylko sam mało robił, ale innym jeszcze robić nie pozwolił i każdego bardziej ruchliwego vicekonsula starał się hamować i gorliwość jego krępował. — Sam baron o Bożym świecie nie wiedział, żartowano z niego, że nie było mu znanem to, co pisywały gazety tutejsze i o czem publicznie w całem mieście mówiono. Nic nie robić, nic nie wiedzieć, siedzieć cicho i spokojnie się dosługiwać wstęgi św. Stanisława I. klasy, która przecież na piersiach bardzo ładnie wygląda, oto była cała bar. Brennera „wyższa polityka!“ Złym on nie był, nawet wszystkie te jego śmieszne obawy i względy nie pochodziły bynajmniej z braku życzliwości

ku Polakom. Nie; owszem, on nas osobiście lubił i krajowi bardzo dobrze życzył, tylko poprostu był to zaśniedziały i niedołężny biurokrata, który ani do pozycyi, którą zajmował, nie dorósł, ani obowiązków, które na nim spoczywały, nie pojmował. Że to wszystko kolonię austryacką bardzo drażniło, że zwłaszcza porównując jego postępowanie z tą powagą, wpływem i śmiałością, z jaką zawsze postępował konsul niemiecki, czuli się wasi *Landsmanni* niejako upokorzeni i niejako w swej państwowej dumie draźnieni, to przecież rzecz całkiem naturalna. — Pomimo wszystkiego baron Brenner nie umiał nawet wyrobić sobie chociażby średniej powagi w kołach urzędowych. Nikt się z nim nie rachował i nikt się na niego nie oglądał i nie wiem zaiste, czego się tak ciągle bał, bo na prawdę nikt tu na „poczciwego barona“ nie zwracał uwagi i nikt go tak bardzo nie kontrolował. W salonach tutejszych bywał dużo i wszędzie, a panie żałowały bardzo, skoro nareszcie zabrano go do Portugalii na stanowisko tak jego zdolnościom i usposobieniu odpowiednie. Tam „reprezentować“ potrafił on doskonale, wygląda imponująco, nosi bardzo ładne ordery i wstęgi, a jakby przyszło kiedy jakie małżeństwo urządzić, z podobnej arcytrudnej misyi wywiązałby się niewątpliwie znakomicie....

Następcą bar. Brennera został bar. Krauss, podobno poprzednio wysoki urzędnik w ministeryum spraw zagranicznych w Wiedniu. Człowiek to całkiem innego niż „poczciwy baron“ pokroju, inteli-

gencya bystrzejsza, i ruchliwość większa, i inne całkiem pojęcie stanowiska. Spokrewniony z rodzinami polskiemi, włada naszym językiem wcale nie źle, chociaż z pewną trudnością, interesuje się wszystkiem, obserwacyę ma trafną i niezawodnie prędko w stosunkach zoryentować się potrafi. — Zdolność to niezaprzeczona i umysł bystry wyrobiony. Z Wiednia pisano mi o nim, że podobno nie bardzo lubi Polaków; tu znowu *Nowoje Wremia* napadła kiedyś na niego za to, jakoby miał być całkiem polakofilem. Gdzie prawda, oznaczyć trudno. W każdym razie, gdyby nawet wersya wiedeńska była prawdziwą, wówczas trzeba mu przyznać, że niechęć swoją umie pogodzić z dyplomatycznem i dobrze wychowanego człowieka stanowiskiem.

I dlatego potrafił sobie wyrobić stosunki towarzyskie — w wielu domach bywa i wszędzie zrobił bardzo dobre wrażenie. Poważny to człowiek i dyplomata bardziej seryo, na bojaźliwego nie wygląda wcale, a zręcznym z pewnością być potrafi. W sile wieku, lat około 40, ma twarz wielce sympatyczną więcej słowiańską niż niemiecką, obejścia ujmującego, dużo wie i wiedzieć się stara. Na powagę bynajmniej nie pozuje, a w ogóle robi na mnie wrażenie dyplomaty ze szkoły Kallaya, a ta podobno u was jedyna dobra, bardziej przędsiębiorcza i ruchliwa. W każdym razie interesa austro-węgierskie na tej zmianie zyskały wiele i mam jakieś przeczucie, że baron Krauss powoli stanowiskiem, wpływami i znajomością kraju stanie do swego niemieckiego kolegi

w tym samym stosunku, co Austrya w przymierzu do Niemiec.

Najlepszy dowód, że w Wiedniu baron Brenner był dobrze znany, jest ten — że wybierano mu zawsze zdolnych i uczciwych vice-konsulów. Czas jakiś był nim dzisiejszy poseł przemyski p. Wysocki. Urzędował on w Warszawie dość krótko, bo baron Brenner bał się i tego, że p. Wysocki był Polakiem, po polsku mówił i miał tę w oczach swego przełożonego niezmierną wadę, że starał się wszystko wiedzieć i mieć zawsze jaknajbardziej szczegółowe informacye. Młodszemu żywiołowi, młodszej szkole, trudno się było ze starym *Schlendrianem* zgodzić, krępowało go też niemało zwierzchnictwo barona, bo darł się do samodzielniejszej pracy i na załatwianiu kawałków nie pragnął poprzestać. Dostał też niebawem awans do Niżu, a teraz z karyery dyplomatycznej przeszedł na poselską, na której warszawscy jego przyjaciele życzą mu szczerze powodzenia, pewni, że na tej drodze widoczniej będzie mógł okazać swe zdolności i praktykę zdobytą w urzędowaniu.

Po p. Wysockim był vice-konsulem austryackim także bardzo krótko p. Oliwa, późniejszy dyrektor policyi w Sarajewie. Młody ten człowiek, bystry i zdolny, pochodził z rodziny urzędniczej dawniej we Lwowie osiadłej, znał doskonale nasz język i czuł się Polakiem. — Zmarł w Wiedniu na chorobę piersiową, która go przedwcześnie strawiła, a tu zostawił wielu przyjaciół i bardzo sympatyczne wspo-

mnienie. — Miejsce jego zajął także młody wychowaniec akademii oryentalnej p. Pietschke. Spotykałam go często, lubię go bardzo dla jego rzadkich salonowych zalet i istotnego do muzyki talentu, a z wielu stron słyszałam o nim dużo dobrego. Chociaż nie Polak (pochodzi z Morawy), językiem naszym włada doskonale, dużo czyta i dużo wie, w Warszawie zaaklimatyzował się wybornie, miał tu stosunki rozległe i dobre i zdaje mi się, że obserwator z niego poważny i wytrawny. — Grzeczny, ujmujący, uczynny, ma pewną bystrość, która powinna w karyerze jego bardzo mu być pomocną; zręcznym jest i ruchliwym, ogólnego tu używał szacunku i sympatyi i w każdym domu bywa nietylko miłym, ale i pożądanym gościem. Członkowie kolonii austryackiej chwalą go bardzo za szybkie i energiczne załatwianie interesów i za poważne pojmowanie obowiązku opieki nad poddanymi swego państwa. Przed rokiem przeniesiono go na konsula do Jass.

Rzeczpospolitą francuską reprezentuje obecnie p. Bayard, a do niedawna stanowisko jeneralnego konsula zajmował całej Warszawie doskonale znany i bardzo na jej bruku popularny, zmarły niedawno bar. de Finot. O p. Bayard niewiele ci mogę powiedzieć: wygląda, jak wszyscy urzędnicy francuscy za nowego porządku rzeczy. Przyjechał tu z Tryestu i zajmuje się wyłącznie sprawami handlowemi. Człowiek oczytany, zdrowego zdania, bardzo ostrożny, towarzyskich zalet i dowcipu właściwego Francuzom zdaje się nie wiele posiadać. *Debaty* czy inny jakiś

dziennik ogłosił niedawno jego raport, zachęcający przemysłowców francuskich do eksploatacyi w Królestwie Polskiem kopalń cynku i żelaza. W raporcie tym znać znajomość rzeczy i pewną statystyczno-handlową rutynę: do stanowiska politycznego nie ma on żadnej pretensyi, a nie wiem, o ile jest słuszną umieszczona niedawno w *Figarze* skarga na tutejszy konsulat, że nie dość energicznie broni kupców francuskich i nie umie chodzić koło ich interesów. Prawdopodobnie odnosiło się to do czasów jego poprzednika, który dostał dymisyę w niepraktykowany w świecie dyplomatycznym sposób. Dla zrobienia dogodności jakiemuś republikanowi w Izbach p. Ferry uwolnił odrazu p. Finot od służby w sposób brutalny i nieprzyzwoity, bo zostawiając go bez miejsca i pensyi, pomimo dwudziestokilkuletniego urzędowania. Tak się nie postępuje nawet z lokajem, a cóż dopiero z jeneralnym konsulem i rzeczywiście są to maniery godne *des nouvelles couches*.

Zmarły bar. Finot kilkanaście lat mieszkając w Warszawie, zżył się z nią tak ściśle, że stał się niemal na jej bruku typową figurą. Dawniej szambelan cesarzowej Eugenii, jeśli za Rzeczypospolitej zachowywał tak długo swoją posadę, to dzięki tylko osobistej protekcyi cesarza Aleksandra II., który bardzo go lubił, i przyjaźni starego feldmarszałka Barjatyńskiego ze Skierniewic. Przedstawiał on tu wykwintną cywilizacyę, zamiłowanie sztuk pięknych, posunięte aż do baletu, politycznie zaś mało co przed-

stawiał wobec rządów i władz tutejszych, ale osobiście był to człowiek bardzo sympatyczny, uczynny, a przy swoich stosunkach z Petersburgiem i Barjatyńskim, niejednemu się starał dobrze zrobić i w interesie dopomódz. Do społeczeństwa tutejszego przylgnął szczerze i tak Warszawę polubił, że chociaż bez miejsca, tu mieszkał. Codzień w teatrze, oswoił już tak oczy ze swym widokiem, że kiedy go w pierwszym rzędzie krzeseł brakło, dziwnie jakoś ta sala wielkiego teatru wygląda. Wszyscy go tu znali i wszyscy lubili, nietylko w salonach i w teatrze, lecz niemniej i w mieście. O politycznych zdolnościach nie mówimy naturalnie wcale, nie było nawet pola do ich rozwinięcia, bo w czasach, w których on w Warszawie urzędował, polityczne interesa francuskie w Warszawie były już żadne i gdyby nawet zapragnął, to nicby już na tem polu nie zrobił....

Dawniej, przed powstaniem, taki konsul p. de Segur, była to figura choć pompatyczna, nieco ztąd śmieszna, ale poniekąd wpływowa, a jeszcze więcej udająca ten wpływ i znaczenie.... Ale dziś.... Więc z tej strony nie popełnił on ostatecznie względem nas przynajmniej grzechów, a jeśli żałujemy tu zawsze jeszcze wszyscy ś. p. bar. Finot, to głównie dlatego, że był to dobrego serca i dobrych chęci człowiek miły, ujmujący, gładki, wybornie wychowany. Choć może nawykły do złych tradycyj Napoleońskiego dworu i towarzystwa, wniósł do naszego dwuznaczną lekkość i zbytnią wolność słowa.

Przyjacielem naszym był i pozostał zawsze wiernym, a chociaż na to bynajmniej nie wygląda, to jednak i on w swoim czasie wysłał do Paryża raport o prześladowaniu Unitów i to napisany, nie przez niego wprawdzie, ale bardzo gładko, barwnie i zajmująco, jakby artykuł do *Revue des deux Mondes,* w której, gdyby się ukazał, więcejby może zrobił wrażenia i przyniósł pożytku, aniżeli dziś, kiedy gdzieś zakurzony leży na pułkach archiwum francuskiego ministeryum spraw zagranicznych. Może go ztamtąd po latach kilkudziesięciu wygrzebie przypadkiem historyk i zadziwi się, że takie gwałty i mordy dziać się mogły w końcu XIX. wieku, w oczach całej Europy i przy niemej a obojętnej tolerancyi wszystkich jej państw....

Raporta o Unitach wsławiły głównie przedostatniego konsula angielskiego Mansfielda, który przeniesiony na rezydenta do Bukaresztu, ustąpił tu swego miejsca pułkownikowi Maude. I jego także nikt nie posądzał, aby siedząc w Warszawie trochę dalej sięgał wzrokiem i o wszystkiem wiedział, a kiedy nowe raporta rząd angielski ogłosił, istnienie ich było niespodzianką dla najbliższych nawet przyjaciół konsula.... Tymczasem p. Mansfield informował się wybornie, każdy fakt notował skwapliwie, z historyą naszych Unitów obeznał się doskonale; wszystko to zreasumował w swoich raportach, które, jeźli sobie przypominasz, napisane były po literacku, z wielką barwnością i powieściopisarskim talentem.... Konsul bowiem Wielkiej

Brytanii uprawiał także i niwę belletrystyczną i później wydał pod pseudonimem jednę czy dwie powieści (tytułu ich w tej chwili nie pomnę), osnutych na tle naszych stosunków. W powieściach tych nie brakło talentu, ale grzeszyły one głównie tem, że autor płytkość warszawskich salonów zgeneralizował na całe wyższe towarzystwo polskie i w wielce niekorzystnem przedstawiał je świetle. Ztąd to tło wyszło ciemno i brudno, a nie pomylę się z pewnością twierdząc, że pewne osobiste urazy i niechęci odegrały w tworzeniu tego romansu ważną rolę.... Ukazanie się raportów unickich pułkownika Mansfielda wywołało ogromne przeciw niemu oburzenie w sferach rosyjskich. Sam wcale inteligentny ale niemiły, złośliwy i kwaśny cynik popularność swą w Warszawie zawdzięczał głównie swej żonie, słynnej niegdyś z piękności i prześlicznych złotych włosów. Pani Mansfield była na bruku warszawskim *pendant* nie do swego męża, lecz raczej do barona Finot. Wszyscy ją tu znali, wszędzie bywała, w stosunkach towarzyskich nie przebierała wcale, mogłaś ją widzieć i w teatrach amatorskich, i w żywych obrazach, na koncertach, w teatrze, w salonach finansowych, arystokratycznych, przemysłowych, mieszczańskich, literackich, słowem była to kontradykcya tego pojęcia, jakie my zwykle o Angielkach miewamy.... Bardziej ruchliwej i wszędobylskiej damy nie znałam. Wprawdzie złośliwe języki mówią.... ale może to wszystko plotki, więc po co je powtarzać.

Za Berga zrobiła ona rzeczywiście dużo dobrego i niejedno ułaskawienie lub złagodzenie kary wyjednała. Postępowała z nim po swojemu, atakowała z taką natarczywością starego Kurlandczyka, że dziwiono się, jak jej to wszystko może uchodzić.... Już to *tupet* miała znamienity, a wpływy i stosunki wśród Rosyan liczne i pożyteczne. Umiała je też na wszystkie strony wyzyskać. Zajmowały ją i interesa polityczne, i teatr i literatura, przemysł, handel, rolnictwo... słowem wszystko. Każdej rzeczy musiała się dotknąć, każdej spróbować i ztąd to mnóstwo chaotycznych bardzo, ale różnorodnych wiadomości, istna encyklopedya chodząca.... W zeszłym roku widziałam ją tutaj, jak jechała do Petersburga, aby uzyskać patent na wyrób wina z... buraków. Obładowana cała rozmaitemi broszurkami, to pokazuje jakąś dysertacyę chemiczną, to znów daje ci do spróbowania flaszeczkę koniaku z owego wina sfabrykowanego, to znów wylicza, jak olbrzymie zyski przyniosłoby w Rosyi podobne przedsiębiorstwo i ileby na niem mogli zarobić akcyonaryusze. Słowem, rozstawszy się teraz z mężem, oddała się zupełnie interesom.... *Elle est aux affaires* i zamierza na winie burakowem odrobić fortunę... Lekka, płocha, nie bez sprytu i inteligencyi, pani Mansfield jakiś czas w salonach warszawskich zajmowała stanowisko nie poważne ale błyskotliwe. Był czas, że bywano u niej bardzo i doskonale się bawiono. Złotowłosa Angielka otoczona była zawsze rojem adoratorów.... Później zmieniło się to bardzo

i raz salon pani konsulowej zaroił się tylko samemi frakami, bo żadna z pań nie przyjechała.... Stało się to z powodu — ale w plotki stanowczo nie chcę się wdawać. Wiele się przez nią i z jej pomocą zrobiło dobrego, więc nie należy w Katońską bawić się surowość. W każdym razie była to kobieta inteligentna, zdolna, zręczna i inaczej pokierowana, mogłaby na zawsze utrzymać dawne towarzyskie stanowisko.

Późniejszy reprezentant rządu królowej Wiktoryi, pułkownik Maude, był dyplomatą gatunku bar. Brennera, tylko, że jego informacye sięgały jeszcze mniej daleko, i nie jestem znowu tak zupełnie przekonaną, czy o zmianie ministeryum w Anglii nie dowiadywał się ostatecznie z odmiennego podpisu na nadchodzących do konsulatu papierach. Byłoby niepodobieństwem mówić o politycznem jego stanowisku, bo nader ograniczony i wojny z Bachusem nie lubił, niesprawiedliwością zaś nie przyznać, że był spokojnym i nieszkodliwym. Cechą jego główną, że lubił bardzo grać, a grał bardzo źle wista, Jakiś czas zajmował się gospodarstwem i założył pod Warszawą fermę wzorową, na której też wzorowo stracił. Mówił źle po francusku, jak każdy Anglik, bywał wiele w świecie, a sekretarza miał Polaka, hr. Morsztyna, który czasem w zastępstwie konsula opiekował się staremi guwernantkami angielskiemi i urządzał w konsulacie angielskim nabożeństwa. Następcy jego pan i pani Grant są na-

tomiast bardzo mili, dobrze wychowani i wybornych form towarzyskich ludzie.

Tytułu jeneralnego konsula Włoch i Belgii używa bankier tutejszy pan Mieczysław Epstein — od którego też zaczynam szereg konsulów tytularnych. Jest ich w Warszawie mnogość wielka, a staranie o powierzenie sobie reprezentacyi jakiegobądź kraiku stały się do takiego stopnia w finansowych sferach naszych powszechnemi, że nawet tak rozumny człowiek jak p. Bloch nie umiał się ustrzedz tej śmieszności i jest konsulem szwedzko-norwegskim. Co w tem za cel i jaka z tego korzyść? — doprawdy dobrze nie rozumiem. Śmieszność większa, niż honor, powaga żadna, bo prócz tamtych czterech inni konsulowie na Zamek nie bywają wcale wzywani i do korpusu konsularnego urzędownie nie są zaliczeni. Cała zaś przyjemność owej „dyplomacyi“ na tem polega, że w dnie galowe można się ubrać w wielki mundur, przepasać przez piersi zieloną wstęgę Lwa i Słońca i pojechać do Soboru na *mołebeń* za cesarza. Każdy z tych panów czyni to z punktualnością wzorową i w przekonaniu, że musi być w cerkwi koniecznie, bo inaczej mieliby mu to za złe. Tymczasem złudna to nadzieja, bo Holandya, Peru i Persya mogą być całe lata wcale niereprezentowane na nabożeństwie cesarskiem, a nikt na to nie zwróci uwagi i p. Giers z pewnością ambasadorom żadnych przedstawień nie poczyni. Zaba wny to wielce typ takiego warszawskiego konsula. Próbował go schwycić jeden z komedyopisarzy, ale

uczynił to niezgrabnie i wielce samej przez się komicznej figury nie wyzyskał wcale. Daleko dowcipniej opisał Sienkiewicz we wstępie do „Listów z Ameryki“ swoją wizytę u konsula Stanów Zjednoczonych i radość, jaką mu sprawił prośbą o zawizowanie paszportu.

Mania konsulostwa wydaje też sfery finansowe na łup śmieszności i czyni ich istną ofiarą dowcipnisiów. Co tu anegdot puszczano o konsulu perskim podczas pobytu szacha, lub ile obiega komentarzy do każdego nowego orderu, jakiemi konsulowie nasi bywają od czasu do czasu przez swych monarchów zaszczyceni! Dla tych to orderów i dla owych mundurów przyjmują oni owe konsulaty i prowadzą nieistniejące interesa, kopiując zawzięcie owego ambasadora od guana z *Doit on le dire* Labicha. Śmieszność, próżność, małostka, zwyczajnie jak na miejskim bruku, czyhają tylko na okazyę, aby się popisać trochę.

Istnieje także osobne bióro dyplomatyczne przy jenerał-gubernatorze, złożone z jednego tylko urzędnika, delegowanego tu przez ministeryum spraw zewnętrznych do legalizowania podpisów konsulów. Wygodna to posada, bardzo miła i spokojna, a o jej posiadaczu wiem tylko tyle, że ma z pół kopy orderów i że puszczono o nim w swoim czasie zkądinąd znany już kalambur: *qu'il n'est pas aux affaires etrangeres mais etranger aux affaires.*

LIST IV.

Życie towarzyskie Warszawy.

TREŚĆ: Kraków i Lwów a Warszawa. — *Tout Varsovie* i jej pojęcie. — Nasze pałace i apartamenta. — Kółka, koła i kółeczka. — Villemain o salonach warszawskich. — Dawniej i dzisiaj. — Arystokracya i finanse. — Salony olgierdowsko-marszałkowskie. — Zakonserwowany przesąd. — Litwinki. — Atrakcya salonów finansowych. — Zbytek i jego krytycy. — Koła wiejsko-szlacheckie. — Świat przemysłowy i mieszczański. — Nasza młodzież salonowa. — Papieros i karty. — Wystawa i wyścigi. — Letnie mieszkania. — Jesień warszawska. — Zakończenie.

Każde miasto ma swoją odrębną towarzyską cechę. Ma ją i Warszawa. Kto zna tylko Lwów i Kraków, kto w waszych jedynie bywał salonach, ten na gruncie warszawskim nie potrafi się tak łatwo i odrazu zoryentować. Uderzy go przed innemi jedna główna, zasadnicza różnica. Każdy przybywający po raz pierwszy do Warszawy nadpełtwiański lub podwawelski *gommeux*, ogląda się przedewszystkiem za tem, co u was nosi miano „towarzystwa“, a co ma być kontradykcyą „miasta“. Otóż oglądanie się takie będzie nadaremnem, bo *la société* w waszem ciaśniejszem pojęciu nie istnieje tu wcale, a raczej rozumianą jest inaczej i w daleko szerszym

zakresie. Może gdzieś cichaczem która z naszych *douairière* robi różnicę między „paniami z towarzystwa“ i „paniami z miasta“, ale podobna nomenklatura nie jest bynajmniej upowszechnioną i nie posiada prawa obywatelstwa. Do „towarzystwa“ należy każdy i każda, kto ma dobre wychowanie i wybitniejsze stanowisko społeczne; „człowiekiem towarzystwa“ może być równie dobrze hrabia, książę, baron i szlachcic, jak inżynier, adwokat, dziennikarz, lekarz, artysta, ziemianin i t. p., jeśli warunki salonowe posiada, ma pewną osobistą wartość, towarzyskie przymioty i dobrą reputacyę. Wyłączności i przywilejów nikt tu nie uznaje, jak nie ma także tego, co wy nazywacie „przewodniemi domami“. Salonu, do którego raz wszedłszy, miałabyś już przez to samo wszystkie inne otwarte, w Warszawie nie znajdziesz wcale. Są u nas koła, kółka i kółeczka, i jeśli chcesz dobrze miasto nasze poznać, musisz nie zasklepiać się w jednem, ale szukać wstępu do wszystkich, bywać tu i tam, a uczynić to możesz spokojnie, bez obawy, że ci ten towarzyski eklektyzm weźmie kto za złe, bo ani pani hrabina nie będzie się krzywić za to, że tańczyłaś na balu u pani adwokatowej, ani nawzajem ta nie posądzi cię dla twoich arystokratycznych stosunków o jakąś nierozsądną chęć imponowania lub chwalbę. Swoboda pod tym względem zupełna, tak samo dla pań jak i dla panów. Salonowej prawowierności nikt tu nie kontroluje, a nikomu nie przyjdzie na myśl klasyfikować domy, w których ten „co się szanuje“, jedynie bywać po-

winien. Skrzywią się czasem na tych, co bywają „u żydów“ tj. w kołach bankierskich i finansowych, ale i to nie tam, gdzie wyście zwykły szukać „towarzystwa“, w sferach arystokratycznych, lecz raczej w kołach obywatelskich, wiejskich, pod tym względem jeszcze drażliwszych i bardziej wyłącznych. Ale i to „skrzywienie“ będzie nader niewinne, raczej pełen wyrozumiałości przycinek, aniżeli ostra uwaga, stawiana kategorycznie: wybieraj między jednem lub drugiem.

Podczas kiedy pojęcie *tout Cracovie* i *tout Léopol* ogranicza się prawie wyłącznie na arystokracyi i tych, co z nią w zażylszych pozostają stosunkach, *tout Varsovie* nie będzie tam, gdzie się same tylko mitry i korony zbiorą. Jeśli się u nas mówi, że na jakimś balu, koncercie, teatrze lub wyścigach była „cała Warszawa,“ to znaczy, że widziano tam i historyczne nazwiska, i finanse, i wielki przemysł, i obywatelstwo wiejskie, sfery adwokackie, literackie, artystyczne, lekarskie itd., słowem wszystko, co miasto posiada wybitniejszego i zamożniejszego. Organizując jakąś zabawę lub przedstawienie publiczne, nie można się na jednem tylko ograniczyć kółku i w jednej zasklepić sferze, bo z pewnością *fiasco* będzie zupełne i zabiegi próżnemi. Trzeba umieć wszystkich pociągnąć i wszystkich zainteresować, a wówczas *tout Varsovie* stanie do apelu, i rzecz się wybornie uda. Kto chce też otworzyć nie salon (bo ten już w dawnem pojęciu jak na całym świecie, tak i u nas prawie zupełnie zniknął), lecz salony

(różnica bardzo wielka), ten również nie wśród jednego tylko kółka zaproszonych musi szukać. Dopiero konglomerat wszystkich sfer i wszystkich stanowisk uformuje ci to, co należy pod salonami warszawskiemi rozumieć. Wytworzy to pewną mozaikowość i różnobarwność — która niejednego może będzie krępować i ogólną zabawę zamrozi, ale natomiast da innym ciekawe do obserwacyi pole, a salonom wielkomiejski charakter.

Warszawa lubi, a co więcej i umie się bawić. Ogólnie biorąc nasze salony mają pozór bardzo elegancki i świetny a zbytkiem w przyjęciach przechodzimy stanowczo wszystkie inne miasta polskie. Wypływa to po części z tego, że gród nasz posiada daleko więcej zamożniejszych domów niż Lwów i Kraków; że ci, co się bawią, mają na to i wychodzą z zasady, że *man muss leben und leben lassen,* ale nie da się także zaprzeczyć, że od lat kilkunastu skalę życia znacznie wyśrubowano, i że nie zawsze jest ona w zgodzie z ogólnym stanem finansowym kraju. Ci, co od was zaglądają tu czasami na karnawał i wyścigi, nie mogą się dość wydziwić naszej zamożności i wykwintnej stopie życia. Dzienniki nasze niejednokrotnie pisały na ten temat łzawe lamenta i budujące kazania, a kiedyś *Kuryer Warszawski* zainaugurował formalną kampanię za „wieczorkami wełnianemi,“ które miały być jakoby wzorem skromnej, a jednak niemniej ochoczej i wesołej zabawy.

W nawoływaniach tych jest dużo prawdy, ale

nieco także i nieuniknionej w podobnych razach przesady. Przeciw nierozsądnym zbytkom, przepychowi toalet, kulinarnym popisom, przesadzaniu się i zgubnej rywalizacyi, trzeba i należy powstawać, ostro je piętnować i do koniecznej w tym kierunku reformy nawoływać, ale z drugiej strony, nie należy nigdy w przeciwną wpadać ostateczność i zbyt radykalnych zalecać środków. Od tego wytwornego i zbytkownego życia, jakie tu zbyt wielu prowadzi, do sielankowych „wieczorków wełnianych,“ na których przy szklaneczce herbaty czytuje się poważnych pisarzy dzieła i wszystkich zgromadzonych okłada się filantropijnym podatkiem, przeskok zbyt wielki, aby podobna rada rzeczywiście usłuchaną została i w wykonanie weszła. Nie należy zapominać, że ruch towarzyski i pewne jego potrzeby dają zarobek całemu drobnemu handlowi, że z niego właśnie żyć jedynie może i musi: rękawicznik, restaurator, tapicer, krawiec, modniarka, ogrodnik itp. Niech więc wydają ci, co mają na to, i których środki finansowe pozwalają, aby sami żyjąc, dali też i drugim przy sobie się pożywić, ale niech to czynią w granicach rozsądku i umiarkowania, niech mniej zamożnych do rywalizacyi nie pociągają i złego przykładu nie szerzą — niech nie śrubują skali życia po nad wszelką normę i nowych dotąd nieznanych towarzyskich potrzeb życia nie wytwarzają. Byłoby to bardzo pożądanem, bo odpowiadałoby istotnemu położeniu rzeczy i kraju a byłoby daleko rosądniejszem i godniejszem wobec wro-

gów, czychających na nasze mienie i drwiących z naszej lekkomyślności. Kraj zaś istotnie w latach ostatnich bardzo zubożał. Ale z drugiej strony należy także piętnując zbytku propagatorów, odezwać się i do tych, co na zły przykład narzekając, niemniej jednak od naśladowania go powstrzymać się nie umieją. Gdzie się obrócisz, słyszeć będziesz wciąż narzekania na zbytki, przepych, nieznane dawniej wymagania i potrzeby towarzyskie, a jednak ci sami krytycy, ogólnym wirem pociągnięci, oprzeć mu się nie umieją i wśród fal jego toną. Tamtych bynajmniej w obronę nie biorę, ale tych znów zapytać muszę, czyja większa wina, czy tych, co nie wydając dziesiątej części swoich dochodów, zbytkowne i wykwintne prowadzą życie, czy raczej tych, co bezrozumnie starając się im dorównać, znajdują się wkrótce na dnie przepaści i pierwsi podnoszą lament na zgorszenie i zbytki. Kiedy widzisz złe, kiedy ze wszystkich stron je pokazują i codziennie fatalne następstwa przepowiadają i skutki, nie naśladuj go i niewątpliwych konsekwencyj unikaj; ale naśladując, narzekać jeszcze, że to konieczność, i przybierać minę ofiary, której nóż na gardle położono, to poprostu tartiuferya i hipokryzya. Zresztą wrócimy jeszcze do tego przedmiotu, bo nim jakiś czas bardzo się zajmowano, a ogłoszone w *Świcie* — listy pośmiertne pani Maryi Raczyńskiej poświęciły kilka bardzo trafnych uwag tym gazeciarskim lamentom i powszechnym na zbytek warszawski narzekaniom.

Każdego, który pierwszy raz do Warszawy zawita, uderza przedewszystkiem jej ruchliwość i ożywienie ulic, przeciągające się aż do późnej nocy. Pod tym względem mamy słuszną pretensyę do rangi stolicy i po Paryżu i Londynie mało które z największych w Europie miast może naszemu Syreniemu grodowi sprostać. Weź n. p. Wiedeń i porównaj go z Warszawą. Nad Dunajem o godzinie 8-ej wszystkie sklepy pozamykane, ulice puste, teatra o 10-ej pokończone, tramwaye wstrzymane, dorożek mało i z trudnością znajdziesz gdzie jaką pierwszorzędną restauracyę otwartą. U nas ruch wieczorny miasta zaczyna się dopiero o tej porze. Żaden z teatrów nie kończy się w zimie przed jedenastą, w lecie jeszcze później; na głównych ulicach ruch powozów nie ustaje nigdy, bo trwa właściwie do 4-ej rano, a zaczyna od 5-ej; wszystkie hotele i restauracye napełniają się dopiero gośćmi koło północy, a tramwaye przestają kursować po jedenastej, wiele sklepów do późnej nocy otwartych, a ulice oświetlone porządnie i na ciemności egipskie i Towarzystwo desauskie nie mamy bynajmniej powodu się uskarżać. Warunki życia kosztowne, to prawda, za to wcale wytworne i dążące do komfortu. Tak dobrze i pięknie budowanych domów, jak w Warszawie, nie w każdem większem znajdziesz mieście; mieszkania w porównaniu z krakowskiemi i lwowskiemi obszerne, czyste, wygodne, a cena ich nie tak znowu wygórowana, jak to zwykła głosić fama i jakby sądzić można z ustawicznych

narzekań *Kuryerów* na „kamieniczników“ i ich wyzysk. Pięknych budowli i starożytnych pałaców dużo jeszcze, pomimo, że większość ich skonfiskowana przez rząd lub dobrowolnie sprzedana w inne przeszła już ręce i innemu służy celowi. Niedawno ukończono restauracyę pałacu Brühlowskiego, który dawniej był rezydencyą margrabiego Wielopolskiego, a później służył za przytulisko to dla komitetu urządzającego, to na czas jakiś dla cenzury i rozlicznych wystaw. Ostatnim lokatorem było Towarzystwo Wioślarskie, po którem wprowadziło się obecnie do wcale starannie odnowionego gmachu bióro telegraficzne. Dawny pałac Radziwiłłów, późniejszy namiestnikowski, jest siedzibą rządu gubernialnego i biur jenerał-gubernatora. W pałacu Tarnowskich przy Krakowskiem Przedmieściu mieści się Bank Dyskontowy, w przysłowiowym Paca sąd okręgowy, w Prymasowskim szkoła junkrów, w Krasińskich Izba sądowa, Badenich archiwa, biskupów krakowskich (przy ul. Miodowej) zakład fotograficzny Mieczkowskiego, Mostowskich dawniej Komisya sprawiedliwości, dzisiaj prezes Izby sądowej, Blanqu'a sklepy i mieszkania prywatne, jak również i Łubieńskich przy ul. Królewskiej i t. d. Dom marszałków sejmowych przy ulicy tegoż nazwiska, ocalał jeszcze zupełnie i jest własnością prywatną, a służy za przytulisko dla jakiejś bawaryi. Towarzystwo Przyjaciół Nauk zamieniono na gimnazyum, a w pałacu arcybiskupim przy ulicy Miodowej środkowy tylko korpus zajmuje nasz arcybiskup i jego konsystorz,

w jednem z bocznych skrzydeł umieszczono komitet cenzury — w drugiem sklepy i lokatorów prywatnych. Ocalały tylko: pałac błękitny ordynacyi Zamoyskich, dwa pałace Potockich (hr. Augusta i hr. Stanisława) przy Krakowskiem Przedmieściu, Ordynacya Krasińskich z piękną biblioteką, odkrytą obecnie od strony ul. hr. Berga, niezgrabny i niesmaczny pałac Uruskich i niedawno wykończony pałac Zawiszów przy ul. Bielańskiej, którego schody zdobi wspaniały plafon Siemiradzkiego, przedstawiający walkę światła z ciemnością. Na placu Ewangielickim wznosi się ciężki i prawdziwie bankierski pałac Kronenberga w stylu nowożytnym wiedeńskim; na rogu ul. Marszałkowskiej, pozornie na zwyczajną kamienicę wyglądający pałac p. Blocha, a w Ujazdowskich alejach kilkanaście lekkich, bardzo gustownych willi wśród pięknych ogrodów, róż i kwiatów. Najładniejsza to niezawodnie część Warszawy, a najpiękniejszą wśród tych alei willa p. Raua, p. Feliksa Sobańskiego, oraz pp. Wernickich i Lilpopów.

Tego, co się nazywa w Paryżu *quartier St. Germain,* u nas wcale niema. Arystokratyczna dzielnica w Warszawie nie istnieje, ale od kiedy miasto zaczęło się rozszerzać ku Łazienkom i Koszykom, wszyscy się przeważnie przenieśli w tamtą stronę. Na Długiej, Miodowej, Senatorskiej, Bielańskiej, St. Jerskiej i t. d. mieszkają dziś tylko kupcy, adwokaci i sądownicy, których ściąga tam bliskość biur i magistratur, za to część miasta po drugiej stronie Saskiego placu, ulica Mazowiecka, Włodzimierska,

Warecka, Bracka i Chmielna, Aleje Jerozolimskie, Zielony Plac i t. d. zmieniły się w centrum towarzyskiego życia; za Alejami Jerozolimskiemi ku Mokotowowi, na Kruczej, Nowogrodzkiej, Hożej, Żórawiej, Wspólnej i t. d. urzędnicy, emeryci, ludzie średnio zamożni, bo mieszkania tam tanie a bardzo wygodne, a przed paru laty otworzono od Nowego Swiata nową ulicę t. z. Foxal, gdzie stanęło kilka pięknych domów, a wśród nich pałac hr. Konst. Zamoyskiego, oraz pałac hr. Konstantego Przezdzieckiego, przepełniony cennemi zabytkami sztuki, a urządzony z artyzmem i gustem prawdziwego znawcy.

Już to Warszawa może się poszczycić wspaniałemi apartamentami i nasi tapicerowie i dekoratorowie na brak roboty uskarżać się nie powinni. Nowoczesne wymagania mody mają tę dobrą stronę, że dziś każdy chciałby mieć w swojem mieszkaniu jaki starożytny mebel, piękny obraz, średniowieczną makatę, gobelin, majoliki, szafę gdańską i t. d. Gust pod tym względem powszechny i zbytek w mieszkaniach może największy. Dawnych szablonowych salonów, w których pod ścianą stała poczciwa, rozłożysta kanapa, przed nią stół okrągły, a dokoła jak żołnierze, w szeregach fotele i krzesła, znajdziesz tu już nie wiele. — Wszędzie wpływ Paryża, a może więcej jeszcze Wiednia, meble różnobarwne, imitacye starożytności, plusze, aksamity i hiszpańskie skóry, wszędzie okna zaciemnione, bronzów i obrazów dużo, nic błyszczącego, jaskrawego, rzucającego się w oczy, a wszystko raczej trzymane w tak

modnych dziś półtonach, miękkie, ciepłe, szarawe.... Chociaż nas starych posądzają zawsze o wieczną tęsknotę za tem, co było dawniej, i uparte obstawanie, że dziś nic już lepszego i piękniejszego być nie może, przyznaję chętnie, że teraźniejszy sposób urządzania mieszkań podoba mi się o wiele bardziej, niż ten, do jakiego przywykłam z czasów mej młodości. A podoba się dlatego głównie, że sztuka zastosowana do przemysłu, teraz naprawdę zaczyna się u nas rozwijać.... Nie wiem, jak tam w Krakowie, ale tu w Warszawie każdy najskromniejszy nawet salonik musi mieć jakiś chociażby mały obrazek bardziej znanego pendzla, jakieś dzieło sztuki, starożytny świecznik, dawną makatę i t. d. Reprodukcye i drzeworyty zeszły do przedpokojów, prędzej ktoś poprzestanie na kretonach, aniżeli miałby mieć gołe ściany w swem mieszkaniu. — Naturalnie, że jak zagranicą, tak i u nas, autentycznych starożytności nikt nastarczyć nie może, więc nasi stolarze robią przepyszne biurka *à la Louis XV.*, kopiują na gwałt wszystkie Stanisławowskie meble z Łazienek i Zamku, sztuka stolarska i dekoracyjna zaczyna u rzemieślników warszawskich robić ogromne postępy, a na wystawach obrazów ruch wielki i o nabywców nie trudno. Wszystkie tańsze i mniejsze rozmiarami obrazy rozchwytywane bywają odrazu. Nie masz nic złego, coby na dobre nie wyszło, a ten niektórych sfer naszych zbytek popiera istotnie przemysł i rozwija sztukę....

Dla zaokrąglenia obrazu powinnabym Ci właści-

wie dać opis kilku najwspanialszych apartamentów warszawskich, boję się jednak wejść w sferę zanadto prywatną i łechtać osobiste próżności. — Wspomnę więc Ci tylko, że w Ordynacyi Krasińskich znajdziesz przepyszną zbrojownię i dużo po Napoleonie pamiątek, wiele bardzo pięknych obrazów i ciekawych portretów, że znów pałac błękitny olśni Cię swojem umeblowaniem w stylu najczystszego *Empire,* pyszną biblioteką, ślicznemi zbiorami i emaliami z Limoges i z Florencyi, kilku bardzo dobremi obrazami. W pałacu Augusta Potockiego śliczne meble, srebrne zastawy, obrazy, bronzy, przypominające wytworny smak dawnych właścicieli. U p. Blocha zobaczysz „Iwana Groźnego“ Matejki i cztery pory roku Makarta, u hr. Maryi Przezdzieckiej spotkasz wspaniałe *atelier* artystki, a w pałacu jej syna hr. Konstantego, obok wielu innych wartościowych rzeczy, pokój jadalny cały ozdobiony rzeźbami z drzewa, wybieranemi po kawałku ze starych domów w Gdańsku, że znajdziesz tam prawdziwy oryginalny komin polski i szafę gdańską jedną z najpiękniejszych, jakie znam. — Zaadresuję dalej miłośników archeologii do pałacu Zawiszów, a amatorów miniatur do p. Lucyana Wrotnowskiego, który posiada ich zbiór rzadki i doborowy; dodam, że kto chce widzieć piękne Stanisławowskie podobno zastawy, niech poprosi o ich pokazanie hr. Stanisława Zyberg-Platera, że śliczną kolekcyę tabakierek posiada znów p. Józef Kościelski, że wreszcie w każdym niemal zamożniejszym

domu warszawskim znajdzie się jakieś dzieło sztuki niepośledniej wartości, a zamiłowanie do takich zbiorów rozpowszechnia się coraz bardziej, schodzi od klas zamożniejszych do mniej zamożnych, nawet do kupców i cukierników, bo świeżo właśnie jedną z nowo otworzonych cukierni ozdobiono bardzo dobrego pędzla obrazem.

Dziś w Warszawie stało się już prawie zwyczajem, że jako *cadeau de noce* ofiaruje się pannie młodej nie same tylko brylanty i biżuterye, lecz ładne obrazy, stare meble, piękną porcelanę, bronzy i t. d. Sztuka dekoracyjna ma tu wielu wśród nas adeptów, a roboty z tego zakresu, wykonane w Warszawie, zbliżają się do pierwszorzędnych wyrobów paryskich i wiedeńskich. Od czasu do czasu który z gazeciarzy czuje się w obowiązku palnąć jaką ognistą filipikę na temat niepopierania krajowego przemysłu, a sprowadzania wszystkiego z zagranicy, lecz wierzaj mi, że i te lamenta bywają często bardzo przesadne i realnej pozbawione podstawy. Że tam czasem ktoś jakąś rzecz, której absolutnie w Warszawie nie dostanie, z zagranicy sprowadzi; że niektóre z pań naszych spekulują często na taniość i wdają się w bezpośrednie z domami zagranicznemi stosunki, to jeszcze nie zbrodnia i nie ogólna reguła. Publiczność nasza, olbrzymia większość sfer towarzyskich, zaopatruje się zwykle u miejscowych dostawców i główną stanowi ich klientelę, a eleganci, posyłający koszule do prania aż do Paryża, i strojnisie, które innej niż od Wortha nie

wezmą sukni, stały się prawie mytem, a przynajmniej bardzo rzadkim wyjątkiem.

Dwa są punkta kulminacyjne w życiu towarzyskiem Warszawy: karnawał i wyścigi. W czerwcu, kiedy równocześnie schodzi się i wystawa i jarmark wełniany, zjazd bywa wielki gości, zwłaszcza wiejskich dużo, nastaje właśnie ta druga epoka warszawskich zabaw, karnawałem letnim nazwana. Od kiedy znam Warszawę, co roku powtarza się zawsze ta sama historya, że w listopadzie i grudniu zaczynają się złowrogie przepowieści, iż karnawał będzie nieszczególny, balów mało, zjazd żaden, bo rok ciężki i zły, zbiory niepomyślne a ceny zboża niskie. Tymczasem nadchodzi styczeń i luty, wszystkie przepowiednie zawodzą, bale sypią się jak z rogu obfitości, Lewandowskiemu puchną ręce i hulamy, jakby za najlepszych i najweselszych czasów. Stosunkowo najmniej bawi się arystokracya, to kółko właśnie, które najbardziej jeszcze, chociaż zawsze z przymieszką *haute finance,* odpowiadałoby waszym krakowskim o „towarzystwie“ pojęciom. Przypatrzmy się z kolei salonom trochę bliżej.

Warszawa posiadała niegdyś tradycyę najświetniejszych w Polsce salonów. Już Villemain powiedział, że po paryskiem najprzyjemniejsze znalazł towarzystwo nad Wisłą. Dawne pamiętniki i wspomnienia młodości osób starszych opowiedzą ci, co to były za salony warszawskie za czasów Kongresowego Królestwa, kiedy przewodniczyła im pani

Ordynatowa Zamoyska w pałacu Błękitnym, a tradycya Puław była jeszcze świeżą i żywą.

Za mojej pamięci, przed laty czterdziestu, mieliśmy tu jeszcze kilkanaście domów, niezmiernie miłych, wykwintnych i istotnie na miano salonów zasługujących. Była jeszcze taka ks. Teresa Jabłonowska, pani Rozalia Rzewuska, Lubomirska z domu, ks. Michałowa Radziwiłłowa, żona naczelnego wodza, pani Liza Krasińska, pani Ludwikowa Małachowska, której trzy piękne córki skupiały około siebie całą niemal ówczesną młodzież, pani Ossolińska, Chodkiewiczówna z domu, Augustowie Potoccy, Aleksandrowie Przeździeccy, starzy pp. Kossakowscy, Ksawerowie Pusłowscy, Kazimierzowie Łubieńscy, Andrzejowie i Augustowie Zamoyscy, pani Róża Sobańska, księżniczka Janina Czetwertyńska. Parę zim spędzili w Warszawie Adamowie i Alfredowie Potoccy, Konstantowie Braniccy, Leon Łubieński okraszał wszystkie zebrania swemi dowcipami, a jenerał Tomasz Łubieński wspomnieniami z epopei Napoleońskiej. Był salon literacki pani Niny Łuszczewskiej, matki Deotymy, było wiele innych, których w tej chwili nie pomnę, a zresztą wszystkich wyliczać niepodobna. Po powstaniu wszystko się rozbiło, znikło i rozstrzeliło. Przez kilka lat nie zbierano się wcale, później nastały rauty z niewinnemi grami, a jeszcze później życie towarzyskie całkiem inne przybrało kształty.

Znikł dawny staropolski, skromny lecz poważny i wesoły s a l o n, a powstały s a l o n y, zbytek w przy-

jęciach, jakiegośmy dawniej nie znały, okazałość apartamentów i toalet, słowem dzisiejsze nasze życie kosztowne, ruchliwe, pełne wiru i gorączki. Dziś wyłącznie arystokratycznego salonu w Warszawie niema, bo i arystokracya nie nadaje przeważnego tonu życiu towarzyskiemu, miesza się ona coraz bardziej z finansami. Ogólny polor więcej kosmopolityczny niż polski, język przeważający francuski, maniery nie do porównania z dawnym, wykwintnym układem, ogładą i grzecznością, poglądy towarzyskie mniej niż w innych miastach ekskluzywne, oswojenie się z myślą i faktem, że niekoniecznie tytuł i historyczne nazwisko daje salonową rangę i powagę, pewna z nad Sekwany importowana trzpiotowatość i swoboda, coraz większy brak pięknych kobiet i pięknych umysłów, wykształcenie powierzchowne czcze i jałowe, rozmowy puste, ubóstwo umysłowe obracające się w kółku plotek i strojów, zupełna nieobecność tego, cośmy dawniej nazywały „matronami,“ chęć zabawy wielka i rywalizacya w przepychu widoczna — oto byłyby główne tej kategoryi salonów warszawskich rysy. Polityka, sztuka, literatura, które gdzie indziej tyle dają żywiołu w rozmowie, mało kogo interesują. Dawniej mogłaś co dzień zajść wieczorem do kilku a nawet kilkunastu gościnnych salonów i najprzyjemniej spędzić czas w ożywionej rozrywce umysłowej; dziś takie salony, takie domy prawie nie istnieją. Panie z tych sfer ubierają się bardzo pięknie, wyczytują chętnie swoje nazwiska w dziennikach, mają tę wielką wa-

dę, że jeśli czasem ukażą się w teatrze, to tylko na operze i podczas występu włoskich artystów. W „Rozmaitości“ ujrzysz je rzadko, a zwłaszcza na tak zwanych premierach, pierwszych przedstawieniach zwłaszcza polskich sztuk oryginalnych. Zapełnienie sali zostawiają wówczas t. z. inteligencyi, sferom mieszczańskim i niższym finansom. Kiedy n. p. dawano w teatrze jubileuszowe przedstawienie „Halki,“ to pomimo, że dochód z tego trzechsetnego widowiska przeznaczony był dla wdowy po Moniuszce, w lożach I piętra nie spotkałeś ani jednego historycznego nazwiska, ani jednej z dam wyższych finansów. Za to na Russel, na Włochach zawsze ich pełno. Koncerta protegują, o ile są w ich kółku „modne“; na takie, na które publiczność warszawska uczęszcza więcej dla zasady i celu, niż dla artystycznej przyjemności (studenckie, puławskie, na kasy rzemieślnicze i t. d.), ukaże się ich tyle tylko, ile zaproszono do sprzedaży programów. To samo z odczytami. Na modnych zalegną wszystkie pierwsze rzędy krzeseł, na innych zaświecą nieobecnością. Dobroczynne są szczerze i do wszystkich dzieł miłosierdzia chętnie przykładają rękę. Wyjątków wśród nich zacnych, rozumnych, poważniejszych dużo, ale nie o te wyjątki idzie mi właśnie, lecz raczej o ogół a przynajmniej o przeważającą jego większość. Młodzież tych salonów rekrutować się będzie różnorodnie. Znajdziesz wśród niej i dziedziców rodu, obywateli wiejskich, i zwyczajnych posagowych łowców, i ludzi poważniejszych, i *des petits crévets*,

których żadnemu kółku i żadnemu salonowi nie brakuje, ale ta młodzież wyłącznie do nich nie należy, bo bywa wszędzie, wszędzie tańcuje i w różnych wodach zastawia swe sieci.

Wogóle mówiąc o tych salonach warszawskich, trzeba raz jeszcze powtórzyć, że o ile dawniej przy skromniejszych wymaganiach życie towarzyskie było bardzo odznaczające się i wabiło udziałem wielu dam wykształconych i niepospolitą obdarzonych inteligencyą — o tyle dziś wszysto co straciło na wdzięku w rozmowie, wykwintności, dowcipie, „ozdobności“ —jak za Księstwa Warszawskiego mawiano— umysłu, stara się zastąpić zbytkownością umeblowania, wystawnością przyjęć i wspaniałością toalet. To też przyznać muszę, że nieraz w towarzystwach ze sfery pracowniczej, kupieckiej, mieszczańskiej znajdowałam łatwiej inteligentniejszą rozmowę, poważniejsze usposobienia i ukształceńszy nastrój umysłowy, którego — trudna rada — ani lukullusowa kolacya, ani najkosztowniejsza toaleta w życiu towarzyskiem żadną miarą zastąpić nie zdoła, i wracając do swojego kółka czułam tem dotkliwiej wielką między dawnemi a nowemi czasy różnicę i znaczne ku upadkowi chylenie się.

Byłabym niezmiernie niesprawiedliwą, gdybym nie zastrzegła się raz jeszcze co do wyjątków i nie zacytowała ich kilka najświatlejszych. Nie będą to jednak salony, lecz domy arystokratyczne, ciche, spokojne, nie jaśniejące świetnemi przyjęciami i tłumnemi balami, lecz otwarte dla dobrych znajomych,

zawsze jednakie, zawsze równie serdeczne, a wśród nich znajdziesz i poważniejszą rozmowę, i wielkie cnoty, i rozumne obowiązków wypełnienie. Idź na Krakowskie-Przedmieście i wstąp do pałacu Ordynacyi Krasińskich, a w bocznym jego pawilonie spotkasz królewskiego Wilanowa panią, którą widywać tylko możesz w jej własnym domu, bo nigdzie już prawie nie bywa, i od pewnego czasu w większych zebraniach nie ukazuje się wcale, cała oddana sprawom miłosierdzia i dobrym uczynkom. Bardzo rozumna, wykształcona choć nie błyskotliwa, niepospolitego charakteru i dzielności, pierwsza to niezawodnie dama w Warszawie — którą — jak wy w Krakowie jej imienniczkę — my wszyscy nie inaczej, jak panią Augustową nazywamy. Jestto zgoła pani, o której powtórzyć można to, co mawiał Stakelberg po zgonie braci Czartoryskich, że nie ma teraz przed kim głowy w Warszawie uchylić. Gdzieby nie była, w Paryżu, w Rzymie, w Londynie, należeć będzie do najpierwszych rozumem, charakterem i cnotą, a jak jej zabraknie, nie masz komu ze czcią rękę ucałować. Idź dalej, a w tym samym pałacu zastaniesz niestety bardzo rzadko i jakby w przelocie tylko synową Zygmunta, która posiada wszystkie warunki, aby stworzyć prawdziwy tradycyjny salon, bo serce i umysł wyższy i rzadki dar jednania i łączenia ludzi, i to coś *ewig weibliches*, co pociąga każdego do tej wielkiej pani, jednej z najmilszych i najbardziej wytwornych, jakie w Polsce zdarzyło mi się spotykać.

Piękne a tylu pamiątek pełne salony Ordynacyi stoją najczęściej pustkami, bo obowiązki matki odciągają ustawicznie uroczą ich gospodynię od tej Warszawy, z którą łączy ją i nazwisko, i rodzinna tradycya, i szczere do miasta naszego przywiązanie. Idź dalej na Nowy Świat, a spotkasz taki czysty staropolski szlachecki dom pp. Wacławów Popielów, który ci serdecznością i rodzinnym jakoby zakrojem przypomni Ruszczę i kamienicę narożną waszej św. Jańskiej ulicy, co w pamiętnikach późniejszych tak wielką odegra rolę, a gościom warszawskim zawsze głęboko w sercu i pamięci pozostanie. Jeśli zechcesz zobaczyć salon, jak go tutaj w Warszawie pojmują, przekrocz próg ślicznych apartamentów hr. Konstantego Przezdzieckiego na Foxalu, a spotkasz tam nietylko całe jakoby muzeum starych zabytków i dzieł sztuki, lecz obok kwiatu naszego towarzystwa wszystko, co świat literacki i artystyczny Warszawy ma wybitniejszego: redaktorów, malarzy, publicystów, muzyków, dziennikarzy, literatów, uczonych i profesorów i t. d., bo syn Aleksandra Przezdzieckiego naukowe i artystyczne tradycye ojcowskiego przechowuje domu. — A ci dwaj bracia, których tu z różnych względów wymienić nie chcę, ci, co w społeczeństwie naszem zacne i poważne zajmują stanowiska, ci, którzy na każdem polu przodują przykładem, rozumem i pracą — zajrzyj do ich domów, a przekonasz się także, że jeszcze nie wygasły u nas cnoty obywatelskie, i że w tych właśnie domach nie wszystko czcze, jałowe i puste — tylko właśnie

to lepsze i najprzedniejsze w cieniu spoczywa i tylko przez bliższych ocenione być może. Pałac w Frascati także niestety prawie zawsze jest pustym, choć urocza właścicielka jego, błyszcząca nietylko urodą i wdziękiem, ale i darami umysłu byłaby prawdziwą ozdobą tutejszego towarzystwa — tem łatwiej, że najszlachetniejszego serca i dążeń mąż jej oddawna zyskał tu powszechną miłość i uznanie swej zacności i szczodrobliwości.

W ogóle gdyby rozrzucone po różnych stronach kraju i zagranicy żywioły naszego społeczeństwa nazwiskami i imieniem górujące, chciały i poczuwały się do obowiązku skupiania się w Warszawie, (która bądź co bądź jest zawsze ogniskiem narodowego życia i niem pozostanie niewątpliwie) wpłynęłoby to najkorzystniej na poziom umysłowy i moralny naszego życia towarzyskiego. Kraj zaś skuty i ubezwładniony w życiu swem zewnętrznem dźwignąłby się przez ten ruch towarzyski w wielkiej mierze.

Dla dokładności wspomnieć jeszcze muszę o literackich zebraniach u hr. St. Kossakowskiego oraz o domu pp. Zawiszów, pogrążonym obecnie w żałobie, a którego sama gospodyni, bardzo sprytna, oczytana i inteligentna.

Jedną z dam, która w towarzystwie warszawskiem *sui generis*, zajmowała stanowisko, zabrała nam ku wielkiemu a powszechnemu żalowi przed paru laty Galicya. PP. Antoniowie Wrotnowscy nie prowadzili tu otwartego domu, balów ani rautów nie wydawali, — lecz w po-

ważnym i zajmującym salonie ich na Mazowieckiej ulicy świeciło się codzień i co wieczór mogłaś tam zajść na filiżankę herbaty, pewna, że spotkasz małe ale dobrane kółko, a wśród niego nieustający ruch i ożywienie. To pani domu organizuje jakieś nowe dzieło miłosierdzia lub urządza przedstawienie na swój ukochany szpitalik, to inna znów ogólna debatuje się kwestya, formują się projekta, wyszukują środki zaradcze, łamią się przeszkody i usuwają zapory. Niejedna rzecz dobra w Warszawie powstała, jej niemal jednej istnienie swoje zawdzięcza, bo dziwna ta pani miała wytrwałość i rzadkie serce, które odczuwało gorąco każdą biedę i nędzę. a dla spraw krajowych umiała nietylko sama najżywsze chować uczucie, ale rozniecać je i w innych. wszystkim dokoła siebie swej ruchliwości i zapału użyczać, wszystkich elektryzować i do roboty dla dobrego celu zaprzęgać. Znało ją caluteńkie miasto i wszystkie sfery i ona też wszystkim była więcej niż znajomą, bo gotową w każdej chwili do rady, pomocy i najserdeczniejszego w każdem nieszczęściu lub trudnościach współudziału. Nie dziw się więc, że pamięć pani Antoniowej Wrotnowskiej tak wśród nas żywą i wdzięczną pozostała, a brak jej dotkliwym....

W listach swych do panny Anieli Tripplin śp. Marya Raczyńska poświęciła cały, bardzo sarkastyczny i pełen ironii ustęp tym z salonów warszawskich, które dowcipnie nazwała „olgierdowsko-marszałkowskiemi“. Tu właśnie miejsce wspomnieć

o nich choć trochę obszerniej. W społeczeństwie naszem niezawodnie niezmiernie wiele moralnie i narodowo wart Litwin, bo w najcięższem z nas wszystkich znajdując się położeniu, ma zdumiewającą siłę odporną, instynkt zachowawczy rzadki, przywiązanie do ojcowizny wytrwałe i tę w prześladowaniu niezmierną cnotę, że gnieciony kurczy się dziesięć razy, jak jeż zwinie się w kłębek, ale zagryźć się, zdławić nie da. Wszystko przetrwa, wszystko przeczeka, lecz rękami i zębami ostatniego kawałka ziemi trzymać się będzie. Ale są Litwini i Litwini, i wśród nich obok bohaterów znajdziesz karykatury, obok cnót wielkich i śmieszności jeszcze większe, wad a przesądów mnóstwo, z których inne prowincye polskie bardziej się już wykurować umiały; nie panów, lecz „panków“ i to w najpośledniejszym gatunku, którzy pomimo tyloletniego ich prześladowania przez literaturę i belletrystykę ostać się jeszcze pomimo wszystkiego umieli. *Les extrêmes se touchent* i dlatego im światła są większe, im bardziej blaskiem swoim w oczy biją, tem jaskrawiej występują też i cienie, gorsząc wszystkich prawdziwych męczeńskiej Litwy wielbicieli. Te właśnie cienie miała zmarła córka Zygmunta na myśli, skoro o „olgierdowsko-marszałkowskich“ obiadach i balach mówiła z takim przekąsem.

Wyobraź sobie panią lub panicza, który zjeżdża do Warszawy na karnawał, cały oszołomiony swoją powiatową popularnością, gdzie dla urzędu sprawowanego przez ojca, dla zamożności, fortuny i ucz-

ciwego, szlacheckiego nazwiska, dom jego i rodzina miały większe od innych zachowanie i parafialną pozycyę. Na warszawskim bruku odnowi on lub ona naprzód swoją kniaziowską mitrę (każdy Litwin tej kategoryi jest kniaziem) i będzie przekonanym, że dlatego, iż Pan Bóg dał mu się nazywać Iksem, już ma jakieś wyjątkowe przywileje i prawa. O tych Iksach nic wprawdzie Towarzystwo warszawskie nie słyszało, fama powiatowej znakomitości ich rodu nie doszła tu wcale, marszałkowski tytuł i rodowód od Olgierda wywiedziony nie imponuje bynajmniej, a rozległość wiosek i obszar fortuny jest jeszcze towarzyskim probierzem, lecz tylko w matrymonialnych kombinacyach — ale Iksowe, Iksówny i Iksięta nie będą na to wcale zważać. W swojem przekonaniu są one znakomitościami i z łaski Bożej należy im się wyjątkowe w towarzystwie miejsce. Więc sądzą, że jeśli powiedzą: *je suis Iks*, to już wystarczy całej Warszawie i jak legendowy Sezam otworzy przed nimi wszystkie wrota; że nie potrzeba żadnego nakładu, ani uprzejmości, ani gracyi, ani światowej rutyny, ani wykształcenia, ani wartości osobistej, lecz majątek i to nazwisko Iks zastąpi wszystko. Mały Iksik nie przedstawi się też pierwszy nikomu, bo uważałby to za poniżenie swej kniaziowskiej mitry; mała Iksówna skrzywi się mocno, jeśli zaprosi ją do tańca ktoś, którego rodowodu i stanu majątkowego nie zna jeszcze dokładnie; mama Iksowa o kimś, kto nie posiada wioski i cugów odezwie się z pogardą:

Ni to obywatel, ni to co.... Zabroni córce z nim rozmawiać. Dla niej jeszcze cały świat kończy się na tem „obywatelstwie“; wykształcenie, wychowanie, nauka, wartość osobista, stanowisko społeczne i t. d. to *terra ignota.*

Przeciwnie afektować będzie *avec dédain,* że to profesor, „bakałarz,“ *un pion*; ona się zdziwi, że towarzystwo może przyjmować jakiegoś kauzyperdę i panią „adwokatową“; ona zaboleje, że salon taki mieszany, skoro w nim spotykasz ludzi, co nie mają ani jednej „dziesięciny“ ziemi, a jeśli zobaczy jakiegoś w nim dziennikarza lub literata, to naiwnie zapyta: *„pourquoi a-t-on fait venir ces messieurs? pewno na to, aby opisywali nasze toalety po Kuryerkach“.* Cały rozum polega u Iksów na francuzczyznie, cała inteligencya na „parlowaniu“, a towarzyski urok na modnych sukniach i zgrabnym fraczku. Sama słyszałam, jak jednej z takich Iksowych robił krewny jej, człowiek w świecie naukowym głośny, uwagę, że synów na próżniaków wychowała i żadnych szkół nie dała im pokończyć, a ta z całą naiwnością odrzekła:

— Oh! *mon cousin,* ani jeden jeszcze z Iksów nie był profesorem i jak ty rodu swego nie splamił...

Wygląda to bajecznie, nieprawdaż, i przypomina biednego Syrokomli satyry, borykające się przez tyle lat z temi fumami litewskich „panków“. Ale to mnie właśnie gniewa, że kiedy już wszędzie towarzystwo polskie wyleczyło się z podobnie zaśnie-

działych przesądów, kiedy niema już nigdzie ani tu u nas, ani w Galicyi, ani w Poznańskiem takich egzemplarzy, coby z podobnemi zapatrywaniami śmiały jawnie i otwarcie występować, kiedy lata i doświadczenie wyrobiło powszechną pod tym względem wstydliwość i nikt tu w żadnem kółku nie zapyta: „kto go rodzi i co ma“, tylko „czem jest i co robi“, ci jedni litewcy Iksowie i Iksięta zdołali się zakonserwować jak muchy w bursztynie i dziś tacy sami, jak przed 40 laty. To powiedziawszy, dodam jednak, że jeśli masz krewnego lub syna do wyswatania, to żeń go z Litwinką, naturalnie nie z Iksówną, bo grzechem byłoby twierdzić, że one wszystkie takie, a jeszcze bardziej nie dlatego, że główny kontyngens heritierek dostarcza nam właśnie Wilno, (bo przy „czternastce“ posagi córek z najbogatszych nawet rodzin są zawsze problematyczne). Żeń go dla tej prostej przyczyny, że w tych kołach litewskich, które do wyższego towarzystwa się nie pną, w tych cichych, zamkniętych, spokojnych domach, które tu do nas więcej dla edukacyi dzieci i ukończenia nauk, aniżeli dla zabawy zjeżdżają, spotkasz wiele cnót rzadkich, wychowanie praktyczne, rozumne i staranne, serca nieocenione, umysły zdolne, pojęcie obowiązków poważne, familijny dar ładu i rządności, pracowitości, poświęcenia i o wiele mniej niż gdzieindziej warszawskiego rozbalowania się i gonitwy za zabawami. Z takiego domu bierz synowę i ukorz się przed nimi i przyznaj, że jeśli tak często po-

czuwają się do pewnej nad Koroniarkami wyższości, to rzeczywiście wiele mają do tego tytułów, a kiedy właśnie te koła litewskie poznasz, kiedy w nich się rozpatrzysz, wówczas większa cię jeszcze złość porwie na owych Iksów i Iksięta i tem zawzięciej chciała byś ich fumy wytępić i przesądy wykorzenić.

Osobne kółko stanowią także i salony ukraińsko-wołyńskie; żyją one jednak ściśle zamknięte i odgraniczone i ani do sfer arystokratycznych, ani tem bardziej finansowych nie zdążają wcale. Odrębna to kolonia, bardziej napływowa, rekrutująca się w zimie głównie z przyjezdnych; cech specyalnych nie dużo i wogóle doskonale dają się podciągnąć pod kategoryę salonów wiejskich, obywatelskich, szlacheckich, o której poniżej.

Sfery finansowe Warszawy dzielą się na wyższe, pośrednie i niższe. Do pierwszej kategoryi należy tylko kilka najprzedniejszych domów, a jeśli wolisz firm bankierskich. W tych bywa z małemi wyjątkami cała niemal arystokracya rodowa: mitry i korony hrabiowskie spotykasz tam co krok, już nietylko w stosunkach towarzyskich, ale nawet w pewnej zażyłości osobistej. Łączy ich przedewszystkiem teraz sam zwyczaj; owe domy nie od dziś już mają ze światem arystokratycznym relacye — trwa to lat kilkanaście, więc stosunki miały czas się ustalić i nierozerwalnie zawiązać.

Młodsza generacya nieraz zastaje je już gotowe, więc samo dobre wychowanie nie pozwala zrywać ich lub nie odnawiać, a względy nawet trochę

familijne nakazywały raczej zacieśniać niż rozluźniać. Łączy dalej wspólny panów interes, koleżeństwo w rozmaitych instytucyach, kolejach żelaznych, bankach i t. p., obowiązujące do wzajemnego u siebie bywania i nieograniczania się na li tylko biurowych stosunkach. Łączą wreszcie sprawy miłosierdzia. Każdy z tych panów i pań, proszony o składkę lub udział w jakiem przedsięwzięciu filantropijnem sypnie hojnie, bardzo hojnie, od nich wszystkie kwesty zwykły się zaczynać, a nie idzie to na dziesiątki lub setki, lecz na tysiące rubli — więc *l'utilité rapproche bientôt les distances.* Kiedy umiesz znaleść takiego p. bankiera lub p. bankierową, skoro prosisz o zapomogę dla protegowanej przez ciebie instytucyi lub rodziny, byłoby niekonsekwencyą i nietaktem, w życiu codziennem salonowem ignorować ich i przed niemi drzwi zamykać lub zaproszenia nie przyjąć. Podobne postępowanie nazywałoby się awanią, a żeby się na nią zdobyć, trzeba niezmiernie ważnych przyczyn lub braku wychowania. Pierwsze nie istnieją, na drugie rzadko kiedy przyjdzie ci się w Warszawie użalać. W finansach średnich arystokracyi rodowej spotkasz mało i ujrzysz tam damy przeważnie jeśli nie wyłącznie niemal z bankierskiego koła, ale za to wśród czarnych fraków mnóstwo bywalców najprzedniejszych salonów warszawskich, młodzież doborową, inteligencyę, nawet dużo reprezentantów literackiego świata. Tych wszystkich nie ściąga tu ani konieczność utrzymywania dawniej już zawiązanych stosunków, ani wzgląd in-

teresów i bankowego koleżeństwa, ani wreszcie rachuba filantropijna i chęć eksploatacyi salonowych znajomości na cele dobroczynne. Wabią ich tu zalety czysto towarzyskie, uprzejmość i ten cały skomplikowany aparat tysiącznych grzeczności, używany na to, aby towarzystwo twoje na dłużej sobie zapewnić, aby dom, w którym bywasz, uczynić ci przyjemnym i przyciągającym.

Rzecz prosta, że w żadnych sferach nie czynią tyle towarzyskiego nakładu i nie rozwijają takiej zabiegliwości i arkanów, co w tych właśnie. Wszystko jest na to obliczone i wszystko ku jak największemu rozszerzaniu stosunków zmierza. Podobne zabiegi przedstawił autor niedawno właśnie drukowanej w *Revue* powieści *Les Monachs* trochę karykaturalnie, niemniej jednak z pewną dozą realizmu i żywej obserwacyi. Fortuna dorobiona, wystawne życie, wpływy i znaczenie nie dają jeszcze towarzyskiego stanowiska; trzeba je sobie wyrobić i zdobyć. A to zdobycie nie przychodzi łatwo.

Wymaga ono wielkiej zręczności, taktu i specyalnego talentu, a dodam, że nieraz i zaparcia się siebie, bo niejedną przyjdzie wśród tych zabiegów gorzką przełknąć pigułkę, z niejednem spotkać się upokorzeniem i zrazić zawodem. Miłosierdzie i dobre uczynki łączą z sobą ludzi i na polu filantropijnem zbliżenie najłatwiejsze. Więc też pieniądz zarobiony w kraju, hojny nędzy i biedzie opłaca corocznie podatek. Nie masz pojęcia, jak poważne sumy na te cele z tych właśnie sfer płyną; dość

ci powiedzieć, że budżet dobroczynny jednego z pierwszych naszych *haute finance* domów, oznaczony jest stale co roku na 30.000 rs., ale te nigdy nie wystarczają i preliminarz pierwotny znacznie przekraczanym bywa. Nie sądź jednak, aby tylko chęć błyszczenia i potrzeba towarzyskiego okupu była jedynem tej nadzwyczajnej hojności źródłem. Nie; sprawiedliwość każe przyznać, że w wielu razach nie próżność tu daje, ale serce i szczere poczucie obowiązku, jaki bogaty winien mieć względem ubogiego.

Nie należę do tych, co młodzieży naszej biorą za złe bywanie „u żydów“ w średnich nawet finansach, bo doszłam do przekonania, że nie jeden tylko przepych przyjęć i gastronomiczne popisy tam ich ciągną. Dobry to lep dla kilku smakoszów i pieczeniarzy, ale ogół nie jest znów tak płaskim, aby dał się nań schwytać. Ciągną ich tam kobiety — od początku świata zawsze najważniejsza salonów atrakcya. Lucyan Siemieński pisząc o Fredrze zauważył kiedyś bardzo trafnie, że „Geldhab“ w czasie swego powstania był raczej przeczuciem i przepowiednią, aniżeli realnego życia obrazem, bo o książętach żeniących się z córkami bankierów wówczas jeszcze nie słyszano. — To też dzisiejszy komedyopisarz, chcąc dać typ panny tego świata, musiałby ją całkiem odmienną od panny Flory uczynić i inaczej całą jej charakterystykę oświetlić. Panie i panny z towarzystwa finansowego odznaczają się przedewszystkiem wykształceniem, które nie powiem, aże-

by było gruntowniejszem, ale jest bardziej błyskotliwem, ponętnem i pociągającem. Każdą z nich od dzieciństwa zaprawiają do umiejętnego gości zabawiania. Młoda panienka będzie tu śmielszą od innych, bardziej przedsiębiorczą, potrafi najnudniejszego towarzysza rozmowy rozruszać, zada sobie dużo trudu, aby go zabawić, i to nie w żadnym specyalnym celu, nie dlatego, aby jakieś miała na niego plany — broń Boże — lecz przez towarzyską kokieteryę, przez usilne postanowienie zdobycia sobie tytułu miłej, pociągającej gospodyni, a salonom swoich rodziców zapewnienia najliczniejszej frekwencyi. Tej nie zaimponujesz tylko ładnym wąsikiem, zgrabną figurką i pięknym tańcem, ona cię nie odznaczy dlatego, że jesteś majętniejszym od innych; jeśli co ma w jej oczach wielki urok, to może najwięcej tytuł i hrabskie korony, ale na ten lep lgną podobno nie same tylko bankierówny.

Salonowa kokieterya wymaga odpowiedniego rynsztunku, więc czytać będzie dużo i chciwie, uczyć się wszystkiego, ale bardzo powierzchownie, więcej dla popisu, niż z zamiłowania, potrafi każdą rozmowę, najpoważniejszą i najbardziej banalną podtrzymać, wszystko ją żywo zajmie, patryotką będzie bardzo gorącą, a zaimponuje ci odrazu doskonałem swego stanowiska społecznego zrozumieniem. Będzie ci mówić otwarcie o żydach, o uprzedzeniach przeciw nim, o upokorzeniach doznawanych, różnicy na każdem kroku odczutej i t. d. To wszystko połączone z wrodzonem tego pochodzenia sprytem i zrę-

cznością potrafi cię odrazu zjednać, sympatyę pozyskać, ale niech ta tylko dostrzeżoną będzie, wnet tysiączne sposoby zaczną ją powiększać, starannie hodować i nie spostrzeżesz się, jak niebawem staniesz w kole bardziej poufałych przyjaciół. „Interesujące“ — oto byłaby główna tych panienek charakterystyka. Każda z nich pragnie po za przeciętny wyjść szablon; jeśli to czyni zręcznie i ze sprytem, wówczas cel osiąga i istotnie zajmującą się staje; jeśli przeciwnie, zabraknie jej niezbędnego do podobnej towarzyskiej kokieteryi taktu i sprytu, w takim razie przemienia się w jedno z najnieznośniejszych stworzeń, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się po salonach spotykać; nie ujmuje, ale po prostu narzuca się, nie wabi, ale odstręcza i zraża. Próżność będzie tu podstawowym tonem; powierzchowność główną umysłu i wykształcenia wadą, wyrafinowana kokieterya towarzyska, salonowego powodzenia tajemnicą.

Młode mężatki innej znów używać będą taktyki. Tych kokieterya będzie już wytrawniejszą i bardziej różnorodną. Lżejszych pociągną większą w rozmowie swobodą, pewnemi ustępstwami, o które w innych salonach jeszcze trudno; po kilku wizytach staniesz na stopie *sui generis* poufałości, często przyzwoitej i niewinnej, lecz niemniej dla wielu panów ponętnej. Specyalna do każdego z osobna stosowana metoda kokieteryi, pochlebi twojej miłości własnej: jeśli jesteś artystą, wszystkie twoje dzieła będą jej znane, a o każdy obraz toczyć się będzie dyskusya; jeśliś literatem, wszystko coś napisał przeczytane, każda

nowa twoja praca po pismach wyśledzona, każdy zamysł i plan wydobyty. Zażądaj jakiej książki, dostaniesz tę, co dopiero wczoraj wyszła, nieraz z nierozciętemi kartkami, co prawda, ale zawsze będzie. Teatr, sztuka, lekka literatura, polityka nawet nie są jej obce. O wszystkiem potrafi mówić, z tym Warszawianek specyalnym talentem zręcznego wymijania trudności i pływania po wierzchu, z pewną zabawną powagą, a bez pozy na sawantkę. Wszystko to będzie bardzo błyskotliwe, zabawne, z pewnym sensualistycznym podkładem, jakieś inne i nowe, tak, że każdego młodego człowieka zainteresuje i w stałego tych salonów zamieni gościa.

Wyobraź sobie teraz to wszystko na tle pięknych apartamentów, wśród zbytku i komfortu; uważ, że wiele z tych pań odznacza się prawdziwą pięknością, że wszystkie te zabiegi odbywają się po doskonałym obiedzie, wśród woni egzotycznych kwiatów i przy rozmarzających dźwiękach fortepianu, a przyznasz, że trzeba być bardzo katońskim Faustem, ażeby w tem towarzystwie nie zasmakować. Nie dziwię się też wcale tym młodym panom, którzy znudzeni na naszych rautach lub wieczorach, gdzie są dla nich grzeczni i uprzejmi, ale w żadne specyalne wyszczególnienia się nie wdają, biorą coprędzej za szapoklak i czmychają do finansowych salonów. Młodość ma swoje prawa, miłość własna ma jeszcze większe, a każdy woli być poszukiwanym, aniżeli tolerowanym tylko. Tam raczą go przyjmować, tu są kontenci, że on bywa; tam tyle tylko

że go nie odstręczają, tu wabią i zachęcają; tam zaproszą często li tylko dla nóg i tańca i jeśli *danser* mniej do zabawy usposobionym będzie, uznają go ciężkim nudziarzem i na odosobnienie skażą; tu ośmielą, rozruszają, do rozmowy wciągną i pierwsze kroki poczynią. Słowem tam musi zdobywać, tu jest zdobywanym. Przyznasz, że wybór nie trudny i decyzya niewątpliwa.

To jednak byłyby nie bardzo szkodliwe tych salonów strony, a złe? O! jest ich dużo i bynajmniej na nie oczów zamykać nie myślę. Wszystko, co ci powyżej opisałam, wypływa bardzo często tylko z próżności. Próżność każe zrobić największy w swoim salonie dobór, próżność każe być najbardziej w rozmowie poszukiwaną i otoczoną, zalotność pozwoli na niejedną, chociaż zawsze raczej platoniczną swobodę, chęć zaimponowania drugim będzie bodźcem do zdobycia jakiejś wybitniejszej i bardziej głośnej osoby, towarzyska natarczywość popchnie do wyrabiania sobie stosunków *par force*, wciskania się *par la douce violence* do twej zażyłości i przyjaźni, obsypywania cię milionami grzeczności, które cię zobowiązują, ale z czasem i znużą. Zazdrość wyrodzi chęć koniecznego sprostania powodzeniu salonowemu drugiej i formalną nieraz o to powodzenie „walkę kobiet“.... Na dnie tego błyskotliwego wykształcenia, przy całym naturalnym, sprycie, przy najlepszem nawet sercu, spotkasz nieraz to, co nazwałabym brakiem tradycyi, a co wypływa bynajmniej nie z urodzenia, lecz raczej z zu-

pełnego braku wykształcenia religijnego. Cała moralność opiera się tu więcej na konwenansie niż na zasadach, i to właśnie sprawia, że kiedy ochłoniesz ze wszystkich sensualistycznych wrażeń, kiedy uchylisz kunsztownych akcesoryów zasłonę, spotkasz pewną pustkę i jałowość, brak jakiegoś nerwu, który wielu rzeczy nie pozwoli zrozumieć i odczuć. Nie wiem, czy się jasno tłumaczę, ale są pewne pojęcia i wyobrażenia, co do których my i oni nie zrozumiemy się nigdy, są gdzieś w najtajniejszych głębinach myśli i serca ukryte instynkta, które przy najlepszych nawet warunach dopasować się nie dadzą i zawsze będzie jakaś dysharmonia, jakiś ton fałszywy, jakiś zgrzyt i jakby nerwowe wstrząśnienie. Trudna rada, natura ma także swoje prawa, inna krew, tradycya, wychowanie i pojęcia pierwej czy później odezwać się muszą i uczuć się dadzą....

I Lea w *Les Monachs* niemniej jest sympatyczną, pociągającą, nawet bohaterską, a jednak zawsze inną, odrębną. nie taką, nie taką przedewszystkiem, jak to spokojne, ciche, niepociągające zda się na pozór niczem, a poświęceniem i miłością takie wielkie, choć skromne dziewczę wiejskie, jak ta córka Gomarrów, jasnowłosa Helenka....

W powieści francuskiej katastrofa piętrzy się około faktu, iż rodzina bankierówny nie chce pozwolić, aby panna poślubiając margrabiego zmieniła religię. Tak jest rzeczywiście we Francyi. U nas na szczęście jednak inaczej. U nas, dotychczas przynajmniej, aby wejść do towarzystwa a co więcej do

społeczeństwa polskiego trzeba się ochrzcić. I to było dobrze i świadczyło o żywotności wiary i zespoleniu się jej z narodem. Nie brak wprawdzie takich, co w wielu wypadkach w istotne nawrócenie się nie wierzą i widzą w tem nie dzieło przekonania, lecz konwenansu lub interesu, nie brak takich; co wskazują na t. z. Frankistów i powtarzają, iż są oni wciąż, pomimo stuletniej konwersyi chrześcijanami z nazwy a żydami z przekonania — ale co do mnie, kiedy o tej kwestyi mowa, to mam wciąż na myśli słowa pewnego kapłana tutejszego, któremu zarzucano, że nie roztrząsając dokładnie motywów jest zbyt żarliwym wobec żydów prozelitą: „Pozostawiając na boku kwestye czystości intencyi, zawsze trzeba mieć na oku tę rzecz kardynalną, że chrzest rodziców otwiera drogę światła i wiary dzieciom i że ułatwia następnym pokoleniom religijne i narodowe zespolenie się ze społeczeństwem.“ Z tego też punktu zapatrywania wychodząc muszę zwrócić twoją uwagę, że wielu z tych, których w towarzystwie warszawskiem zowią „żydami,“ byli nimi kiedyś z pochodzenia; nie są już wcale z wyznania. Dużo w trzeciem lub czwartem pokoleniu wyznaje katolicką wiarę. posiada często indygenaty szlacheckie od sejmów Stanisława Augusta lub księstwa Warszawskiego, a nie wiem na prawdę, zkąd wzięła początek pogardliwa ich nazwa m e c h e s ó w; inni przechrzcili się znacznie później, wielu z rzeczywistego przekonania i wiary. Wśród nich znajdziesz często najgorliwszych „ultramontanów,“ co do ko-

ścioła chodzą nie na pokaz i dla zadokumentowania swego chrystyanizmu, lecz z prawdziwej pobożności, w godzinach rannych, a modlą się nie na francuskich książkach, lecz na zwyczajnym Złotym Ołtarzyku, swoją drogą nabywanym często od panny służącej, aby był tylko zużytym, starym i o dawnem wyznawstwie Chrystusa świadczył. Dla takich jednak wartoby przynajmniej pewien zrobić wyjątek i ustawicznie im tego żydowstwa nie wytykać.... Bo trzeba Ci wiedzieć moja droga, że to u nas tak.... Bywa się w tych domach, zostaje się z nimi w największej nieraz zażyłości, w codziennych towarzyskich stosunkach, wchodzi się nawet do ich rodzin, a jednak wygaduje się ustawicznie na „tych Żydów,“ przedrzeźnia się ich i ośmiesza.

I to najbardziej ci, co najczęściej do ich stołu zasiadają lub pochodzeniem nader im są bliscy... Zdarza się bowiem często, że głównymi matadorami naszego antisemityzmu bywają właśnie ci *mechesi*, którzy udają, że sami nie wiedzą, jako świat ich równie mianem „Żydów“ obdarza i tym antisemityzmem pragną naiwnie semicką swą krew zatrzeć... To samo dzieje się po salonach. Najostrzejsze krytyki i narzekania na zbytki, korupcyę, podniesienie skali życia, na import nieznanego dawniej w Warszawie przepychu usłyszysz od tych, co najczęstszymi owych „gorszących“ salonów bywają gośćmi... Co do mnie, trzymam się zawsze dowcipnej maksymy jednego z moich starych przyjaciół, który zwykł

był powtarzać: „Nie wygaduję na Żydów, bo nie chcę, aby i mnie za Żyda wzięli...“ Bo moja droga, mówiąc to wszystko pragnę, ażebyś nie zapominała, że wielu z tych bankierów żydowskiego pochodzenia jest zarazem bardzo poważnymi, często znamienitymi przemysłowcami, wielu z nich posiada znaczne majątki ziemskie, większość uważa się i jest w uczuciach polską, a wykształceniem i inteligencyą równa się a nieraz przewyższa nawet rdzennych krajowców. Po r. 1863 przyczynili się do dźwignienia kraju z ruiny, zastoju i nędzy ekonomiczno-finansowej. Ich współdziałaniu a nieraz inicyatywie kraj zawdzięcza wiele przedsiębiorstw, fabryk, kolei żelaznych i t. d. Są to więc zasłużeni, użyteczni, istotnie produkcyjni obywatele i szaleństwem a głupotą byłoby nie przygarniać ich i od wspólności krajowej odtrącać, zwłaszcza, że się do niej sami garną. Swoją drogą mówiąc o tych sferach muszę koniecznie uderzyć na to, że wystawność życia przechodzi nieraz a właściwie przechodziła dawniej u nich wszelką rozsądną miarę, że zwłaszcza zbytek kuchni doprowadzony bywał *ad absurdum*... Wiesz dobrze, dlaczego nie jestem „wełnianych wieczorków“ protektorką, ale znowu z drugiej strony sprowadzanie całych obiadów z Paryża lub Berlina, sadzenie się na ciągłe nadzwyczajności i przesada trufli, które zaczynały się literalnie na zupie, a kończyły oniemal na leguminie, wydają mi się tak śmiesznemi, że dziwi mnie naprawdę, iż tej śmieszności dopuszczają się ci właśnie, co zkądinąd niezmiernie

na języki ludzkie bywają czuli... Bawić się tem można, wyśmiewać należy, ale najlepszy sposób... nie naśladować, a całe „zgorszenie“ i „zły przykład“ odrazu znihilowane zostaną. Przyjmują cię bankierzy truflami, sprowadzają dla ciebie aż z Laponii renifera mięso — daj im u siebie wołowinę i najzwyczajniejsze grzyby, a jak się skrzywią, przestań zapraszać i bywać... I cała historya będzie skończona. Lecz u nas nie, u nas się krzyczy, hałasuje, piętnuje, ale każdy jak ta żaba pragnąłby dorównać wołowi, a jeśli nie może lub próbując jak ona pęknie, wówczas podnosi alarm i woła: „na pomoc“. Co do mnie sądzę jednak, że dałam ci dosyć już dowodów bezstronności i braku wszelkich kastowych uprzedzeń, abym nie poczuwała się do zabrania swobodnego w tym przedmiocie głosu i wypowiedzenia całej rzetelnej prawdy.

Niejednokrotnie jeszcze przyjdzie mi w tych listach na importowany przez sfery finansowe zbytek narzekać i fatalne jego następstwa wskazywać. Jest to bowiem jednym z głównych tych salonów grzechem. Dawniej nie znaliśmy ani tak wspaniałych apartamentów, ani kuchni tak wyrafinowanej i kosztownej, ani tak szalonego w strojach przepychu, a jednak Warszawa posiadała zawsze dużo domów zamożnych, życie towarzyskie niezmiernie wykwintne, mniej zapewne liczne, ale dostatnie, nawet niektóre bardzo bogate firmy bankierskie i kupieckie. Salony żydowskie dawniej nie istniały. Są one produktem nowszych czasów a pochodzenie

swe, często zaś i towarzyską wstrętność zaczęły okupywać zbytkiem i wykwintnością kuchni. I tego wszystkiego nie było. Wymagania wzrosły dopiero po r. 1863. Źródłem ich jest częścią ogólna moda, lecz głównie jednak jakaś chęć imponowania właśnie na tem polu ludziom, niezdrowa gorączka błyszczenia, powszechna, jakby powiedziano w Paryżu, pod tym względem *newroza*. Co życie towarzyskie straciło na uroku, to zastąpić chciano zbytkiem. A nigdzie bardziej, jak tu właśnie nie bywa przykład zaraźliwym.... W świecie finansowym, jak we wszystkich innych zresztą, każdy i każda ma swój wzór, na który modelować się pragnie... Jeśli pan Iks ma tak wspaniałe apartamenta i wykwintną kuchnię, to pan Ipsylon musi mu koniecznie pokazać, że i jego na podobny przepych stać także; za p. Ipsylonem pójdzie pan Z., dla którego tamten jest znów wzorem i tak dalej ku dołowi, aż *newroza* ogarnie wszystkich i stanie się tak powszechną, iż wszelkie nawoływania do koniecznej reformy będą bezowocnemi i odbiją się jak groch o ścianę. Od sfer finansowych przejdzie to po części na wszystkich, co z niemi towarzyskie utrzymują stosunki... To, co z początku tylko zadziwiało, stanie się wkrótce niezbędnym niemal warunkiem.... I nastał czas, iż nie było balu, któryby się odbył bez szampańskiego wina; niebyło rautu bez sutej kolacyi; niema obiadu bez trufli i ryb zamorskich.... Za suknię płacono po kilkaset i tysiąc rubli, a sama widziałam na jednym

balu młodziutką, szesnastoletnią panienkę, która miała na sobie kostium sprowadzony z Paryża kosztem nie mniej niż 400 rs.... Rzeczywiście patrząc na te koronki i guipiury, trudno było nie westchnąć za dawnemi czasy, kiedy sukienka za 100 złotych polskich była szczytem naszych marzeń i jak ów moralista z *Rodziny Benoiton* W. Sardou zawołać: „gdzieżeś ach gdzieżeś o święty muślinie!“

Niedawno w Paryżu powstała kampania najpoważniejszych krytyków teatralnych przeciw zbytkowności toalet na scenie.... Podobną walkę podnoszono i u nas niejednokrotnie w dziennikach i pismach. Była ona jednak zawsze bezskuteczną, nie tą bowiem drogą da się złe naprawić i ogólną skalę życia choć trochę zniżyć.... Tu zaradczą mogłaby być tylko inicyatywa prywatna, towarzyski przykład.... Niech ci, co stoją na czele naszego towarzyskiego życia, niech te więc powagi początek zrobią i od siebie reformę rozpoczną, a wnet w modzie nastanie przewrót.... Pierwszy obowiązek takiej inicyatywy spoczywa właśnie na sferach finansowych. Od nich złe wyszło, na nich powinno się skończyć. Tych kilku milionerów nikt o sknerstwo i zachwianie się nie posądzi, jeśli mniej trochę trufli na swych obiadach dawać będą i skalę przyjęć ograniczą. Niech więc dadzą początek, a dopóki się to nie stanie, dopóki te sfery przodować będą zbytkiem i rozrzutnością, dopóty wina złego na nich głównie spadać będzie, choć lekkomyślnych naśladowców nic nie rozgrzeszy także. — W ostatnich paru latach

dawała się odczuwać pewna i w tym kierunku reforma i nie zaznaczając jej popełniłabym archaizm. Ogólne ciężkie czasy nie pozostały i tu bez wpływu. Zbytek stał się mniej jaskrawym i zelżał znacznie. Ale to wszystko mało, to dopiero początek początku, a daj Boże, aby nie ciężkie lata lecz rozsądek i opamiętanie posuwały na przyszłość dalszą w tym kierunku reformę. Wszystko, co tu powiedziałam, odnosi się głównie do finansowych salonów i ich cech przeważających. O wpływie, jakiego u nas świat ten zażywa i o stanowisku społecznem, jakie w kraju naszem zajmuje, rozgadam się trochę obszerniej*) w następnym liście. Teraz pilno mi przejść do charakterystyki innych jeszcze wybitniejszych miasta naszego kółek.

Jeśli chcesz się przypatrzeć zabawie ochoczej, żywej, wesołej; jeśli chcesz sobie przypomnieć, jak to dawniej wyglądały szlacheckie salony i jak się one z każdym rokiem modernizują i do ogólnego nastrajają tonu, wejdź w towarzystwo t. z. obywatelskie, między szlachtę przybywającą ze wsi na karnawał, do domów, których tu w zimie bywa bardzo dużo, a które między sobą tworzą rozliczne kółka i kółeczka. W nich bezwarunkowo bawią się najlepiej, w nich spotkasz najwięcej ładnych kobiet, młodzież, która ci jeszcze dawnego potrafi zatańczyć mazura, całą galeryę Klar i Anieli, mnóstwo wstępujących w świat panienek, które są jeszcze w pier-

---

*) Tom II. „Sylwetki warszawskie.“

wszej fazie i tańcują dla tańca. Przyjęcie będzie dostatnie, ale nie zbytkowne, z szampanem spotkasz się tylko przy nadzwyczajnej okazyi, apartamenta będą ładne, ale więcej szablonowe niż artystyczne, towarzystwo odświeżające się ciągle przybyszami ze wsi, wesołość nie wymuszona, pewna swoboda w wykwintnych salonowych granicach.

Wchodząc do takiego salonu, zobaczysz odrazu, że wszyscy goście nie po to się tu zeszli, aby odbyć wzajemną toalet lustracyę, ale rzeczywiście dla zabawy i tańca. Pozy bardzo nie wiele, a gościnność istotnie staropolska, ta, co to trzyma środek między obowiązkową uprzejmością sfer arystokratycznych, a zabiegliwą i nużącą kokieteryą towarzyską finansowych salonów. Wśród pań i panienek znajdziesz tu nieraz i niepoślednie wykształcenie, i sprytu dużo, i humor, i dosyć interesującą rozmowę, i przesądów z każdym rokiem coraz mniej, ale rysem charakterystycznym będzie tu specyalne warszawskie rozbawienie i rozrzucenie się.

Porwana wirem codziennych niemal balów i zabaw młoda główka rozmarza się łatwo i tak do gorączkowego życia karnawału przywyka, że cały czas schodzi na tanach, śnie, wizytach i toaletach. Wieczór spędzony w domu wydaje się już torturą, książka wzięta do ręki zadaną lekcyą, na odczyty się chodzi trochę przez poczucie obowiązku, więcej w nadziei spotkania mnóstwa znajomych, ale ich się słucha z roztargnieniem, kładąc konieczny warunek, aby były zabawne. Tego przymiotnika

żąda się od wszystkiego: i kościół musi być zabawny t. j. musi być na mszy dużo przyjaciółek i znajomych, wizyty i odczyty, i wędrówki po sklepach, i teatr i koncerta, wszystko to musi być zabawne. Czyta się bardzo nie wiele i w czasie karnawału główka zupełnie ugorować musi, bojując tylko resztkami pensyonarskich wiadomości; do wszelkiej poważniejszej rozmowy ma się wstręt nieprzezwyciężony, ludzi się sądzi według tego tylko, czy są lub nie zabawni — słowem panna tego kółka, zjechawszy na parę miesięcy do Warszawy na zabawę, niczego innego prócz tej zabawy nie szuka. Ztąd pewna czczość i jałowość (zresztą wszystkim salonom warszawskim wspólna). Ztąd ten gorączkowy wir towarzyskiego życia, który tych, co weń wpadają, całkowicie absorbuje, od wszelkiej pracy odciąga, nieraz marnuje, często bardzo z właściwego toru wykoleja; ztąd tego życia tak ciężkie wymagania, że zaprzągłszy się raz w jego taczkę, trudno się od niej oderwać i brnie się w wir coraz dalej, a chodząc z balu na bal, z jednego rautu na drugi, tańczy się nieraz do godz. 10-tej z rana, a później znowu o 10-tej wieczór zaczyna nową „robotę“, wypełniając przerwę snem, wizytami i teatrem.

Powstaje z tego ogólne rozbałamucenie, sztucznie przez siebie samych wytworzona gorączka, która słabnie z wiosną, a później na nowo zaczyna się z wyścigami i wystawą. Takich kilka karnawałów może nieraz wiejską panienkę popsuć, zaprawiając do życia, którego wyszedłszy za mąż zwłaszcza na

wsi nie znajdzie wcale; podnosi ogromnie skalę jej wymagań od świata i towarzystwa, rozmarza główkę a wyjaławia serce. — Znam mnóstwo takich, których to gwarne i gorączkowe życie nie wypaczyło wcale i wyszedłszy za mąż, te najbardziej „rozbawione“ salonów warszawskich panny stawały się najlepszemi żonami i najbardziej oszczędnemi gospodyniami.... Ale to wszystko dzięki potędze uczucia, przywiązania do męża. Nie brak jednak i tych, w których ślad warszawskiego życia pozostanie wiecznym i nie daj Boże mniej pomyślnych w małżeństwie warunków, a młode serduszko będzie zawsze wspomnieniami karnawału żyło, będzie się zawsze do tej Warszawy rwało i lata przejdą, zanim się z owego „rozbawienia“ wyleczy.... Niech zaś na męża słabego trafi, niech te wspomnienia odnowić zapragnie, a wówczas natura pociągnie wilka do lasu; co roku na karnawał do Warszawy zjeżdżać się będzie i tracić majątek bez myśli i zastanowienia. Ileż to takich ruin przed mojemi przesunęło się oczami, ileż to w ten sposób fortun pękło, w obce przeszło ręce. A wszystkiego zawsze genezą było warszawskie r o z b a w i e n i e s i ę. Nie dziw więc, że ono zaczyna już wielu zrażać i kandydatów do małżeństwa zniechęcać. Dziś wiejski *epouseur* będzie się zawsze obawiał wziąć pannę, co w Warszawie kilka spędziła karnawałów, bo straszy go przyszłość, wstrzymuje obawa, aby ta gorączka nie powtarzała się i później, odstręcza licznemi przy-

kładami utwierdzone przekonanie, że czem skorupka nasiąknie za młodu, tem na starość... pachnie.

Bawią się także zimą i latem dużo w sferach przemysłowych, mieszczańskich i adwokackich, lekarskich i t. d. Tu właśnie jak i w niższych finansach zbytek bywa największy i najkarygodniejszy. Prawda, że wyjątkowo w Warszawie sfery te są od innych zamożniejsze. Przemysł Warszawy i Królestwa miał swe tłuste lata, wtedy ulegli właściciele fabryk powszechnemu usposobieniu do zbytków i wystawności i te sfery równie jak finansowe mają wiele sobie w tym względzie do wyrzucenia. Krzyczą one na szlachtę, a niepowściągliwemi i nieprzezornemi okazali się również. Dziś prawdziwa szlachta wiejska stokroć od nich skromniejsza. To też jak przyszły chude lata, okazał się brak zasobów dla przetrzymania kryzys. Nie mówię już o przemysłowcach, dorabiających się fortuny, a wogóle w Warszawie bardzo solidnych, ale wielu znacznych adwokatów, lekarzy, inżynierów i t. d., ma, a zwłaszcza miało dawniej takie dochody, jakich u was nie posiadają nawet ministrowie. Lecz w tem znowu bieda, że tym, co wydawali, bo mieli na to, chcieli dorównać w przyjęciach także i mniej zamożni i mniej powodzenia mający, dlatego tylko, aby pokazać, że i on od swojego kolegi nie gorszy i że równie dobrze jak tamten „stoi“. Więc mniejszy przemysłowiec i finansista sadził się na wspaniałe apartamenta i bale w przekonaniu, że to „podtrzymuje jego kredyt“, więc adwokat, zarabiający

dajmy na to 6,000 rs. rocznie, pozował na takiego, co ma 20,000 rs., aby tylko tamtemu nie ustąpić i wśród kolegów i klientów wyrobić przekonanie, że i jego praktyka niemniejsza; lekarz to samo, inżynier również i t. d. W tych właśnie kołach zbytek był największym, bo nieproporcyonalnym i skala życia najbardziej wyśrubowaną. I to wszystko nietyle się robiło dla samej zabawy, jak dla popisu, dla prześcignięcia drugich, dla zamaskowania prawdziwego swego położenia; rzucało się tu piasek w oczy, jak w owej wesołej komedyi Labicha *La poudre aux yeux,* która właśnie śmieszności tych sfer najdotkliwiej chłoszcze. Byłam przed paru laty na kilku w tych kołach rautach i balach. Co za przepych w toaletach, co za kosztowne przyjęcia! Krzyczymy wszyscy na zbytki żydów i bankierów, a słowo daję, tu nie mniejsze, tylko że tamci mają miliony, a ci zaledwie tysiące. I żeby to przynajmniej miało służyć za środek jakiejś zabawy! Ale nie. Na balach jeszcze tańczą, ale rauty są tylko polem do popisu toalet jednej damy przed drugą; wszyscy bowiem panowie zasiadają odrazu do kart i wśród sukien gdzieniegdzie tylko mignie się jaki czarny fraczek etatowego „bawidamy“, który dlatego jedynie otrzymał zaproszenie, że dobrze „rozmawiać“ umie.... Przez parę godzin odbywa się jeneralna lustracya toalet, później następuje lukullusowa wieczerza, żony wyczekują jeszcze chwilkę na kończących ostatniego robra mężów... i *finita la comedia.* Ale znowu mówiąc to muszę się zastrzedz,

że to co powiedziałam korzystnego wyżej o niektórych sferach finansowych żydowskiego pochodzenia, stokroć bardziej stosuje się do naszego mieszczaństwa niemieckiego kiedyś urodzenia. Są między nimi najlepsi, najzacniejsi, wykształceni obywatele kraju — są też powszechnie szanowani. Tacy Szlenkierzy, Temlery, Szwedowie, Pfeifrowie, Spiessowie, Brunowie, Wernerzy, Herbsty, Simlery, Lilpopi, Sztrasburgery to już kość z naszej kości i krew z naszej krwi — z dodatkiem refleksyi, pracy, oszczędności i wytrwałości niemieckiej. Wspominam o tem wszystkiem obszerniej w drugim tomie niniejszych listów („Sylwetki warszawskie“), tu zastrzegam się tylko mimochodem, abyś nie sądziła, że potępiam w czambuł całe nasze mieszczaństwo i że je oceniam z wyłącznie salonowego i towarzyskiego punktu widzenia.

Już to plagą wszystkich naszych salonów warszawskich są karty i papieros. Do zielonych stolików zasiadają wszyscy starsi panowie, a nierzadko i tacy, coby mogli jeszcze doskonale jeśli nie tańczyć, to przynajmniej „mamy“ bawić, czasami oblega stoliki także i młodzież.

Na papierosa wymyka się co chwila z salonu każdy danser i dziś żaden bal nie uda się, jeśli liczba młodzieży nie będzie w dwójnasób większą od cyfry tancerek. Trzeba bowiem koniecznie „dublować“ tych, co większą część wieczoru przesiedzą w „fumoirze“ i z osobą swoją tak się targują, jakby z jakim rarytasem.... Dziś młodzieniec, danser,

któryby chciał i umiał z paniami rozmawiać, należy do rzadkości, nadano mu nawet specyalnie warszawską pogardliwą nazwę: „bawidamy“. Każdy skończywszy swój *tour,* zmyka co prędzej „na papierosa“, a biedne panie i panienki siedzą same pod ścianami, wyczekując jak zmiłowania Bożego nowego zaproszenia do tańca. Wogóle biorąc, chorobą salonów warszawskich jest właśnie powszechny brak młodzieży. Liczebnie jest ona znaczną, jakościowo coraz gorszą. Dziś o dobór młodych ludzi tak bywa trudno, wymagania towarzyskie tak pod tym względem wzrosły, że to właśnie głównie przyczynia się do powiększenia szeregu niezliczonych kłopotów, jakie każdy gospodarz i gospodyni mają, zanim się im uda odpowiedni kontyngens dla swoich wieczorów zebrać. Najwięcej jeszcze dostarcza prowincya i z młodych wieśniaków rekrutują się głównie nasze tancerskie kadry. Ci do zabawy najlepsi, stanowią również poważne bataliony epuzerów, bez których ostatecznie ruch salonowy omdlewa i na interesie traci.

Ale i ta młodzież jakaś inna — niż dawniej bywało, jakaś dziwnie wymuszona, ociężała, wygodna, apatyczna i przeżyta.... Dziś rzadko spotkasz w naszych salonach prawdziwego tańcu i zabawy amatora, dziś z trudnością znajdziesz takiego, któryby wśród panien nie przebierał i z każdą po kolei tańczył, z najbrzydszą i najładniejszą, i trzymał się jedynie zasady przyczyniania się do ogólnego humoru i zabawy.... Nie — jeśli ma osobisty interes,

jeśli mu chodzi o tę lub ową posażną pannę, wówczas rozwinie całą swą salonową usilność, ale dla niej jednej, o resztę towarzystwa nie dbając.... Jeśli zaś nie, jeśli w tem kółku właśnie nic go nie łączy i nie wiąże, wówczas przybiera minę „szanującego się“ młodzieńca, tańczyć będzie mało, rozmawiać jeszcze mniej i większą część czasu spędzi nie w salonie, lecz w „fumoirze“.... I to z każdym rokiem idzie gorzej, coraz mniej wśród młodzieży salonowych zalet, coraz więcej jakiejś apatyi, przeżycia i „zblazowania“ — tak, że starsi, co już przeszli trzydziestkę, a jeszcze nie doszli czterdziestki, tak zwana „stara gwardya“ salonowa, uchodzi jeszcze za najprzyjemniejszą i bardzo przez panny i gospodarstwa poszukiwaną bywa.

W ogóle mówiąc o młodzieży tutejszej, z bólem serca należy podnieść fakt, że między tą, która do Warszawy na karnawał z prowincyi przyjeżdża, jest zbyt wielki procent lekkomyślnych utracyuszów, co szczupły i pracowicie uzbierany przez rodziców dorobek marnują i trwonią na karty, na życie nad stan, na huczenie po bruku zbytkownemi powozami, na hotele i rozpustne zabawy. Młodzież tej kategoryi bezmyślna, ślimacza, bezkrwista i bez ciepła, bez wykształcenia, bez treści w myślach i rozmowie, bez istotnej nawet wyższej ogłady, nie sięga po za kategoryę pospolitej *fashionableness.* Jeśli który z nich dobrze tańczy, to przynajmniej tyle dobrego o nim da się powiedzieć. To też trzeba widzieć, jak taki *vortänzer* bierze na seryo swoją tancerską misyę,

z jakiem zadowoleniem z siebie i uroczystością spełnia swoje zadanie, jak gdyby szedł lub wracał zwycięzki z wyprawy pod Wiedeń, lub ważną sprawę publiczną załatwiał. Typ ten doskonale pochwycił komedyopisarz w znanej postaci Fikalskiego. — Wielu z tych paniczów i paniczyków zamiast szlifować bruk warszawski a froterować posadzki, zrobiłoby stokroć lepiej, gdyby zamienili swe lakierowane trzewiki na juchtowe buty i zaprzęgli się do gospodarstwa, do sądów, do pracy w gminie, w parafii, gdyby na wsi przyłożyli ręki do obowiązków publicznych, do wiązania spojeń między dworem a ludem, bez których i oni i kraj spadać będzie coraz niżej. — A tak są tylko materyałami na bankrutów, na pastwę dla lichwiarzy i żydów, na których wymyślają — na pieczeniarzy, moralnych i materyalnych żebraków.

Zabawa, lenistwo, używanie i rozpieszczenie tak głęboko tkwią w naszej naturze, że najsroższe nawet doświadczenia i próby nie zdołały wielu wytrzeźwić. Ta kategorya młodzieży myśli, że jest elegancką — a jest tylko przedmiotem politowania, a często oburzenia wszystkich nie to moralistów, ale prawdziwie dobrze wychowanych, wykształconych choć światowych ludzi — służy też za cel żartów i śmiechu tych, z którymi wydatkami i stanem życia równać się myśli.

Wszędzie na świecie, we Francyi, Anglii, Niemczech, Włoszech każde pokolenie dorzuca swą cegiełkę do budowy poprzedników — ztąd powstaje

to ciągłe przyrastanie i nagromadzanie pracy, zasobów kapitału narodowego — u nas tylko wielka część społeczeństwa, bodaj najliczniejsza nie tylko nic nie przymnaża dorobku poprzednich generacyj, ale trwoni co po nich wzięła, a nawet eskontuje naprzód przyszłe realne lub fikcyjne dochody. Nigdzie też majątki nie przedstawiają tak małej trwałości jak u nas. — Obejrz się po naszych wsiach, większość ich przechodzi z rąk do rąk, co jedno lub dwa pokolenia, a często parę razy w ciągu 40—50 lat.

Na nieszczęście nie tylko średnia własność, ale i prawdziwie wielka, tak zwana magnacka rozprasza się i marnuje z krzywdą dla rodów, z krzywdą dla kraju. Nie jeden z jej reprezentantów w Warszawie do ruiny majątkowej dokłada wstrętny przykład i zachętę skandalicznego życia — istnego zatarcia w sobie wszelkiego zmysłu moralnego. W innych warunkach postawieni, możeby byli hulaszczość swoją do szlachetniejszych celów zwrócili i samo społeczeństwo byłoby skuteczniejszą kontrolę i wpływ na nich wywarło. Obecnie bez oddechu żadnego, bez widoków i pobudek szerszych marnują i psują siebie i drugich.

Brak publicznego zajęcia, służby cywilnej i wojskowej, zgoła szerszego pola działania, jest prawdziwą dla młodzieży klęską. Traci na tem wykształcenie jej nie tylko umysłowe i charakteru, ale nawet fizyczne. — Dzisiejsze pokolenia są w ogóle dziwnie fizycznie wątłe, rozpieszczone i wygodne. Od sześć-

dziesięciu blisko lat zawód wojskowy jest moralnie i faktycznie dla Polaków zamknięty — służba cywilna, sądowa i administracyjna, nawet nauczycielska od dwudziestu pięciu lat prawie niedostępna. Widnokrąg umysłowy, praktyczna znajomość publicznych i ogólnych interesów, karność i sprężystość charakterów, wreszcie fizyczne nawet rozwinięcie cierpią na tem niezmiernie. Rozpieszczenie i łatwe zabawy zajęły ich miejsce w znacznej liczbie dostatniejszej młodzieży. Dlatego wyznaję, iż z przyjemnością widzę młodych ludzi, którzy choć wyścigami i polowaniem się trudnią, zapisują się do klubu wioślarskiego, bo przynajmniej tym sposobem bronią się od zupełnej ospałości i fizycznej degeneracyi.

Długi stan niewoli wymaga koniecznie skuteczniejszych środków obrony w łonie ciemiężonego społeczeństwa. — Nienormalne warunki egsystencyi skoro się przeciągają — grożą nieżytem, rozstrojem i rozkładem, wreszcie kretynizmem, wychowanym wśród tych warunków pokoleniom. Ciężko i bolesno Polakowi służyć w wojsku — ciężko i trudno w urzędowaniu miejsce sobie wyrobić. Gdyby jednak młodzież nasza wynosiła z domu zasady religijne, moralne i narodowe mocno ugruntowane, to sądzę, że służba choćby w wojsku, w urzędowaniu, byleby niesprzecznem z godnością i sumieniem, w kraju czy w Cesarstwie, nawet przy małych widokach awansu, byłaby stokroć lepszą niż lenistwo i gnuśność duszy i ciała, na które ogromna ilość młodzieży naszej jest skazaną — bo kraj nie jest dostatecznie

ekonomicznie rozwinięty, by wszystkie jej siły spożytkować. — Pod tym ostatnim względem wiele jednak pozostaje do zrobienia. Byleby rodzice praktyczniej i przezorniej kierowali przygotowaniem naukowem swych dzieci, byleby młodzież sposobiła się trafniej do pewnych zawodów, a pracowała usilnie, wytrwale i poczciwie, jeszcze znajdzie w kraju mnóstwo stanowisk przez Niemców i obcokrajowców zajętych, które ona posiąść powinna.

Jak myślę o Was w Galicyi, nie mogę wyjść z podziwu, że tak mało Polaków poświęca się służbie wojskowej — w Austryi wielka część trudności, które tu istnieją, na Was nie cięży. Ślimactwo fizyczne i moralne, takaż miękkość i rozpieszczenie są bodaj główną tego przyczyną.

Młodzież tutejsza zdaje mi się cieplejszą niż Wasza — ale tego jeszcze nie dosyć — przyszłość należy do wierzących wspaniale i wysoko, do mężnych, rozumnych, wytrwałych i wytrzymałych; — pieszczochy i wygodnisie do stołu jej nie zasiądą.

Ale po tej może trochę kaznodziejskiej wycieczce wracam do dalszego ciągu mych sprawozdań towarzyskich.

Zabawy zimowe trwają w Warszawie przez cały karnawał i wielki post. Po świętach Wielkanocnych ruch towarzyski zaczyna słabnąć na parę miesięcy, ażeby znowu w czerwcu ożywić się i zabłysnąć w epoce wyścigów i wystawy.... Na „letni karnawał“ zjazd ze wsi bywa mniejszy, zawsze jednak jest znaczny, a zebrania przenoszą się z salonów

do lóż wystawowych, na wyścigi, gdzie się odwiedza znajomych w ich powozach — a jeśli zjazd liczny i chęć do zabaw większa, to trafi się czasem i niejeden bal prywatny i parę pikników towarzyskich w jakimś arystokratycznym lokalu lub za miastem, najczęściej w Marcelinie, willi-restauracyi, położonej za rogatkami belwederskiemi.

Podobne zabawy mają swój specyalny urok, swoją odrębną cechę *des bals champêtres,* połączonych z fajerwerkami i iluminacyą ogrodów. Panie występują wówczas w toaletach spacerowych, satinetka zastępuje „tiule“ i „illuzye,“ zabawa przeciąga się długo i jeśli ma być sławną, musi się zakończyć wspaniałym, przy blaskach wschodzącego słońca „białym mazurem“. — Gremialny powrót do miasta, ranna przejażdżka po Łazienkach lub wspólna po pikniku wycieczka do Willanowa, nadają tego rodzaju zabawom warszawskim czysto lokalny charakter i bardzo dużo powabu. W ogóle w czasie letniego karnawału, więcej tu jeździmy, aniżeli tańczymy.... Pora to, w której piękny zaprząg i spacerowe toalety wyłącznie zaczynają panować, a nasze czerwcowe corso po alejach Ujazdowskich i Łazienkach wygląda nader wspaniale i wierzaj mi w mniejszym zakresie, naturalnie bez dworu i urzędowych ekwipaży, przypomina znaną wiedeńską zabawę *Praterfahrt.*

Latem, po wystawie, towarzystwo warszawskie niknie zupełnie. Wszystko, co żyje, wyjeżdża na wieś, do wód, lub co najmniej na letnie mieszkania....

Te letnie mieszkania, to także specyalnie warszawska moda i cecha. Przez lipiec, sierpień i wrzesień każdy „szanujący się“ Warszawiak, każdy dom zamożniejszy, nie może bawić w mieście.... lecz co najmniej za rogatkami Warszawy, bodaj w Marcellinie.... Więc przy naszych kolejach potworzyły się formalne letnich mieszkań kolonie, całe miasteczka, wiele gustownych willi, domów szwajcarskich, pałacyków i t. d. Zaczyna się to na drodze warszawsko-wiedeńskiej od Pruszkowa, a kończy aż na Skierniewicach; na Terespolskiej idzie aż do Nowo-Mińska; na Nadwiślańskiej ulubionym punktem jest Jabłonna. Kto ma i kto nie ma na to, ten wyjeżdża na letnie mieszkanie.... W Warszawie zostają tylko mężowie, ci, co obowiązkiem przykuci do miasta, żadną już miarą uciec z niego nie mogą... ale tacy nawet bardzo często rannym pociągiem przyjeżdżają do Warszawy, a wieczornym wracają znowu na letnie mieszkanie. W niedziele i święta odbywa się formalna wszystkiemi kolejami pielgrzymka, każdy spieszy na wieś do swoich znajomych; zaproszenia na niedzielne obiady są jakby abonamentem... a pomimo to jednak stałej publiczności warszawskiej wystarczy jeszcze na zapełnienie wszystkich naszych teatrów i teatrzyków ogródkowych i ogród Saski, ten „letni salon Warszawy,“ świetny w czerwcu, w lipcu i sierpniu, przepełniony jest zawsze spacerującą publicznością....

Wędrowne ptaki warszawskie zlatują stadami dopiero w pierwszych dniach października. — O tej

porze zatem, późną już jesienią, otwierają się wszystkie nasze salony, ale dla gości więcej poufałych, dla bliższych znajomych. Na bale już nie pora, bo adwent za pasem, rauty mają tylko wielkopostny przywilej, więc co najwięcej tu i tam rozpocznie się szereg proszonych obiadów i mniejszych zebrań.... Najlepszy to sezon dla teatru. — Centrum warszawskiego towarzystwa tam się o tej porze przenosi; do lóż Wielkiego Teatru, na opery panie przywdziewają wieczorowe toalety, a panowie obowiązkowe fraki; na sposób włoski oddaje się w łożach w czasie antraktów wizyty; koncerta mają wielkie powodzenie, a rozmowa zaczyna się coraz bardziej obracać na temat przepowiedni przyszłego karnawału i widoków zimowych zabaw...

Oto masz w grubszych zarysach obraz naszego życia towarzyskiego. Widzisz, że patryotyzmem warszawskim nie unoszę się wcale i więcej stron ujemnych, niż dodatnich wykazać ci się staram. Rozważ sama, w którym kierunku szala się przechyla i czy ogólnie biorąc w porównaniu z towarzystwem innych miast polskich, zasługujemy raczej na pochwałę, niż na naganę. Mnie się zdaje, że pomimo wszystkiego, ta pierwsza sprawiedliwiejby się nam należała. Jeśli życie salonowe nad miarę wielu u nas ludzi absorbuje, jeśli pochłania zbyt wiele naszego czasu i od poważniejszych odrywa zajęć, jeśli czasem wyradza płytkość, rozbawienie, gonitwę dnia za dniem i te strony ujemne, których bynajmniej przed tobą nie taiłam, to jednak może ono na swoje uspra-

wiedliwienie przytoczyć, że jest jedynem, że musi po części zastąpić to, co wy nazywacie życiem publicznem, że koncentruje w sobie dużo narodowego instynktu, ludzi nawzajem zbliża, jednoczy i zapoznaje z sobą.

Jakkolwiek jest to towarzystwo warszawskie, ma jednak tę wielką zaletę, że trzyma się odrębnie, że z małemi niezmiernie wyjątkami od napływowego żywiołu stroni, że świat i ludzie rosyjscy mają do niego wstęp niezmiernie utrudniony, a nawet w wielu razach niemożliwy....

Na tem polu koncesyj nie spotkasz żadnych, albo przynajmniej bardzo wyjątkowe. Niech nam tu jeszcze drugie tyle Rosyan do Warszawy naślą, niech wybierają wśród nich nawet najcywilizowańszych i najbardziej jednać sobie ludzi umiejących — towarzystwo warszawskie pojedynczo tolerować ich będzie, ale nigdy nie straci swej wybitnej polskiej cechy, nigdy nie stanie się zupełnie kosmopolitycznem i nie wynarodowi się. Warszawa była jak i będzie polską, chociażby procent żydów i Rosyan i Niemców wzrósł jeszcze w dwójnasób, a jej towarzystwo pomimo wszystkiego zawsze polskiem pozostanie.

Obyczajów swoich nikt nam nie narzuci, bo chcąc wśród nas i z nami żyć, musi przedewszystkiem przyjąć nasze. „Parlować“ będziemy wszyscy, począwszy od p. hrabiny i pani bankierowej, a skończywszy na żonie ostatniego urzędnika i modystce (u nas bowiem po francusku mówią nawet garsoni

po hotelach), ale każda nędza kraju rozwiąże nasze kieszenie, każda myśl narodowa zapali nasze umysły, każde wołanie o pomoc wnet nas z „rozbawienia“ rozbudzi i jak na Szlązaków daliśmy przeszło 100,000 rs., jak potrafiliśmy własnemi siłami skutki kilku powodzi zażegnać, jak tyle instytucyj dobroczynnych miasta i kraju sami utrzymujemy, tak we wszystkiem będziemy zawsze gotowi — i bądź przekonana, że ci, co u nas najwięcej się bawią, ostatni w szeregach do uczciwej, rozumnej i dodatniej a legalnej pracy nie staną. Każda sprawa publiczna, każde przedsięwzięcie mające na celu pożytek ogólny, znajdzie zaraz ludzi gotowych pomódz, pracę, czas swój poświęcić, byle zamiar taki poprzeć, niech to sobie będzie wystawa, bal dobroczynny, stowarzyszenie użyteczne i t. p. Mimo wszystkie wady żywotnością swoją, ofiarnością, ciepłem, zapałem, wreszcie gościnnością jest i zostanie Warszawa stolicą Polski. Kto chciałby towarzystwo warszawskie w czambuł potępiać, niech spojrzy na naszego miłosierdzia rubrykę — a wówczas się zawaha i katoński swój zapęd powstrzyma. Kto na „rozbawienie“ warszawskie i gorączkową po salonach wędrówkę *anathema* rzucić zechce i bezwzględnie to nasze życie karcić, niech sobie przypomni, że już stary Villemain powiedział: *„qu'une société, qui a un salon intelligent, est une société qui vit encore“*.

Otóż Warszawa żyje i żyje bardzo jawnie, wyraźnie i silnie. — W ludziach jak w bruku tutej-

szym są iskry, jest ogień niewygasły, a jeśli salonowe życie w porównaniu z dawnem dużo pod względem umysłowym i rzeczywistej ogłady straciło, nie sądź jednak, by ruch inteligencyi zmniejszył się albo ustał. Bynajmniej, tylko się gdzieindziej przeniósł. Ludzi dojrzałych i młodych pracujących seryo przybyło w każdym zawodzie — ale tych w tak zwanych salonach i na zabawach mało widać. Dawne karyery w służbie publicznej z wielką krzywdą kraju zamknięte — ale w zawodach, przedsiębiorstwach, instytucyach prywatnych wielu ludzi się kształci i pracuje gruntownie, wielu z nich, niby rozsadniki cywilizacyi, szuka umieszczenia w Cesarstwie, i byleby ducha Bożego i polskiego w sobie nie gasili, korzystnie przysłużyć się krajowi mogą.

Młodzież tutejsza ucząca się lub w zawodach praktycznych douczająca się, wystawiona jest niestety na bardzo niebezpieczne prądy bezwyznaniowe, materyalistyczne, ze szkół, z napływu rosyjskiego, z rzekomo postępowej i scientyficznej literatury zachodu wiejące, wystawiona na nie bez należytego przeciwdziałanie jak na Zachodzie, literatury i nauki innej, lepszej, szlachetniejszej gruntowniejszej, bez przeciwdziałania życia zdrowego, przykładów i działalności rozwijających się normalnie, jawnie i otrzeźwiająco w każdem społeczeństwie, posiadającem niepodległość i nieodzowne warunki samoistnego bytu. — Brak ten srogo czuć się daje — a jednak młodzież ta ma tu więcej zapału, gorąca, żądzy

nauki, niż w dzielnicach kraju, znajdujących się w stokroć szczęśliwszych warunkach.

Sfery przemysłowe, finansowe, mieszczańskie zgoła, są tu bez porównania nietylko liczniejsze niż w Galicyi, Poznańskiem, Litwie, Rusi, ale o wiele poważniejsze, bardziej wykształcone, w interesach uczciwe i szanujące się, daleko bardziej polskie i wpływowe niż w którejkolwiek części dawnej Polski.

Tak zwane Królestwo nie było nigdy siedliskiem przemożnych bogactwem rodów. Kupiły się one daleko więcej na Rusi, na Litwie niż w przeważnie mazurskiem Królestwie. Dziś prócz jednej Ordynacyi Zamoyskich „magnackich“ fortun terytoryalnych nie ma prawie wcale — jest kilka zaledwie „pańskich“ majątków. W słowach znajdziesz w Warszawie i na prowincyi, a w szczególności w bardzo *niedojrzałej* i *głupiutkiej* nieraz, podrzędnej prasie, krzyki na tak zwaną *arystokracyę* u nas. Nie bronię jej bezwzględnie i bronić nie mam z własnego usposobienia ochoty; wiele bardzo z tych narzekań podzielam, a nawet głośniej i konsekwentniej w życiu bym podniosła, bo jest *nieraz* mimo doświadczenia krwawego i bardzo dawnego w sobie podzielona, niesprzężna, ambicyami i pychami indywidualnemi do szpiku przesiąkła, marnotrawna, leniwa, w chęci zabaw i użycia niepowściągliwa, umysłowo i naukowo niewykształcona i zacofana, niedorzecznemi próżnościami a czasem arogancyą nadziana — ale i co z niej się przechowało i utrzymało dotąd jest bar-

dzo często stokroć lepszą niż było przy upadku kraju.

Ci co krzyczą i piszą najgłośniej w Warszawie, niechaj się koło siebie obejrzą trzeźwo i spokojnie, a przyznać muszą, że tak zwana arystokracya jest wszędzie *obecna*, gdzie idzie o dźwiganie kościołów, szpitali, o dzieła miłosierdzia, o wydawnictwa poważne i kosztowne, o publikacye codzienne lub peryodyczne, o przechowanie pamiątek krajowych, o sztukę krajową, o muzea przemysłu, o instytucye jak ziemski i miejski kredyt, wystawy krajowe, ulepszone gospodarstwa i hodowle i t. p.

Zamiast więc dziwić się i przedrzeźniać — prasa i opinia winny do zgody i harmonii społecznej nawoływać, wątłe i tak siły jednością krzepić, a jeśli karcić i nawoływać to bardzo poważnie, gruntownie a zawsze miłośnie, bo wszystkie klasy w towarzystwie warszawskiem i Królestwa nie są bez wad i win i grzechów licznych, ale nie są też bez cnót, bez dobrego, bez zasług, a szczególnie bez dobrej woli i chęci dla kraju i swoich.

Tą też ogólną uwagą kończę część pierwszą niniejszych listów, pragnąc w drugiej przejść do bardziej szczegółowych sylwetek wybitniejszych osobistości warszawskich, do dziennikarstwa, literatury i sztuki, a zakończyć ogólnym na dzisiejszy stan naszego kraju poglądem.

Koniec części pierwszej.

SPIS TREŚCI.

Towarzystwo
Warszawskie